

Autorzy opowiadań:

Tomasz Czarny, Natalia Golik,
Patrik Hirsekorn, Paulina J. Król,
Maciej Lewandowski, Krzysztof Pakuła,
Łukasz Radecki, Bartosz Słowiński,
Beata Smółkowska, Tomasz MordumX Siwiec

Wydawca:

Piotr Dubas,
Modrzewiowa 2D/3,
65-120 Zielona Góra
www.kostnica.com.pl

Projekt okładki, skład i opracowanie:

Piotr Dubas

Korekta:

Paulina Król
Magdalena Ślęzak



ISBN: 978-83-939168-0-1

Wydanie I
Druk: Świat Druku

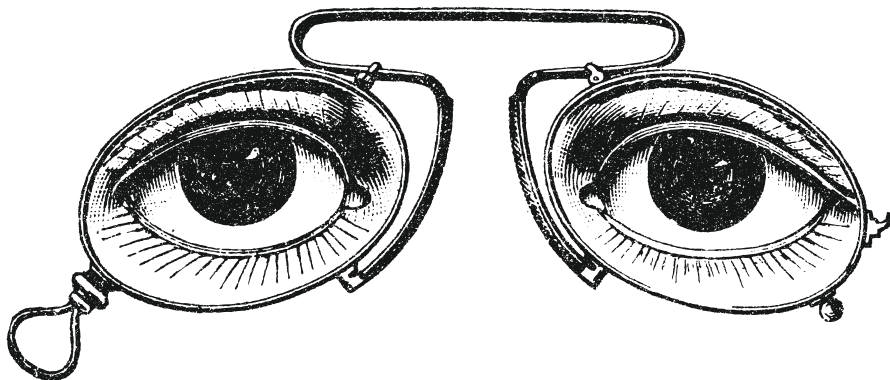
Copyright: Piotr Dubas kostnica.com.pl



Tomasz Czarny, Natalia Golik,
Patryk Hirsekorn, Paulina J. Król,
Maciej Lewandowski, Krzysztof Pakuła,
Łukasz Radecki, Bartosz Słowiński ,
Beata Smólkowska, Tomasz MordumX Siwiec

KRWAWNIK

Opowiadania
z pozorne martwej strony





Strach tnie głębiej niż miecze

George R.R. Martin, Gra o tron

Czytelniku, nie wiem, czy wiesz, gdzie jesteś, więc czuję się odpowiedzialny za to, by Cię ostrzec. Kolejne strony tej książki to świat grozy przedstawiony w dwunastu opowiadaniach. Nie są to opowiadania dla wszystkich, gdyż każde z nich to pełnokrwisty horror. Skoro Krwawnik trafił w twoje ręce zgaduję, że jesteś fanem grozy, chyba, że znalazłeś go przypadkowo, w takim wypadku przemyśl dokładnie, czy chcesz go przeczytać, gdyż może wciągnąć Ciebie bez reszty. Jeśli lubisz się bać i nie zniechęca Cię groza - zapraszam do pozornie martwej strefy.

Opowiadania, które znajdziesz w tym zbiorze, zostały wyłonione w drodze głosowania przez czytelników naszego portalu kostnica.com.pl. Jak co roku zorganizowaliśmy konkurs HALLOWEENOWY, w którym wybieraliśmy najlepsze opowiadania - wziąć udział w konkursie mógł każdy - a głosy oddawali czytelnicy. Tak też w Krwawniku ukazują się opowiadania doświadczonych autorów oraz debiutantów.

W związku z tym, że Krwawnik jest pierwszym papierowym wydawnictwem, stworzonym przez portal kostnica.com.pl proszę o Twoją wyrozumiałość. Mam nadzieję, że udało nam się stworzyć coś wyjątkowego, co zapewni kawałek dobrej rozrywki, ale ocenę zostawiam Tobie.

Piotr Dubas



KRWAWNIK

KOSTNICA

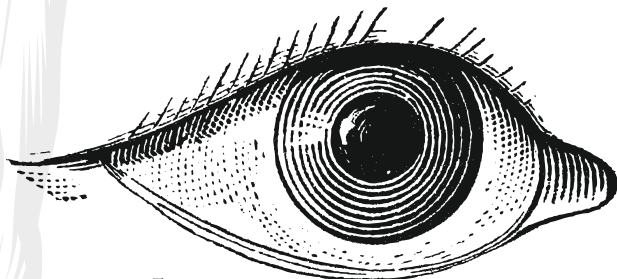
www.kostnica.com.pl

Trochę o Kostnicy

Portal kostnica.com.pl zajmuje się tematyką fantastyki, thrillera, kryminału oraz horroru i sensacji w takich obszarach jak film, książki, komiksy, gry. Interesuje nas każdy aspekt związany tematyką z przedstawionymi gatunkami.

Portal skupia przy sobie dużą liczbę stałych odbiorców większości w przedziale wiekowym mniej więcej 18-40 lat, odwiedzają nas młodzi użytkownicy jak i koneserzy wymienionych gatunków. Portal aktualizowany jest kilka razy na dobę i zawiera najnowsze informacje, dzięki współpracy z największymi wydawcami i dystrybutorami. W serwisie organizowane jest wiele ciekawych konkursów z atrakcyjnymi nagrodami. Codziennie najnowsze informacje na temat nowości wydawniczych z gatunku horror, thriller, sensacja, kryminał i fantastyka. W Kostnicy ukazują się opowiadania młodych twórców jak i już uznanych nazwisk – wszystkich chętnych zapraszamy do publikowania u nas. Corocznie organizujemy plebiscyt Złoty Kościej w którym wybieramy najlepsze powieści ubiegłego roku. Plebiscyt cieszy się sporą popularnością wśród wydawców jak i czytelników.

Jedną z mocniejszych stron serwisu i czytaną przez odwiedzających są zamieszczane recenzje, w których staramy się obiektywnie oceniać książki, filmy, gry i komiksy. Serwis jest cały czas rozbudowywany a przed nami do realizacji wiele pomysłów.



SPIS OPOWIADAŃ

BRZYTWA - Tomasz Czarny

CHŁOPSKI LAS - Paulina J. Król

HISTORIA EDWINA - Bartosz Słowiński

JESIENNA MUZYKA - Maciej Lewandowski

KAT - Łukasz Radecki

MORA - Patryk Hirsekorn

NA DRUGIE MI JOLA - Natalia Golik

NIE MOJA BAJKA - Krzysztof Pakuła

POSSESION - Tomasz MordumX Siwiec

SATELLITE 15 - Łukasz Radecki

ULTIMATUM - Paulina J. Król

ZAGADKA NIEŚMIERTELNOŚCI - Beata Smółkowska





*Dom jest takim miejscem, do którego zawsze
zostaniesz wpuszczony, kiedy zapukasz do drzwi*

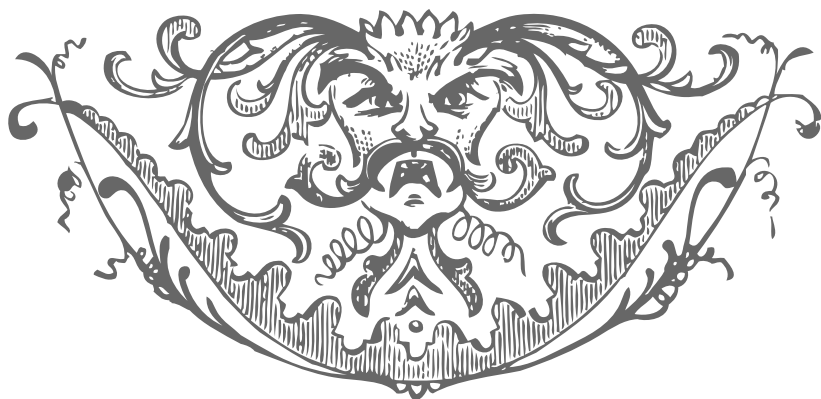
Stephen King, Bastion



Beata Smółkowska

Harvardem ani Oxfordem pochwalić się nie mogę, bo do Budowlanki miałam znacznie bliżej (dosłownie rzut beretem) ;-). Jestem pasjonatką horrorów oraz fantastyki, z której narodziła się moja najnowsza fascynacja: rosyjska fantastyka humorystyczna. Uwielbiam pisać opowiadanka z dużym jajem (najczęściej na konkursy literackie), chociaż zdarzyło mi się stworzyć kilka ociekających gęstą posoką kawałków. W realu zajmuję się opiekując nad dobermanami. A zawdzięczam tę pasję Teodorowi, który przez wiele lat cierpliwie wpajał mi miłość do swojej rasy.

Dziękuję Ci Teo.





Beata Smólkowska
ZAGADKA NIEŚMIERTELNOŚCI

W tę przeklętą, halloweenową noc zwykle pukanie do drzwi zabrzmiało, jak rodem ze starego horroru: DUM, DUM, DUM.

- Zaraz, przecież nigdzie się nie spieszy- odezwałem się, człapiąc powoli niczym bezmózgie zombie. Otwieram drzwi, a tu...

- O, cholera!

- No cze, Stefan. Ja też jestem szczęśliwa, że twoją słodziutką buziuchną widzę - Kostucha Zygryda puściła mi perskie oko. Tylko, kurczę, jakim cudem czaszka może puścić perskie oko? Może później oddam się tym jakże interesującym dywagacjom.

- No bez jaj, Zyga. Już to przerabialiśmy kilkakrotnie i myślałem, że masz wystarczające jaja, żeby być twardą i honorową zmorą.

- Czy ja znowu coś kombinuję? Ależ skąd tam znowu. Śmierć jakby się zasmuciła i spuściła głowę

- To nasz ostatni taniec, przyjacielu. Na co zawodowe, jeśli twój szef potrafi zrobić sobie z twojej czaszki piłeczkę do golfa? Przepraszam, ale wieczności, jako piłeczka, nie wytrzymam!

W imię starej przyjaźni masz pół godzinki na rozstanie ze swoim dwieście pięćdziesięcioośmioletnim życiem.

I żadnych gierek, bo jesteśmy w ukrytej kamerze.

- Fiu, fiu, fiu, widzę, że ktoś tam u Góry wczuł się w rolę adekwatną do XXI wieku. Jestem pod wrażeniem.



- I powinieneś, bo sprzęt został ochrzczony Twoim imieniem.
- Czuję się zaszczycony. Czyli to już koniec, moja droga przyjaciółko? - zapytałem smętnie.

- Czas start, czyli odliczania czas zacząć. Za te pół godziny zwłoki ten potwór zafarbuje moje kości i czaszkę na ostry róż, ale czego się nie robi dla starych przyjaciół ?

Smutnym wzrokiem rozejrzałem się po moim luksusowym mieszkaniu - przez dwieście pięćdziesiąt osiem lat nawet imbecyl doszedłby do sporej fortuny, a ja do debili nigdy nie należałem.

- No to nie będzie mi dane nacieszyć się najnowszymi nabytkami: konsolą XBOX trzysta sześćdziesiąt, dwieście pięćdziesiąt gigabajtów slim kinect plus pięćdziesiąt gier, dwa pady, telewizorem osiemdziesięcioczerocalowym LG osiemdziesiąt cztery LM dziewięćset sześćdziesiąt ultra HD cztery K... Dziewczyno, żebyś ty wiedziała, ile mnie kosztowały te zabawki... I to ma się zmarnować ? Zygryda z głębokim zainteresowaniem chłonęła widoki tych cudów.

Czyżby rybcia połknęła haczyk?

- Spójrz na to cudeniko: szyfrujący telefon GSM enigma E-dwa, najlepiej zabezpieczony telefon na świecie. Ten model został wypuszczony tylko w trzech egzemplarzach. Pozostałe dwa mają Obama i ten śmieszny erotoman Putin.

Śmierć w tym momencie zaczęła ślinić się obficie.

- Zyga, jeśli mnie logika nie myli, to ty jesteś gołą jak święty turecki.

- Czyś ty człeku marny ogłupiał do reszty! - Śmierć uniosła się słusznym gniewem, przecież żadna kobieta nie lubi być obnażana.

- Wyluzuj, turkaweczko moja koścista. Przecież wiesz, że ja nie chciałem cię obrazić. Po prostu myślałem na głos. Chodziło mi o to, że skoro byłaś, jesteś i będziesz uwięziona w nie-czasie, to nie posiadasz niczego materialnego. Mogłabyś jedynie otrzymać prezent od śmiertelnika, ale kto w chwili śmierci myślałby o podarunkach?

- spojrzałem chytrze na Kostuchę, która zgłupiała do reszty i tęnym wzrokiem gapiała się na „dary”.

- Terrorysta perfidny. Wiesz, że to jest święta racja.

- No, to to wszystko może być twoje. Nawet spiszemy umowę darowizny, jeśli dasz mi kolejnych sto lat.

Śmierć zasępiła się, pogрузzyła w siebie i oddała kontemplacji.

- Nie mogę... - Czyżbym usłyszał nutkę rozpaczki? - Cholera jasna, żeby to szlag jasny trafił! Nie mogę!!!

- No, trudno. Mam jeszcze piętnaście minut, więc zapraszam cię do ogrodu. W moim magicznym ogrodzie stał potężny garaż, do którego wszedłem niby przypadkiem. I naszym oczętom ukazało się moje najnowsze dzieciątko: perfekcyjnie odrestaurowany Jaguar E typu coupe z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Matko, jakież to był widok! Krwistoczerwony lakier wypolerowany na błysk, silnik typu XK- po prostu żyleta, wersja pięć-cztery, cztery gaźniki, moc maksymalna dwieście siedemdziesiąt sześć koni mechanicznych, czyli dwieście trzy kilowaty przy pięciu tysiącach ośmuset pięćdziesięciu obrotach na minutę, sześć koma cztery sekundy rozpędzenia do stu kilometrów, po prostu spełnienie najskrytszych marzeń! Żadna kobieta nie mogła zająć mego serca w równym stopniu, co on. Zyga wybałuszyła ping-pongi i padła na ziemię jak kłoda. Kurczę, chyba zabiłem śmierć! I co ja teraz mam zrobić? Reanimację szkieletu? Sztuczne oddychanie? A może zadzwonić po pogotowie? Ale się wpakowałem. Wziąłem wiadro zimnej wody i bez zbędnych ceregieli chlusnąłem denatce w „twarz”.

- Nienawidzę cię, łajdaku jeden! - chyba nic jej się nie stało, skoro tak jadaczką kłapie.

- Trzy zagadki moja piękna i, jeśli podasz prawdziwe odpowiedzi, to wszystko jest twoje, włącznie z kluczami do Jaguara. A jeśli nie podołasz, dodasz mi standardowy czas stu lat.

- Ale ja nie mogę - skoro się nie drze, to trochę zmiękła.

- Dorzucam kierowcę gratis - ale ze mnie diabelski kusiciel.

- Kierowcę powiadasz... - wyraźnie się zamyśliła, a ja wykorzystałem tę chwilę słabości, żeby zawołać Teddego. Pamiętacie młodego Arnolda Schwarzeneggera? To Teddy jest jego seksowniejszą, czarnoskórą wersją.

- Dawaj te pytania! - Czyżby sama Kostucha mogła ulec wdziękowi śmiertelnego mężczyzny? Spojrzałem na nią i widok ślinotoku, maślanego spojrzenia i uwielbienia widocznego w oczodołach, powiedział mi wszystko. Tak, Śmierć może się napalać.

- Dobra, to nie owijając w bawełnę, zadam pierwsze pytanie. Co to jest: rano chodzi o czterech nogach, popołudniu na dwóch, natomiast wieczorem na trzech?

- Bezmózgi patafianie, przecież tę zagadkę ja sprzedałam Sfinksowi, bo wiesz, miałam wtedy za mało zajęć i chciałam dorobić na boku. Chodzi o człowieka w okresie narodzin, wieku dojrzałego oraz jesieni żywota. Dawaj następne - zatarła „ręce” z niekłamana radością. Niby się zasępiłem i zasmuciłem. Odczekałem kilka minut, dla podkręcenia adrenaliny i rzekłem:

- A cóż ja mam do stracenia? Jeśli mnie zabierzesz, to i tak wolałbym, żeby mój dorobek znalazł się w godnych rękach. Lecę z następnym pytaniem. Dlaczego orkiestra nie gra na moście?

- Że co, proszę?!

- Czyżbyś nie wiedziała?

- Zamknij się, przecież ja wiem wszystko! Daj mi minutkę.

- Okej.

Myśli i myśli, aż słyhać, jak niewidzialne zwoje mózgowie przegrzewają się pod czerepem.

- Mam!!! Chyba chodzi o to, że most nie jest instrumentem i nie można na nim grać.

Teraz to mnie czarna rozpacz ogarnęła, bo byłem pewien, że polegnie przy tej durnocie.

- Czas ci się, mój drogi, kończy. Pytanko i znikamy się zabawić.

Teraz milczenie nie służyło podkręcaniu atmosfery, bo moje myśli pędziły z szybkością ponaddźwiękową.

- Już mam. Zanim odpowiesz, to zastanów się dobrze. Czy Ewa zdradzała Adama?

Chwila ciszy, napięcia i grozy, po czym wyskoczyła jak dziewczica z burdelu:

- A skąd ja mam to wiedzieć, przecież nie miałam wstępu do Raju! I zanim zdała sobie sprawę ze swojej gafy i bezmyślności, zaczęła zmieniać kolor na bijący po oczach róż.

- Niech cię szlag trafi, pomioście mutanta! A żeby ci osy w dupsku gniazdo zrobiły! Ja tu jeszcze wrócić!!! Jak ja nie cierpię grać w golfa

...

PYK! - i już jej nie było.

A chcecie może poznać rozwiązanie ostatniej zagadki?

Pewnie, że tak, przecież każdy z Was chciałby Zygfydę oszukać.

Odpowiedź brzmi: „Tego dokładnie nikt nie stwierdził, ale naukowcy dowodzą, że człowiek pochodzi od małpy”. Ale obawiam się, że za ten róż oberwie mi się bardziej, niż za piłkę golfową...

Koniec?

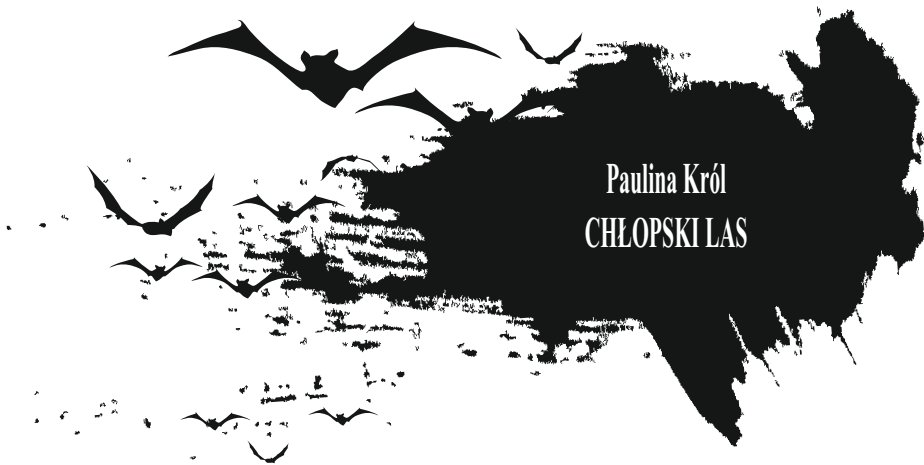




Paulina Król

Paulina J. Król – rocznik '85. Wierszokletka, leśnik, entomolożka-amatorka, ekolog nieoszołomowy. Stalowowlanka obecnie mieszkająca u wrót Puszczy Białowieskiej. Lubi piwo niepasteryzowane i Stephen Kinga, imiennika jej dziadka. Debiutowała w maleńkim Okowykolu Okularnym, została też uhonorowana kilkoma maleńkimi nagrodami (w sam raz na połaskotanie sfrustrowanego ego). Jej opowiadania pojawiły się w kilku miejscach w sieci, a jedno - Drosera animalia" - w antologii "Zombiefilia". Czyta i recenzuje książki. Przejawia dziewczęcą słabość względem „Martwicy mózgu”. Jak na starą pannę przystało, posiada w domu dwa koty. A raczej, gwoli ścisłości, to one posiadają ją.





Paulina Król
CHŁOPSKI LAS

*Ten, który z demonami walczy, winien uważać, by nie stać się jednym z nich.
Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie.*
Fryderyk Nietzsche

*Wielki kurw nad dachami przeleciał
zostawiając powidok wibrującej czerni
Graffiti na murze*

Kasia żwawo szła przed siebie, wymachując koszykiem. Co kilka minut przykuciała, żeby wyciągniętym z kieszeni nożem odciąć korzeń kolejnego, wyjętego z gleby grzyba. Uwielbiała chodzić po lesie. Jej ojciec był leśniczym, więc знаła teren jego leśnictwa jak własną kieszeń; żadne drzewo, żaden korzeń ani kamień nie był jej obcy. Choć sama wybrała inną, niż trzy pokolenia mężczyzn w rodzinie, ścieżkę kariery, to las darzyła ogromnym szacunkiem i uwielbieniem. Chętnie zbierała grzyby, wciągała w płuca mokre, pachnące próchnicą powietrze i oczyszczała umysł, spacerując po ścieżkach, których nikt inny nie dostrzegał. Miała dryg do zbiorów i zwykle wracała z koszem pełny leśnych skarbów a niejednokrotnie również z wypełnioną po brzegi reklamówką, którą zawsze miała w pogotowiu. Nigdy nie wiadomo, czy nie natrafi się na zbyt wielki dla kosza urodzaj.



Gdy tak szła od grzyba do grzyba, pozwalała myślom toczyć się swym własnym torem. Wsłuchiwała się w dźwięki lasu, które dla innych mogły być złowieszcze, jednak dla niej brzmiały jak najcudowniejsza muzyka. Skrzypienie wysokich sosen, które jej dziadek posadził tu czterdzieści lat temu, działało kojąco. Tu, na poziomie gruntu, wiał lekki wiaterek, zaś w koronach drzew wiatr był tak silny, że targał ciężkimi strzałami sosen. Skrzypienie szczytów przywodziło na myśl dźwięk wydawany przez słabo naoliwione drzwi i rozchodził się na wszystkie strony. Las nigdy nie milkł.

– Skrzyp, skrzyp, skrzyp.

– Ku-ku-ku.

– Hu-hu



Żadne onomatopeje nie są w stanie odtworzyć odgłosów lasu, choćby w przybliżeniu.

Kasia szła, a wiklinowy koszyk ciążył jej niemiłosiernie. Poranna rosa opadła na miękkie, mszyste poszycie lasu. Dziewczyna wpatrywała się w swoje buty, z każdym krokiem coraz bardziej zroszone na czubkach. Zapadając się w mchy, dziewczyna ze zdziwieniem obserwowała, jak naciśnięte jej obutą stopą zielone podłoże natychmiast powraca do swojego pierwotnego kształtu, odradza się. Zupełnie, jakby nikt nigdy tędy nie przechodził.

W pewnym momencie ujrzała przed sobą przeszkodę. Przed sobą miała coś, co jej ojciec zwał złomem. Zmarszczyła brwi i przestąpiła z nogi na nogę, niepewna, dokąd dalej iść. Coś ją ciągnęło do miejsca, którego wrót strzegła złamana wiatrem na wysokości metra i tamująca przejście wiekowa brzoza. Kasia uznała, że ciężko byłoby ją ominąć – z jednej strony podszyt był zbyt gęsty; niewielkie drzewka walczyły o powierzchnię



i światło. Podłoże w tym miejscu było inne, żyźniejsze – widziała przed sobą mnóstwo drzew liściastych, co sugerowało bogatsze siedlisko. Sosny porastały najbardziej ubogie, wręcz piaszczyste, gleby. Dziewczyna wiedziała, że kozaki i rydze również preferują urozmaicone siedliska. Zagryzła wargę i spojrzała w przeciwnym kierunku. Końcówka korony złamanej brzozy wpadała do głębokiego rowu, w którym zebrało się trochę wody. Jedyne, w miarę bezpieczne i łagodne przejście do drugiego zadrzewienia przebiegało właśnie tutaj. Poprzez sam środek złamanego drzewa. Ostrożnie przestąpiła między wciąż ulistnione gałęzie i przeskoczyła przez powalony pień. Poszło zadziwiająco łatwo, nie potknęła się, nie pośliznęła o śliskie liście. Otrzeptała spodnie i spojrzała na wprost.

Przed sobą miała prawdopodobnie fragment prywatnego lasu. Jej ojciec zarządzał terenami lasów państwowych, między którymi było wiele drzewostanów pozostających w rękach prywatnych właścicieli. We wsi nazywano je chłopskimi. Nie знаła tego miejsca, więc zdecydowała, że się wycofa. Gdy jednak miała już zamiar zawrócić, ujrzała pięknego, ogromnego prawdziwka z błyszczącym w lekkich promieniach słońca kapeluszem. Przeszła dwadzieścia metrów i schyliła się po grzyba. Kiedy odcinała jego korzeń dostrzegła dwa podgrzybki, rosnące nieopodal. A za nimi kolejne. Przełożyła koszyk do drugiej ręki i skierowała się w stronę grzybów. Po krótkim marszu uświadomiła sobie, że choć jej zbiory są imponujące, to zaszła zdecydowanie za daleko – rozejrzała się za znajomymi punktami, by odtworzyć przebytą drogę. Niestety, każdy grzybiarz wie jedno – podczas zbiorów nikt nie rozgląda się na boki, tylko wpatrzony w ziemię przed sobą idzie naprzód. Nie znalazła nawet obciętych, białych końcówek trzonek zebranych grzybów. Pod nogami miała tylko dywan z igieł sosnowych, poprutykany żółtobrazowymi, brzozowymi liśćmi. Szła przez chwilę w kierunku, który wydał jej się właściwy. Las znów na moment się zmienił, zubożał; ponownie

stała w sosnowym borze. Postanowiła kontynuować wędrówkę, aż dotrze do linii oddziałowej lub chociaż do jakiegoś słupka – wówczas zorientuje się, gdzie jest. Po pięćdziesięciu metrach marszu uświadomiła sobie, że popełniła błąd.

Las stawał się gęstszy, pozbawiony racjonalnej gospodarki leśnej dziko zarastał. W każdą luźniejszą lukę wciskały się ekspansywne gatunki, wypełniając i tak już zbity drzewostan. Słońce ledwie tutaj docierało. Gęsty sufit z koron drzew nie przepuszczał światła do dna lasu, zatem Kasia poruszała się prawie po omacku, za wszelką cenę próbując iść prosto przed siebie. Tutaj słyszała jedynie swoje własne kroki. Co rusz następowała na gałązki, które pękały z trzaskiem; w oddali zahuczała sowa. Wreszcie, gdy dziewczyna zdecydowała się zawrócić, zza drzew wyłonił się fragment dachu. Ogarnięta ulgą i zaciekawiona, skierowała się w tamtą stronę.

Spomiędzy gęsto rosnących pni wyłonił się niewielki domek długości góra dziesięciu metrów. Miał tylko jedno okno, dawno już zresztą wybite. W pokrytym eternitem dachu ziały dziury, a całość przykryta była kołdrą z suchych igieł i starych liści. Drewniane drzwi opadły na jednym zawiasie. Dziewczyna zagryzła dolną wargę i rozejrzała się. Nikogo. Nie zaszkodzi zajrzeć do środka. Powoli pokonała dwa rozpadające się schodki i uchyliła drzwi.

Napęczniałe przez leśną wilgoć wrota otworzyły się, szurając po betonowym progu. Kasia nieśmiało włożyła głowę do środka chaty i szybko się rozejrzała. Domek był pusty. Przystąpiła próg i powiodła wzrokiem po opuszczonej chacie. Było brudno; na podłodze leżało pełno połamanych gałęzi i suchych liści, w najodleglejszym rogu pomieszczenia zauważyła gniazdko. Pewnie jakieś zwierzę się tu zadomowiło. Po lewej stronie ujrzała dziurę w podłodze. Podeszła do niej – było to zejście do piwniczki. Kasia wyjęła komórkę, która przez brak zasięgu była dotąd bezużyteczna, tutaj jednak mogła z jej pomocą oświetlić sobie drogę. Stała na schodkach i raz jeszcze zastanowiła się, czy warto tam iść. Doszła do wniosku, że nie ma się czego bać. Przecież nikogo tu nie ma, a piwniczka zapewne i tak jest tak samo opustoszała, jak reszta chaty. Nieco pewniej zesłała na dół. Piwnica miała wielkość domku i podobnie jak kondygnację wyżej,



była pusta. Z dwoma wyjątkami. Pod ścianą stało wiaderko, a w nim mała miotła i szufelka. Zaś na środku pomieszczenia było coś w rodzaju kurhanu – wysoki na półtora metra, usypany z liści i igieł kopczyk. Wielkością stos przypominał łóżko, z tą różnicą, że był znacznie wyższy. Dziewczyna zawahała się i spojrzała na wiaderko. Mogłaby przecież zajrzeć pod liście i dowiedzieć się, co jest grane; później po sobie posprząta. *Nikt się nie dowie*. Podeszła do górki liści i delikatnie ją rozgarnęła. Kilka igieł opadło na ziemię, przysypując jej buty. Nagle rozległ się niespodziewany hałas, na dźwięk którego dziewczyna automatycznie przykucnęła i ukryła głowę w ramionach. Odgłos się powtórzył, i zaraz zawtórował mu drugi – śmiech Kasi. To tylko dzięcioł walił dziobem w jakieś drzewo w oddali. Podniosła się i powróciła do przerwanej czynności. Rozgarniała coraz więcej liści, aż wreszcie ujrzała w nich coś białego. Nim zorientowała się, co to jest, spod igieł wystrzeliła koścista ręka i złapała dziewczynę za nadgarstek. Kasia krzyknęła z trwogi, próbując się wyrwać, jednak ręka trzymała zbyt mocno. Właściciel ręki podniósł się do pozycji siedzącej. Białe szkielet skierował swoją pozbawioną mięśni i skóry czaszkę w stronę dziewczyny. Oczodoły wypełniły się czerwonym światłem, a pomiędzy obnażonych szczęk wydobył się biały dymek, który pokonał drogę od gęby umarłaka do ust dziewczyny. Kasia odruchowo wzięła głęboki oddech, a wraz z nim wciągnęła w płuca biały dym. Szkielet opadł, puszczając nadgarstek dziewczyny. Kasia stała bez ruchu nad grobem z liśćmi i nerwowo przetykała ślinę. Nagle jej oczy zmieniły barwę na czerwoną i znieruchomiały. Dziewczyna poruszała się jak w transie. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła nożyk sprężynowy, którym obcinała korzenie zebranych grzybów. Położyła go na podłodze i zdjęła ubranie. Każdą część garderoby mechanicznie składała i układała na małej kupce obok butów. Po chwili, stojąc nago, podniosła nóż i przyłożyła jego czubek do swojego łona. Jednym, zdecydowanym ruchem wbiła nóż w ciało po rękojęść i pociągnęła do góry, aż po piersi. Kobiece trzewia otworzyły się, ziejąc szkarłatem i brocząc krwią. Z dziury wypadły wnętrzności. Kasia odrzuciła nóż i złapała swoje jelito, które opadło najniżej. Przyłożyła je do ust i zaczęła jeść. Nie przeżuwała poszczególnych kęsów, tylko przetykała. Po chwili jej usta pełne były krwi i fragmentów kału, zgromadzonego w zakręconych zwojach jelit. Po ich spożyciu wydobyła wątrobę i też ją zjadła.

Potem śledzionę, nerki, płuca. Na końcu wyrwała sobie serce i dopiero wtedy zmieniła pozycję. Jej oczy, dotąd wpatrzone w jeden punkt, wbiły się w najważniejszy narząd i zalsniły. Z pietyzmem wbiła zęby w mięsień sercowy i z największą czcią przeżuła każdy kęs. Gdy się najadła i nie miała w sobie już żadnego życiodajnego organu, położyła się na kurhanie. Resztę załatwią owady. Zamknęła oczy i dopiero wtedy płomień w jej oczach zgasł.

Piwniczka była skąpana we krwi i resztkach wnętrzości. Jak już leżała, do środka wpełzł po schodkach batalion larw. Obsiadły każdy fragment jej ciała, dokańczając dzieła. Wyjadały kolejno oczy i mózg. Z czasem skóra wyschła i odpadła od zgniłej tkanki. Wiatr przywiął kolejną porcję starych igieł i okrył nim szkielet.

Kopczyk miał teraz metr sześćdziesiąt pięć wysokości.



Rok później

Krzysztof uwielbiał grzybobranie. Był pisarzem i czerpał z lasu inspirację. Szedł przed siebie, wymachując pustym koszykiem – nie poszczyściło mu się tej jesieni.

Dotarł do przewalanej brzozy. Już miał się wycofać, gdy w odległości piętnastu metrów ujrzał pięknego prawdziwka. Uśmiechnął się. Może jednak zbiory w tym roku nie będą takie złe. Przeskoczył przez powalone drzewo i skierował się w głąb chłopskiego lasu.





Paulina Król
ULTIMATUM

*Nie śpię
Lecz on też nie śpi
Słucham
Lecz on też słucha
Czekam
Lecz on też czeka
(...)
Przepraszam: czy pan też
umiera*

Rafał Wojaczek, W podwójnej osobie

Maciej siedział przy biurku i bezmyślnie patrzył na migający kursor. Tęskno wypatrywał Weny, tej najbardziej rozkapryszonej z muz. Teraz potarł dłonią szczecinę na policzku i westchnął, słysząc odgłos zamykanych drzwi. Małżonka znów zrobi mu awanturę o nieróbstwo i marzycielstwo, które pochłaniają niczym czarna dziura każdą sekundę, każdy posiłek, każdy wieczór i każdy oddech mężczyzny. – Maciej? Piszesz? – Z dołu schodów dobiegł zdyszany i lekko zirytowany głos żony. Mężczyzna odchrząknął i służalczym tonem odparł: – Tak, kochanie. Próbuję.

Pisarz usłyszał jedynie oddalające się kroki i spochmurniał. Musi coś napisać, musi! Od premiery ostatniej, trzeciej książki Macieja minął rok, a wydawca był coraz bardziej podenerwowany. „Trzeba kuć żelazo, póki gorące” – mawiał, jednak ten fragment metalu dawno już ostygł.

Maciej ze złością zamknął pokrywę laptopa, zdusił niedopałek, który trzymał w ręku, wstał i skierował się w stronę drzwi. Kolejna kawa jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a parę minut w towarzystwie żony może tylko pozytywnie wpłynąć na ich wzajemne relacje.

– Wiesz, tak sobie myślałam o pisarzach, inspiracjach i takich tam – rzekła Beata, obserwując męża sypiącego neskę do kubka.

– Uhm. I co wymyśliłaś?

– Że każdy pisarz potrzebuje porządnego kopa w dupę, żeby cokolwiek stworzyć. Wiesz, jakieś takie ekstremum. Wydarzenie, które wywróci życie do góry nogami, a zaowocuje przyływem weny.

– Uhm – burknął Maciej, marszcząc brwi.

– I mam dla ciebie takie wydarzenie.

– Tak?

– Masz tydzień. Jeśli trzydziestego pierwszego lipca nie będziesz miał pierwszego rozdziału, pakujesz manatki i wypierdasz. Po tych słowach Beata odwróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Dzień 1

Nie, nie dam rady. Kurwa. W przyływie rozpaczyny zacząłem posiłkować się Google. Przeczytałem dzisiaj, że jeśli masz problem z natchnieniem, to po prostu zacznij pisać. Cokolwiek. Niech twój umysł pracuje, myśli przemieniają się w zdania, palce niech czują kształt klawiszy, uszy niech słyszą ich muzykę.



Ponoć to sprawia, że blokada, która powstała w części jestestwa odpowiedzialnej za artyzm, znika. Cóż, zagryzę zęby i zrobię to, o co mnie prosi – by uratować zarówno mój byt, jak i moje małżeństwo.

Zatem piszę. Ona w pracy. Nic do mnie nie mówi, nawet na mnie nie patrzy. Czuję, że wzbudzam w niej wstręt. Jestem nieudacznikiem, frajerem, bezrobotnym autorem trzech lichych książek science-fiction. Prawda, biję się w pierś. Piję kawę za jej pieniądze, palę papierosy, za które ona płaci. Trzydziestotrzyletni utrzymanek. Na mojej szyi zaciska się pętla, dusi mnie. Ważą się moje losy, a mimo to nie czuję nic prócz frustracji. Część mnie pragnie buntu, krzyku, chce rzucić to wszystkoi zniknąć; inna część, niestety, przyznaje Beacie rację. Siedem dni.

Gdzie pójdę?

Co zrobię bez niej?

Miłość, wierność, uczciwość małżeńska. Nie opuszczę cię aż do śmierci. W zdrowiu i chorobie. Suka.

Mógłbym o tym napisać. Dlaczego nie? Ta ignorantka i tak nigdy nie raczy przeczytać tego, co jej mąż tworzy. Chce pierwszy rozdział, to będzie go miała. Wszak najlepsze historie pisze samo życie.

Michał otworzył oczy i mimowolnie oparł rękę na pustej, zimnej poduszce. Inga spała u koleżanki. Znów. Westchnął głęboko i chrapliwie zajęczał. Dlaczego to spotyka właśnie jego? Dlaczego te kobiety zawsze czegoś chcą? Przecież widziały gały, co brały. Jest pisarzem, a nie jest rzemieślnikiem. Nie potrafi na zawołanie stworzyć dzieła życia, sztuka potrzebuje czasu. A kobiety nie mają ani czasu, ani cierpliwości.



Moja też nie ma. Eh, ta Beata. Co ja w niej widziałem? Zarozumiała suka.

Inga była kobietą po tak zwanych przejściach, o ile można tak nazwać dwa rozwody i romans z nauczycielem, który zrobił jej dziecko. Dziecko zmarło w wyniku porażenia mózgowego, zaś romans – z przyczyn naturalnych. A on? Mężczyzna idealny. Romantyk, poeta, prozaik. Spotkania autorskie, podpisywanie książek, fanpage na facebooku i liczne propozycje wydawnicze. Tyle tylko, że w pewnym momencie te wszystkie awanse uległy wyczerpaniu, spowszedniały na tyle, że przestały robić wrażenie. Inga żądała coraz więcej i więcej. Więcej czytelników, większe nakłady, większe pieniądze. A ta zazdrosna Wena, mściwa i zawistna kobieta-dragon, spakowała swoje rzeczy i wyniosła się na dobre. Nie, nie polubiły się z Ingą.

Z Beatą również.

Pisarz czuł wszechogarniającą frustrację. Te ciągle klótnie, awantury i przytyki nie tylko zatruwały jego związek, ale i niszczyły jego pracę. Nie potrafił się skupić; od miesiąca nie napisał ani jednego zdania. Teraz leżał w pustym łóżku i pozwalał, by narastał w nim gniew.

Coś czuję, że mógłbym się z tym facetem dogadać.

Odpalam papierosa i wyobrażam sobie jej wzrok. Beata patrzy na mnie i liczy każdy bach. Dwadzieścia groszy. Czterdzieści groszy. Ile kosztuje jeden papieros? Ile ja palę? Czterdzieści dziennie? Jezu, jak tak dalej pójdzie, to zanim skończę ten rozdział, zdążę kitnąć na raka! Ja pierdołę. Co ze mnie za pisarz? Nawet pamiętnika nie umiałbym dobrze prowadzić.



Mężczyzna wstał i zapalił papierosa. Powłócząc nogami przeszedł kilka kroków do biurka i poruszał myszką. Komputer obudził się z mruknięciem, odsłaniając pusty plik wordowski. Cursor wciąż migał. Nieustannie, niczym niekończący się wyrzut sumienia. Michał usiadł i położył palce na klawiaturze. Delikatnie musnął opuszkami plastikowe przyciski. Lubiał ten dotyk, te wszystkie obietnice, historie zaklęte w klawiszach. Wystarczy tylko pozwolić palcom na taniec. Wystarczy tylko...

Trzaskanie drzwiami. Jak długo to piszę? Osiem godzin? Beata szura nogami. Jakby suka nie mogła tych swoich szkitek wyżej podnosić. Nienawidzę sposobu, w jaki ona chodzi. Nienawidzę jej.

...potok myśli, które miały zmobilizować Michała do tworzenia sztuki przerwał odgłos otwieranych drzwi. Inga wróciła. Przewrócił oczami, asekuracyjnie jednak wpisał w pliku „Memento Mori. Opowiadanie Michała Jankowskiego”. Inga z pewnością rzuci okiem na ekran komputera, zaś jej facet od wielu lat jej wmawiał, że tytuł to najtrudniejsza kwestia każdego tworzenia. Potem idzie jak burza. Tytuł zobowiązuje. Tytuł określa. Tytuł weryfikuje. Uporządkowanie myśli to najważniejsza część procesu powieściopisarstwa. Może dzisiaj łóżko nie będzie tak zimne.



Dzień 2

Beata wciąż się do mnie nie odzywa. Nie sprawia mi to problemu, ale czuję, że ona chce mnie postawić w sytuacji bez wyjścia. Wczorajszej nocy rzuciła okiem na ekran komputera. Nie czytała tekstu, ale widziałem grymas niedowierzania na jej twarzy. Po kąpieli – celem mobilizacji, podejrzewam – przemknęła obok mnie w kusym ręczniczku. Jej długie, mokre blond włosy muskały brzoskwińskie ramiona, a krople wody, chytrze spływające w dekolt, chłodziły sterczące spod ręcznika sutki. Mimowolnie czułem, że robię się twardy. W tamtym momencie jeszcze bardziej ją znienawidziłem. Miałem ochotę złapać jej mokre kłaki i szarpnąć z całej siły. Chciałem, by nie mogła złapać tchu. Chciałem ugryźć jej naprężoną szyję i posiąść jej wciąż wilgotne ciało. Chciałem zrobić jej krzywdę.

Inga rzuciła okiem na tytuł opowiadania i rozanielona rzuciła się Michałowi na szyję. Kobiety są takie łatwe! Wieczór i noc to już historia. Historia, która wciąż – powtórzona rano – sprawia ból przy oddawaniu moczu. Siniaki na pośladkach Ingi stanowią świadectwo frustracji mężczyzny. Nie miał absolutnie żadnych skrupułów, gryzł, szarpał, bił, a ona – miast załagodzić, załkać, poprosić, by przestał – wyla i z ochotą przyłączyła się do ostrej zabawy. Cel zawsze uświęca środki, nieważne zatem, jakimi pobudkami się kierowali. Michał – gniewem i frustracją, Inga – tęsknotą i ulgą. Miłość fizyczna bywa bolesna, ale to wciąż miłość.

Prawda? A gdybym tak chwycił Beatę, przyparł do ściany i zgwałcił? Czy można dokonać gwałtu na własnej żonie? Ja, o nieposzlakowanej opinii, pisarz, spokojny intelektualista miałbym z g w a ł c i ć żonę? Panie sędzio, żonie się w coś głowie poprzewracało... proszę spojrzeć, romans z nauczycielem, martwe dziecko, depresja.

Kobiety mają nowoczesną depresję. Małe piersi, duże brzuchy. Mężczyźni pijący piwo podczas meczów, kobiety z siniakami na pośladkach. Wszystkie Ingi i Beaty tego świata to suki. Wszystkie nadają się tylko do jednego.

Kolejna kłótnia. Inga wyszła, trzaskając drzwiami. Michała to już nie obeszło, przyzwyczajenie wszak jest drugą naturą. Usiadł i wrócił do pisania.


Tak jak ja. Siedzę i piszę, kolejne godziny. Bestsellera z tego nie będzie, ale może Beata da mi spokój.

Impas. Nie wyobrażam sobie życia bez niej, ale z nią czuję się jak pasożyt. Ona *s p r a w i a*, że tak się czuję. Na każdym kroku udowadnia mi, że jestem nikim, a notoryczne wmawianie czegoś powoduje, że zaczynamy w to wierzyć. Podkopuje moje poczucie własnej wartości, co z kolei wywołuje spadek chęci tworzenia. Michał ma podobnie, ale jeszcze to do niego nie dotarło. Muszę mu dać do zrozumienia, że Inga to mściwa suka – siostra Beaty, bliźniacza bądź syjamska kalka tej samej wstrętnej ropuchy, żmii, dragona. Wzbiera we mnie nienawiść tak wielka, że nie byłbym w stanie jej unieść nawet, gdybym został zmuszony. Stłamszony frajer, pantoflarz, przyciśnięty obcasem robak. Może powinienem pozwolić jej odejść? Problem stanowią jedynie kwestie techniczne i finansowe. Gdzie miałbym mieszkać? Za co żyć?

Jankowski, po trzecim już piwie, rozsiadł się wygodnie na kanapie i zaczął rozważać swoje możliwości. Teoretycznie mógłby rozstać się z Ingą bez wyrzutów sumienia, wszak z góry wiedział, że to kobieta z problemami. Taka przeszłość determinuje przyszłość, dawne niepowodzenia rzutują na całe jestestwo, wpływają na sposób podejmowania decyzji i styl bycia.

Zresztą kobiety trzydziestodwuletniej nie da się już tak, ad hoc, wychować. Zdawał sobie sprawę, że w jego wieku nie ma ludzi pozbawionych bagażu, a ten bagaż zwykle przysparza najwięcej problemów. Mógłby to wszystko rzucić w diabły, nadal całymi dniami leżeć na kanapie, palić fajki i pić wódkę z red bullem, a książka tak czy inaczej kiedyś zostanie napisana. Różnicą byłby jedynie brak gładzenia nad uchem i życie wolne od fochów. No i brak seksu. A brak seksu zdecydowanie wpłynąłby negatywnie na możliwości twórcze...

Beata była dzisiaj u fryzjera. Właśnie ją ujrzałem. Piękna dziwka, którą pragniesz mieć teraz, natychmiast. Trudno było mi się opanować, by jej po prostu nie wziąć tam, w tym przedpokoju, gdzie się mizdrzyła przed lustrem i trzepotała włosami jak siksa, którą już z grubsza dziesięć lat nie jest. Ciekawe, czy Jankowski by sobie poradził...



Inga weszła do mieszkania wprawiając swojego faceta w osłupienie. Jej kruczoczarne włosy zmieniły ją prawie nie do poznania. Nowa fryzura to jednak zastrzyk pewności siebie dla każdej kobiety. Emanował z niej sam seks, zaś Michał – mocno już otepiałym spożytym alkoholem – nagle poczuł ciepło w okolicach krocza, pulsujące naprzemiennie bólem i przyjemnością. Nie powstrzymując erekcji chwycił nowe uczesanie Ingi i mocno pociągnął w dół. Kobieta jęknęła; odchylona tchawica nie dopuszczała do płuc wystarczającej ilości powietrza, przez co Inga przez moment nie mogła oddychać. Nie zważając na to Michał przyparł do dziewczyny całym ciałem i ugryzł naprężoną skórę jej szyi. Inga próbowała się wyrwać, jednak żelazny chwyt

nie pozwalał na jakąkolwiek obronę; brak tchu i ból napiętego skalpu wyciskał łzy z powiek. Pisarz rozsunął kobiecie uda i wolną ręką prędko spuścił spodnie do kolan, wyzwalając twardego już fallusa. Inga płakała, ale przestała się szarpać; stanie bez ruchu i ciche przyzwolenie nie tyle zmniejszyło ból, co było jedynym, co mogła zrobić. Wysunęła biodra do przodu, by jej gwałciciel mógł bez przeszkód podciągnąć spódnicę i zerwać z niej majtki. Wszedł w nią brutalnie; kolejne łzy płynęły jej po policzkach. Każde kolejne pchnięcie łączyło się z szarpnięciem za włosy. Jankowski, zamroczony pożądaniem, zdawał się nie widzieć pierwszych kropli krwi, wydobywających się spod ściąganego skalpu. Inga zaczęła krzyczeć, wybałuszywszy oczy. Czuli, jak jej kochanek rozdziera ją penisem od środka, każde kolejne pchnięcie było mocniejsze od poprzedniego i każdemu towarzyszyło skalpowanie. Szczytując, Michał wbił się zębami w szyję Ingi i odgryzł kawałek jej ciała. Pulsująca, jasnoczerwona krew tętnicza chlusnęła z rany w tym samym momencie, w którym z penisa wypłynęła gorąca sperma. Rozdziawił usta i chłonął pulsujące wytryski ciepłej, słodkiej krwi, podczas gdy Inga powoli gasła. W końcu, śmiertelnie zmęczony Jankowski, puścił włosy kochanki i odsunął się od jej truchła. Ciało runęło bez życia na podłogę i zastygło w bezruchu, przyjmując pozę tak komiczną, że pisarz aż parsknął śmiechem. Rozorana szyja, krew na udach, skóra odchodząca od czaszki i ta nieszczęsna spódnica, wciąż zawinięta na wysokości pasa.

- Małeńka, to był najlepszy seks w moim życiu – wydusił, wciąż chichocząc.

Nie, to nie może tak być. Jestem autorem powieści science-fiction, a nie takich chorych historii! Szczerze mówiąc, jakoś dziwnie mnie to kręci.

Pisanie o tym zajęło mi trzy godziny i wciąż mam rękę lepłą od spermy. Nie wiem nawet, kiedy zdołałem sobie zwalić. Może ta moja ślubna miała rację? Może to ultimatum odblokuje tkwiące we mnie bariery?

Dzień 3



Beata zrobiła mi kolejną awanturę. Nie wiem nawet, o co poszło. Wypiłem sporo poprzedniego wieczoru podczas pisania „Memento Mori” i rano wstałem tak skacowany, że ledwie mogłem chodzić. Żona nie wróci już do domu po pracy. I dobrze.

Jednak jestem złym człowiekiem. Wczorajsza historia wywołała u mnie podwójnego kaca – tego alkoholowego oraz moralnego. Zupełnie jakbym przespał się ze znajomą po pijaku i rano zrozumiał, że to był błąd. W tym wypadku, błędem była przemiana sfrustrowanego pisarza – przyjaciela, w mordercę. Ta historia jednak tworzy się sama, ja jedynie ją opowiadam. Mam związane ręce, nie mogę niczego zmienić. To, co przedstawia opowieść jest – już w momencie pisania – przeszłością.



Przedpokój mieszkania przypominał rzeźnię. Ściany, lustro i drzwi wyjściowe były skąpane we krwi, kontrastującej barwą z sinym kolorem martwego ciała Ingi. Mężczyzna, po przebudzeniu i wyjściu z odurzenia wódką, zwymiotował, dodając do całokształtu kilka kolejnych kolorów. Już się nie śmiał. Świadomość tego, co zrobił, dotarła do niego z taką siłą, jak żaden moralniak nigdy wcześniej. Zabił człowieka. Inge. Swoją kobietę.

Przywarł do martwego ciała i bezskutecznie próbował je ocucić. Łzy mieszały się ze smarkami, a te z kolei z zasychającym śluzem pokrywającym pozbawioną skóry czaszkę.

Wyrzut sumienia tak oczywisty, tak czerwony, tak siny. Zroszona łzami blada skóra kobiety połyskiwała srebrem, nadając jej demoniczny, psychodeliczny wyraz. Michał nie mógł uwierzyć w to, co widzi, a jednak krew na rękach, członku i podbrzuszu stanowiła niezaprzeczalny dowód zbrodni.

Co teraz? Czy powinien wyczyścić mieszkanie, usunąć zwłoki i żyć w kłamstwie? Udawać, że Inga wyjechała z koleżanką, opuściła go, odeszła bez pożegnania?

Jankowski wyszedł z przedpokoju i skierował się do szafki kuchennej. Podciąć sobie żyły? Przedawkować tabletki nasenne? Skoczyć z dachu? Stał, trzymając w ręce nóż kuchenny, i kiwał się na piętach. Wreszcie odłożył nóż i w jego miejsce włożył butelkę z wódką. Pijąc alkohol prosto z gwinta, powrócił do ciała. Czując, jak kaliber czterdziestu procent spirytusu płynie przelykiem, obserwował surrealistyczne płótno swojej zbrodni, popełnionej w amoku. Plamy krwi przybierały kształty kwiatów. Cały przedpokój wydawał się senną marą, krainą wiecznego mroku i świadectwem niewyobrażalnej makabry. A jednak to nie była sztuka, tylko rzeczywistość.

Prawda i fałsz zaczęły się zacierać, Jankowski miał trudności z odróżnieniem faktów od fikcji. Pijąc wódkę prosto z butelki kiwał się, wpatrzony w truchło dziewczyny. Kilka łyków wystarczyło, by dobrze znajome zamroczenie powróciło wraz z mrowieniem w kroczu. Odrzucając od siebie kwestie moralne zsunął bokserki i wszedł w zimne i nieprzystępne wnętrze trupa. Pełna erekcja nie nadchodziła; zmasakrowana szyja kobiety i odsłonięta czaszka drwiły z niego, zaś wciąż wytrzeszczone oczy zdawały się wykrzykiwać: „nie dość, że niedojda, to jeszcze impotent”. Ze złością wyszedł z Ingi, odwrócił ją na brzuch i odchylił pośladki. Już w momencie, gdy splunął jej w odbyt poczuł, że osiąga pełnię wielkości.

Przyciągnął trupa do siebie i począł posuwać, ignorując smród przedśmiertnego kału, oblepiającego pośladki i nogi kobiety. Znów poczuł spełnienie, ciasna i zimna dziurka Ingi sprawiała mu ból, ale jednocześnie i taki rodzaj rozkoszy, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. Zaciśnął dłonie na martwych piersiach i wbił paznokcie, rozorując tkankę. Sekundę po orgazmie stracił przytomność.

Nie tak, to nie tak miało być. Historia nie chce być zmieniana, ale ja uparcie potrzebuję ukarać Michała za to, co zrobił. On jest jednak jeszcze bardziej pokręcony, niż sądziłem. To chory człowiek. I wyszedł ze mnie! Czyżbym i ja miał w sobie załączki psychopaty? Czyżby i we mnie tkwił pierwiastek bestialstwa, komórka odpowiadająca za maniacką przemoc?

Brzydzę się nim, ale paradoksalnie... znów się masturbowałem. Współodczuwałem z nim tę rozkosz wynikającą z ruchania martwego ciała.

Empatia to najlepszy przyjaciel prawdziwego pisarza. Beata wciąż u koleżanki. Koleżanka na imię ma Inga. Niezwykły zbieg okoliczności.

Dzień 4

Całą noc biesiadowałem. Beata nie wróciła na noc do domu. Zabawne. Jedna Inga w tym właśnie momencie wmawia mojej kobiecie, że powinna mnie zostawić – jak to baby – zaś druga leży w przedpokoju kumpla martwa jak mumia faraona. Jankowski skarżył się, że zaczyna śmierdzieć; cóż, całkiem logiczne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że mamy lipiec, a ostatnie trzy dni były najgorętszymi dniami lata. Przyjaźń nie sprzyja egzekwowaniu ponoszenia konsekwencji swoich czynów, acz winna to robić. Któż powie ci prawdę, jeśli nie przyjaciel? Muszę się napić.

Dzień 5

Trup Ingi zaczął śmierdzieć. Upały w Szczecinie były nie do zniesienia; temperatura w mieszkaniu sięgała trzydziestu pięciu stopni. Niebawem smród przeniknie przez ściany i zaalarmuje sąsiadów. Pisarz, na zmianę przejęty wyrzutami sumienia i podnieceniem, usilnie próbował znaleźć rozwiązanie. Z jednej strony pragnął zachować sobie Inge już na zawsze – wciąż była sobą, choć nieżywą; nawet to było zabawne. Inga była wciąż Ingą, ale już nie zrędziła i nie miewała fochów. Niczego nie żądała. Nie stała nad głową i nie jęczała, żeby pisał. Żeby zarabiał. Żeby coś robił. Grzecznie leżała i oddawała mu się bez reszty.

Kobieta idealna.

Z drugiej strony nie mógł poradzić sobie ze świadomością, że zamordował człowieka. Być może szok wywołany tym aktem spowodował u niego chorobę psychiczną. Tego nie wiedział; wyparł ciężar winy i powoli zatracił się w psychozie; naprzemiennie gwałcenie trupa i upijanie się do nieprzytomności stanowiło obecnie prozę jego życia.

Zdrówko, stary. Choć twoje życie toczy się równolegle w innym wymiarze – wymiarze mojej fantazji – to ja jestem twoim Bogiem, a ty moim desygнатem.

Dzień 6



Michał przestał rozróżniać pory dnia. Wciąż polegiwał w tych samych brudnych bokserkach, które nosił w dniu morderstwa. Dopiero telefon wyrwał go z letargu. Matka Ingi próbowała się z nią skontaktować – a głos przyszłej (niedoszłej) teściowej wywołał lawinę.

Momentalnie trzeźwy, spojrzął raz jeszcze na swoje dzieło – makabryczną groteskę, w której główną rolę żeńską odegrała Inga, zaś on sam wcielił się w nigdy niedocenionego reżysera. Spektakl musiał dobiec końca.

Odłożył słuchawkę i automatycznie skierował się w stronę łazienki. Odkręcił kran z zimną wodą i obmył twarz, po czym po raz pierwszy od kilku dni spojrzął w lustro. Ten widok go przeraził. Zapadnięte policzki, wylupiające oczy, ściągnięte usta. I ta barwa skóry. Sina.

Michał złapał się za pierś i, zorientowawszy się, że z jego serca wystaje nóż, zemdlął.

Dzień 7

Szczeciński Ekspres, 15.08.2013

Policja wtargnęła do mieszkania w Szczecinie, z którego wydobywał się niemiłosierny odór. Znalaziono w nim ciała dwóch osób – Macieja i Beaty R.. Kobieta została zamordowana przez męża prawdopodobnie w trakcie brutalnego aktu seksualnego, a po śmierci była jeszcze wielokrotnie gwałcona. Mężczyzna popełnił samobójstwo, wbijając sobie w pierś nóż kuchenny. Patolog na podstawie wstępnych oględzin określił czas zgonu na dwanaście godzin po morderstwie Beaty R. Policja poszukuje odpowiedzi na pytanie, kto po śmierci małżonków uprawiał seks z martwą kobietą.

Po mężczyźnie pozostały liczne notatki, w których zapisywał wydarzenia mające miejsce w ostatnich dniach jego życia.

Co ciekawe, niektóre zapiski powstały już po śmierci Macieja R.. Policjanci informatycy sprawdzają dane z komputera denata, jednak na chwilę obecną są przekonani, że nie nastąpiła pomyłka. Notatki oznaczone tytułami „Dzień 4”, „Dzień 5” oraz „Dzień 6” zostały napisane po samobójczej śmierci Macieja R., zaś w mieszkaniu nie stwierdzono w tym czasie obecności osób trzecich. Sztab specjalistów pracuje nad próbą wyjaśnienia tej kuriozalnej sytuacji. Dla T.G.



Tomasz Czarny

Tomasz Czarny – Rocznic 81'. Wrocławianin. Pisarz i promotor prozy spod znaku horroru ekstremalnego i bizarro. Z wykształcenia handlowiec. Tata sześćioletniego Jakuba. Pasjonat wszelkiego rodzaju grozy literackiej i filmowej.

Debiutował na łamach portalu bizarro „Niedobre Literki” opowiadaniem „Ostateczność”. Jego teksty ukazywały się kolejno na portalach grozy, m.in. Horror Online, Horror Reviews, Kostnica. pl. oraz w internetowym periodyku „Głos Fantastyki” oraz dwumiesięczniku „QFANT”. Na papierze debiutował na łamach magazynu „HORROR MASAKRA” opowiadaniem pt. „Oddałam ciało w dobre ręce”. Autor „Trylogii Gniewu” dostępnej w serwisie Wydaje.pl. Laureat II miejsca za opowiadanie „Winda” w konkursie na halloweenowe opowiadanie grozy w serwisie Kostnica.pl.

Pomysłodawca i współtwórca e-bookowej antologii horroru ekstremalnego „Gorefikacje” oraz wydanej w portalu Wydaje.pl. „Trylogii Gniewu”. Gość Krakonu 2013.

Wielbiciel twórczości Richarda Laymona, Edwarda Lee, Jamesa Herberta, Jacka Ketchuma, Johna Eversona, Wratha Jamesa White’a i Briana Keene. Fan mocnego rocka, grunge’u i death metalu, kilkanaście lat grający na gitarze elektrycznej.

Amator kina spod znaku Johna Carpentera, Dario Argento, Lucio Fulciego, Ridleya Scotta, Jima Jarmusha i Kevina Smitha. W chwili obecnej pracuje nad pierwszą powieścią i zbiorem opowiadań.





Tomasz Czarny
BRZYTWA

*Magdzie,
za to, że jest.*

Minął prawie rok, odkąd odeszła. Rok picia, bólu, depresji, wyrzutów sumienia i nieprzespanych nocy. Rok upokorzeń, wstydu i samobójczych myśli.

Była mu całym światem. Promykiem, który rozświetlał mrok jego głównianego życia.

Była wszystkim.

Była.

Każda myśl o niej, każde nawet nikłe wspomnienie raniło jego serce niczym igły i powodowało utratę tchu. Za życia kochał ją jak szalenciec, zaś po jej śmierci uczucie jeszcze się wzmocniło. Tony papierosów i morze alkoholu; butelki nie mieściły się w pokoju. Odkąd zginęła, w jego mieszkaniu nie było gości. *Mieszkaniu*. Dobre. Barłogu, w jaki się zmieniło, nie sposób było nazwać mieszkaniem. Stosy ubrań, niedopałki, brudne naczynia walające się, gdzie popadnie. Dziwił się, że jeszcze nie spłonął żywcem, zasypiając pijany z tłącym

Te samotne wieczory, kiedy wracał z pracy i nie wiedział, co ze sobą począć... Jedyłą alternatywą był alkohol, choć z czasem nawet picie go denerwowało i miał już dość. Xanax, prozac i relanium zastępowały mu przyjaciół. I ją. Bywały jakieś przelotne laski



w podrzędnych hotelach, lecz nawet nie mógł mu stanąć. A one tak się starały. Nic dla niego nie znaczyły, ale nieraz po prostu musiał skosztować smaku kobiecego ciała, by mieć wrażenie, że jest jeszcze normalny, że wszystko z nim w porządku. Ułuda.

Nie miał zielonego pojęcia, jakim cudem mobilizował się, by wytrzymać w pracy tyle godzin. Może to efekt koksu, który pochłaniał gramami, a może po prostu była to jedyna rzecz, która jeszcze trzymała go przy życiu. Adiunkci i doktoranci, wszyscy widzieli jak cierpi, ale nie wtrącali się, dopóki mógł jeszcze ustać na nogach i nie robił scen. Te młode studentki, które tylko marzyły o tym, by przytulić go do swej ciepłej piersi. By rozłożyć swe nogi szeroko i dać mu ukojenie. Ich świdrujące spojrzenia i zatroskane twarze. Mógł ich mieć na pęczki i, prawdę mówiąc, nieraz ulegał pokusie. Często kompletnie nie panował nad sytuacją i stawał się wobec nich brutalny. Niemily. Nieobliczalny.



Miał to gdzieś.

Był już innym człowiekiem. Nieczułym, zimnym i wyrachowanym.

Oszukanym przez świat, który mu ją zabrał. Jak, do cholery, śmiać?! Wielki Bóg. Kpina. Nie mógł się z tym pogodzić i prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie. Pijany kierowca. Jakie to trywialne. Właśnie *ona*. Niewinna, zaplątana w przypadkowy wir niefortunnych zdarzeń. Czysty przypadek.

Nic nie było zdolne uśmierzyć jego bólu. Praktycznie nie spał. Bał się zgasić światło i wyłączyć odbiornik telewizyjny, bo wówczas strach dopadał go w swoje szpony.

Czy ktoś mnie jeszcze pokocha? Czy będę już sam do końca życia? A może w końcu ze sobą skończę? Kiedy upadnę? Kiedy upadnę i więcej się już nie podniosę?

Te pytania go zadręczały. Ale był bezsilny. Koledzy od kieliszka, dziwki i *brown* palony łączywie na sreberkach. Gonienie kropli. Źrenice zmniejszały się i powiększały, zmieniając odcień. Różne odcienie szarości i różne odcienie depresji. Kuriozalne było to, że do zdobycia dragów nie musiał nawet opuszczać murów



matczynej uczelni. *Alma mater*, kurwa. Brązowa matka karmicielka. Jakież to wspaniałe! Kręciły się wokół niego koleżanki z pracy i młode siksy, które, nie mogąc patrzeć, jak się wykańcza, chciały zrobić mu loda tylko po to, by poprawić mu humor. Matki pocieszycielki od robienia laski. Nawet nie szukał nikogo na stałe. Nie chciał. Czuł, że samą myślą o gorących, świeżych ciałach zdradza Patrycję. Niemniej wiedział, że nie miałyby mu tego za złe. By zachować resztki godności i normalności wychodził nieraz do kina, księgarni czy teatru. Zawsze z małpką czy ćwiartką za pazuchą. Taki los. To był jedyny prawdziwy przyjaciel, który nie opuszczał go w potrzebie; był zawsze na zawołanie, pod ręką.

Patrycja była niesamowicie piękną kobietą. Ze swoimi rudymi, ognistymi włosami i nienaganną figurą robiła furorę, gdziekolwiek się nie zjawiała. Nie był nigdy zazdrosny. Ufał jej, a ona była mu zawsze wierna. Małutki spiczasty nosek i zielone oczy. Cała Patrycja. Jego Patrycja. Martwa Patrycja.

Gdy tylko udawało mu się zasnąć, prawie natychmiast koszmar porywał go w swoje nieczne łapska. Z reguły tak potwory i bolesny, że umysł sam wypychał go ze świadomości, dzięki czemu nie pamiętał snu po przebudzeniu. Bezdech i wszechobecny pot. Wielkie poczucie straty. Uczucie tak wstrząsające, że nawet nie był go w stanie zdefiniować ani opisać. Ta wszechogarniająca pustka i smutek. Nagła samotność. Ból nie do zniesienia. Z nią umarła także częśćka niego samego. A teraz połówka jabłka gniła i cuchnęła. Nic została zerwana bezpowrotnie.

Każdy dzień zaczynał od papierosa i strzelenia sobie pięćdziesiątki. W weekendy upijał się tuż po przebudzeniu. Zarośnięty, śmierdzący i słaby. Katował się, oglądając jej zdjęcia lub filmy DVD z oficjalnych uroczystości. *Boże, jak bardzo mi jej brakuje*, kołatało się mu w głowie. Zakupy i wyjścia z domu stawały się już bolesnym, wprost nie do wytrzymania przymusem. Jadał gotowe dania, przeplatając posiłki kolejnymi papierosami. Dym spowijał wszystko, tworząc szary całun, w którym żyło mu się jak w kokonie. Czuł się dobrze, niszcząc siebie po kawałeczku. Dążenie do autodestrukcji dawało mu sporą satysfakcję. Największą ulgę przynosiła brązowa heroina palona na sreberku po czekoladzie Goplana.



A teraz siedział tu. W wannie. Gorąca kąpiel przynosiła chwilowy porządek myśli i pozorny relaks. Zamykał oczy i pozwalał, aby woda zmywała wszystkie jego niechciane grzechy. Zazwyczaj podczas kąpieli był obolały i zmęczony, wręcz na wpół przytomny. Tym razem był pod wpływem relanium i szkockiej. Teraz było inaczej niż zwykle, bardziej mrocznie i posępnie. W końcu się zdecydował. Nie miał już sił z tym walczyć. Walczyć ze sobą, z bólem i całym światem. *Czas leczy rany*, mówili. Gówno prawda. Było inaczej także z innego powodu. Obok niego, na kafelkowym murku, leżała nigdy nieużywana, piękna brzytwa. *Ostatnia przyjaciółka*, tak ją nazywał. Podjął decyzję o spakowaniu swojego nędznego życia w diabły i wyruszeniu na spotkanie z nią. Tam. Nie mógł już dłużej się wahać. Decyzja została podjęta i była nieodwołalna.

Wlał w siebie ostatnią porcję alkoholu. Sięgnął po brzytwę i obejrzał ją z fascynacją. Przez głowę przelatowały mu wspomnienia wspnianych, wspólnych chwil z żoną. W oczach pojawiły się łzy. Woda w wannie była już zimna. Drżał. Zastanawiał się, czy jego samobójstwo nie wyrządzi nikomu krzywdy. Odłożył narzędzie i schował twarz w dłonie, kalkulując wszystkie „za” i „przeciw”. Tych „za” było zdecydowanie więcej. Po raz ostatni przywołał jej obraz w myślach. Widział, jak biegła do niego po łące w swojej białej sukience, z naręczem polnych kwiatów, które tak lubiła. Patrząc na nią wiedział, że jest najszczęśliwszym facetem na Ziemi. Słońce oświetlało jej piękne, rude włosy i bladą cerę. Letni wietrzyk niósł z daleka jej niesamowity, świeży zapach. Zapach szczęścia. Niewinności. Obietnicy.

A teraz był cieniem własnego siebie. Szczęście zostało zabrane. Normalność została zgwałcona. Porządek został zburzony. Marność. Chwycił brzytwę, jednocześnie wysuwając lewą dłoń przed siebie. *Woda powinna być gorąca*, przebiegło mu przez głowę. *Pieprzyć to*. Powoli zbliżał ostrze do wewnętrznej strony nadgarstka, czując przejmujący strach. Z oczu ciekły mu łzy.

Idę do ciebie, najdroższa. Nie mogę bez ciebie żyć. Wybacz mi. Wybacz mi wszystkie grzechy, których tak bardzo żałuję. Boże, wiem, że to dla Ciebie obraza, ale pozwól mi spotkać się nią. To moja ostatnia prośba.

W chwili, gdy ostrze miało zagłębić się w skórę, poczuł niesamowity ból w ręce. Jakby coś z potężną siłą wykręcało mu dłoń. Przestraszył się, nie wiedząc, co się dzieje. Brzytwa spadła na kafele. Kilka sekund po tym na przedramieniu ukazały się ślady palców. Zadrzał. Na twarzy poczuł powiew zimnego, wręcz lodowatego powietrza. Spojrzał w stronę drzwi i zamarł. W lustrze, znajdującym się na ścianie na wprost niego, zobaczył niewyraźny obraz kobiety. Nie miał wątpliwości, że była to Patrycja. Ta biała sukienka. Spoglądała na niego i uśmiechała się. Nie czuł strachu. W łazience zrobiło się nieludzko zimno, ale nie zwracał na to uwagi. Od roku nie czuł się tak szczęśliwy. Nawet, jeśli był to pijacki zwid. Nieważne. Patrzył na nią i chłonał ten obraz, a ona uśmiechała się do niego.

- Pati, Pati! To ty? Czy to naprawdę ty?! – Zapytał głosem drżącym od emocji.

Zjawa przyłożyła palec do ust, nakazując milczenie. Z oczu zaczęły jej płynąć krwawe łzy. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Poczuł silne napięcie, jakby zaraz coś miało wybuchnąć.. Jakby miało stać się coś złego. Szumiało mu w głowie i miał wrażenie, że jego skronie zaraz eksplodują. Na lustrze zaczęły pojawiać się pisane krwią litery, jedna po drugiej. Zrobiło mu się słabo. Z trudem odczytał treść, ponieważ litery były nakreślone odwrotnie.

„Żyj!”

„Kocham Cię...”

Zemdlał.

Ocknął się w wannie z zimną wodą. Zmarznięty. Czuł, że nic już nie będzie takie jak dawniej. Chciał zerwać z nałogami i z całym złem, które go otaczało. |Odrodził się na nowo, silniejszy. Zrobię to dla Ciebie Pati, przynajmniej spróbuję, pomyślał. Nie wiedział czy był to sen czy po prostu majak wynikający z wyniszczenia organizmu. Wiedział natomiast jedno. Było to ostrzeżenie i prośba zarazem. Nie mógł jej zignorować. Przecież tak bardzo ją kochał...





Patryk Hirsekorn

Hirsekorn Patryk (ur. 26 marca 1993 roku w Koszalinie) – student Politechniki Koszalińskiej na wydziale Elektroniki i Informatyki. Zadebiutował w antologii *Co się przydarzyło pani M.* opowiadaniem *Martwica*, kolejne opowiadanie pt. *Skrzopolód* zostało opublikowane na stronie internetowej www.secretum.pl. Pasjonat literatury, muzyki rockowej oraz funkowej.





Patryk Hirsekorn

MORA

Dąb przy rzece miał wielką koronę, czarną jak zwęglone drewno, jak wrona, która co chwilę latała z jednej gałęzi na drugą i krakała serenadę dla martwych słuchaczy. Wszystko tutaj było martwe: wieża kościoła, nagrobki, opadłe i podgniłe liście, spojrzenie Jakuba schowanego pod czarnym parasolem. Wszystko było martwe prócz rwącego nurtu rzeki, która w deszczu płynęła prędko i prawie wylewała się z koryta. Choć był ranek, niebo nad przykościelnym cmentarzu skrywało jasne promienie słońca za popielato-szarymi chmurami, rzewnie płaczącymi jak niemowlęcia.

W takim nastroju stał Jakub. W nastroju ponurej jesieni, kiedy to, co najlepsze, odchodzi. Umiera w zachodzącym świetle czasu, w otchłani nieskończonego, gdzie wszystko dobiega końca. Paradoks niżu emocjonalnego, kiedy jednak może być gorzej, niż jest w rzeczywistości. Jakub stał nad rzeką i patrzył, jak woda przelewa się w korycie, wychodząc między polami błotnistej od nadmiaru wilgoci ziemi, idąc wzdłuż wioski, nieco dalej od domów mieszkalnych, aż znika za mostem i sunie ospale w stronę dalekich, nieznanych chłopcu krain. Płynie marzycielsko, ale nie dzisiaj. W tej spokojnej Parsęcie drzemie wściekłość nie mniejsza niż ludzka. Potwór stworzony przez naturę, wybryk doskonałości.

Chłopiec chwilę się wahał, spojrział w lewo i w prawo, czy nikogo nie ma w pobliżu, i czubkiem nasiąkniętego wodą buta napał na ziemię, która osunęła się do rzeki i zniknęła, stając się częścią osadu. Kiedy Jakub spostrzegł, jak stopa zaczyna znikać pod ciekłym

gruntem, odsunął się przerażony na kilka kroków i niewiele brakowało, a nogą straciłby wygasły znicz stojący na nagrobku. Chwilę patrzył na krople deszczu uderzające o nagrobki, o nieznanne mu imiona i nazwiska, a potem się rozplakał. Płakał i oddychał głęboko, dopóki oczy nie wylały z siebie wszystkich łez i niepokojących myśli.

Dopiero wtedy ruszył z powrotem do domu, aby porozmawiać z ojcem. Zastanawiał się, czy ta rozmowa w końcu coś zmieni

*

Marzena wściekła się, kiedy zobaczyła, jak wygląda jej syn. Czerwone plamy wyskoczyły kobiecie na twarzy, setki myśli przemknęły przez głowę, a siwe włosy, które związywała właśnie w kitkę, opadły na plecy. Ręką energicznie wskazała na zegarek.

– Jest dopiero dziesiąta rano! Po co wychodziłeś na zewnątrz w deszcz, do cholery? Zobacz, jak ty wyglądasz – wykrzyczała, a Jakub kątem oka spojrzął na lustro zawieszony w przedpokoju. Wyglądał jak Jakub. Mokry, przemarznięty, z czerwonymi otoczkami wokół oczu ten sam Jakub noszący na barkach ciężar bycia czternastoletnim dzieckiem. – Sam to sprzątniesz, czy się rozumiemy? – Przeniosła palec na rozlewającą się na wszystkie strony kałużę. – A spróbuj zachorować, to tak cię spiorę, że przez tydzień nie będziesz mógł usiąść na tej chudej dupie!

Jakub spojrzął na matkę, a kącik ust drgnął mu na myśl, że mogłaby to zrobić. Marzena lubiła mówić różne, niestworzone historie. Często, jak się wściekała, mówiła coś, czego powiedzieć by nie chciała. Tak przynajmniej sądził Jakub. Nigdy nie dostał lania ani od matki, ani od ojca. Dumając nad tym, poszedł do łazienki zdjąć buty i mokre skarpety. Później pomyślał o ziemi. Pomyślał o rzece. **Z a d r ż a ł .**

– Jednak nie sprzątaj! – stłumiony przez zamknięte drzwi wrzask Marzeny dotarł do uszu chłopca. – Zajrzyj do dziadka! Sprawdź, czy czegoś mu nie trzeba!

Westchnął i zdjął z siebie koszulę oraz spodnie. Kiedy wrzucił je do pralki, uciekł do pokoju i tam nałożył na siebie suche, pachnące ubrania. Matka właśnie wychodziła do pracy i w domu zostało *trio pantoflo* – co w jej własnym języku znaczyło to, że wszyscy sprzątają, piorą i robią obiad. Trzech bezrobotnych mężczyzn, rodzinna tradycja Sawiczów przenoszona z pokolenia na pokolenie. Marek wstał o godzinie dwunastej, kiedy deszcz przestał dudnić o parapety. Zawsze, kiedy padało, ojciec Jakuba budził się dopiero wraz

z końcem ulewy. To była jedna z niewiadomych, której chłopiec nie potrafił rozgryźć jeszcze przed dwoma dniami. Teraz wiedział, dlaczego tak jest. Dlatego pół godziny później, kiedy Marek siedział i przyglądał się ekranowi telewizora w salonie, Jakub przyszedł ze spuszczoną głową, trzymając pod ręką stary, skórzany notes.

– Co tam? – spytał Marek piskliwym głosem, patrząc, jak syn podnosi pilota i wyłącza telewizor, a potem spogląda na jego twarz, która krzywi się w grymasie niezadowolenia.

– Musimy porozmawiać – odparł Jakub nieśmiało.

Marek siedział na fotelu. W takie dni, jak ten, skryty był w półmroku. Nikłe światło słońca schowanego za deszczowymi chmurami nie przebijało się przez zasłonięte okna i wysokie meble. Pokój był nimi wręcz zasypany, każdą ścianę zakrywały albo półki z płytami CD, książkami i szklanymi figurkami, albo komody z ubraniami Marzeny, które nie mieściły się w ich sypialni. Jakub usiadł naprzeciw, na fotelu otoczonym mglistym światłem lampki, którą zapalił. Oddzielał ich mały, szklany stolik, pod którym znajdowała się półeczka z gazetami i magazynami.

– Jezu, Kuba. Masz czternaście lat, w tym wieku nie musisz się bać, że dostaniesz karę. Wyglądasz, jakbym miał cię uderzyć – odparł Marek i oparł się wygodnie, zakładając jedną nogę na drugą. Kiedy położył ręce na oparciach fotela, a głowę przechylił na bok, wyglądał tak, jakby za chwilę miał wymierzyć mu siarczysty policzek. „Wyglądasz naprawdę przerażająco...” – pomyślał Jakub, a powiedział:

– Przepraszam. Ale... ale chcę, żebyś coś wiedział.

– Mama pojechała do pracy, więc możemy rozmawiać swobodnie. Mamy... – podniósł rękę i ruchem dłoni odgarnął sweter tak, aby mógł zobaczyć zegarek – ...trzydzieści cztery minuty po dwunastej w południe, czyli jakieś pięć godzin i czterdzieści dziewięć minut, zakładając, że nie zapomni zrobić zakupów – rzekł i usiadł w tej samej pozycji, w jakiej siedział przed chwilą. W życiu Jakuba nastąpiła, zdawać by się mogło, najdłuższa chwila ciszy, równie niezręczna, co próba rozpoczęcia rozmowy z ojcem.

Zegar tykał na ścianie, a Jakub patrzył to na Marka, to na notes, który położył na kolanach.

– Czy to książka z biblioteki dziadka? – spytał Marek. Jakub skinął głową, patrząc na poruszające się za oknem gałęzie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że do jego uszu dochodzi szum wiatru

przeciskający się przez nieszczelne okna. – Posadziłeś go na wózku? – Skinienie głową. – Znów ma maślane oczy? – Ten sam gest. – Idź sprawdź jeszcze raz, czy nie potrzebuje pomocy – powiedział Marek i sięgnął po pilota.

Jakub wstał bez słowa i ruszył w stronę pokoju dziadka. Zaraz wrócił po notes, który wepchnął za pas spodni. Kiedy otworzył drzwi i zapalił światło, zobaczył to samo, co przez ostatnie dwa lata. Teodor Sawicz nie tak dawno temu chodził o własnych siłach, właściwie to często nie było go w domu, a jak był, to zamykał się na klucz, dlatego Jakub nie znał go z tej *sprawnej* części życia. Kiedyś, kiedy matka wrzeszczała na ojca, słyszał, że dziadek miał kilka dziewczyn na boku i wyzywała Marka od bękartów, ale był to raczej zlepek wulgarnych słów mających na celu pokazać, kto w domu nosi spodnie. Rewersem tej kłótni była Marzena wspominająca o tym, że Teodor był posłuszny tylko jednej, jedynej kobiecie. Wtedy powiedziała Markowi, że ma być taki jak on i taki właśnie był. Przykład rodziny, kiedy kobieta ma męża i dziecko.

Teraz, wczoraj, rok temu i dwa lata wstecz Teodor siedzi i patrzy przed siebie lśniącymi oczami, z lekko otwartymi ustami i, kiedy Jakub zapomni go uczesać, potarganą czupryną. Przygarbiony, śmiertelnie chudy i żywy ciałem. Od kiedy dopadła go choroba Alzheimera, z czasem został skazany na dożywotni wyrok w postaci wózka inwalidzkiego i ograniczenia zbudowanego z czterech ścian – więzienia, którego uwagę odwracać miało łóżko, stolik, nocna lampka, długa półka pełna książek i tabliczka na drzwiach, na której widniał napis: CZTERY KĄTY TEODORA. Dostał ją od Marzeny w ramach żartu w poprzednim roku na urodziny, których nie pamiętał. Jakub zastanawiał się, czy kiedy miał przebłysk, zauważył tabliczkę. Przeważnie siedział w jednej pozycji i dumał nad niczym w milczeniu. Od kilku miesięcy tkwił właśnie w takim stanie czuwania i Marzena zastanawiała się, czy staruszka nie przenieść do domu opieki społecznej. Tylko błagania Marka odwlekały ją od działania.

Obowiązek troszczenia się o Teodora spadł na Marka, ale w wolne dni od szkoły dziadkiem opiekować miał się Jakub. Dawało to chłopcu pewien rodzaj swobody, na którą pozwolił sobie po raz pierwszy kilka miesięcy temu. Jako że chłopiec we wczesnych latach młodości zmuszany był przez rodziców do czytania książek, rozrywkę tę traktował jako ucieleśnienie najgorszej kary – przedsiónek piekła dla dzieci.

Stopniowo przestawał odwracać wzrok od długiej półki pełnej książek, kiedy przewijał pieluchę dziadkowi albo kiedy musiał go karmić. Wpierw, przypadkiem, na grzbiecie jednej ze skórzanych książek dopatrzył się tytułu *Ezoteryka Czarnego Ludu*. Dwa dni później odłożył ją z powrotem z nowo nabytą wiedzą. Potem były *Scientia Occulta*, a potem cała masa innych tytułów wypełniająca po brzegi jego wolny czas. Teodor interesował się zakazaną literaturą i chłopiec doszedł do wniosku, że wręcz z uwielbieniem musiał kartkować strony nabytych książek. Nigdy nie miał odwagi porozmawiać z ojcem lub matką o zainteresowaniach dziadka. Nie bał się tego, że dostanie lanie lub zakaz wchodzenia do pokoju, deprymowała go raczej myśl o tym, że zbiór wiedzy zakotwiczony na stałe w jednym miejscu stanie się niedostępny. Nie interesowała go treść na tyle, by obsesyjnie poddać się naukom o pradawnych bóstwach. Czytając, poznawał Teodora. Jego zainteresowania, jego kolekcję, jego zakodowaną głęboko za murem zapomnienia wiedzę.

Wpierw w s z y s t k o było domysłem. Kiedy Jakub znalazł kilka kartek spisanych ręcznie i kilka maszynopisów, w s z y s t k o stało się prawdą. Potem zaś, kiedy odnalazł notes, zrozumiał zainteresowania dziadka i w s z y s t k o stało się rzeczywistością. Zrozumiał, jaką ścieżkę starał sobie utorować taką wiedzą.

W s z y s t k o to zaczęło się od pewnego incydentu, po którym było tylko gorzej.

Teodor został dotknięty chorobą Alzheimera.

Marek nabawił się ombrofobii.

To miało miejsce w tym samym czasie, w tym samym miejscu, w tym samym życiu. Notes, który sporządził Teodor, otworzył Jakubowi drzwi do wielu tajemnic, o których nie chciał wiedzieć, ale które mogły pomóc ojcu. Dlatego teraz znowu siedzą razem naprzeciwko i patrzą na siebie beznamietnym spojrzeniem.

– To, co ci powiem, coś zmieni. P-prawda? – Jakub zawahał się i zaraz wzrok i ręce zajął na notesie. Na jego twarzy wystąpiły czerwone, bezkształtne plamy.

– Nie rozumiem, do czego dążysz? Może przejdziesz do rzeczy? – rzucił ojciec. Krople deszczu ponownie zaczęły uderzać o parapet, nadając Markowi nową granicę cierpliwości.

– Chodzi mi... chodzi mi o deszcz

– O deszcz?

– O ciebie.

– Zdecyduj się, Kuba. – Krople zaczęły napierać na szyby, pozostawiając na nich kręte ślady. Wczoraj modlił się do Boga o jeden ze słonecznych dni sierpnia, który zastąpiony został ulewą, ale kiedy patrzył teraz przez okno, zwątpił we wszystko, w co człowiek jest w stanie uwierzyć.

– Chcę ci coś przeczytać. Chyba wiem, dlaczego boisz się deszczu, tato.

– Ja się boję deszczu? Nedorzeczność – zaśmiał się i odwrócił głowę mimowolnie w stronę okna. Żrenice Marka stały się wielkimi denkami studni, a kiedy Jakub to zauważył, kącik ust na jego twarzy drgnął. Wolnym ruchem ręki otworzył notes. – Dlaczego miałbym bać się deszczu... – burknął Marek w zamyśleniu, zakładając nogę na nogę. Podrapał się w udo, wyprostował i oparł głowę na fotelu.

– Przeczytam ci coś, dobrze?

– Jasne, jeżeli chcesz. Ale poczekaj, najpierw zrobię sobie kawę.

Tak minęło pięć minut, kiedy ojciec, w ciszy, lekko przygarbiony, przygotowywał w kuchni napój. Jakub cieszył się w tej chwili, że wylał wszystkie łzy. Cieszył się, że ojciec nie pytał go o czerwone otoczki na oczach. Cieszył się, że może mu pomóc.

Ale twarz chłopca nie wyrażała zadowolenia. To była twarz starego mężczyzny ze sporym gabarytem doświadczeń emocjonalnych. Tak właśnie wyglądał, kiedy ojciec siadał z powrotem na fotelu, a na dzielącym ich stoliku salonowym kładł kubek gorącej kawy. Para wzlatająca jak ostatni wydech ku niebu przypominała Jakubowi pierwsze słowa pamiętnika, które przeczytał od razu, kiedy tylko spojrzął na niego Marek.

– Zimy w tej części Polski są nadzwyczaj srogie pod koniec lutego. Na przełomie lutego i marca zaczyna się ocieplać, normalna kolej rzeczy, kiedy biel przekształca się w zieleń, odchodzi zimno, a pojawia się ciepło. To dla naszych oczu jest wolny proces i nikt nie zauważa w połowie marca tego, że nigdzie już nie ma śniegu. Jest tylko nieskoszony trawnik i błoto od nadmiernej ulewy. Kiedy jednak dzień przed równonocą wiosenną śnieg dalej pokrywa chodniki przed domami, a przy każdym wydechu pojawia się kłąb niebiesko-białej pary wznoszącej się ku niebu tego samego koloru, oznacza, że coś jest nie w porządku. Wtedy wszyscy zdają sobie sprawę, że coś jest nie tak, przypominają sobie odległe dni, kiedy dokładnie rok temu ubierali płaszcz, a nie zimowe kurtki. Kiedy...

– Zatrzymaj się na chwilę – odparł spokojnie Marek. Kubek, który trzymał w dłoni, przychylił przy ustach. Napił się kawy, odsapnął i spojrzał raz jeszcze na syna.

– Jeżeli chcesz mi opowiedzieć historię o górach, niebach i krasnoludkach, to myślę, że będzie to strata czasu. Muszę przygotować dzisiaj obiad...

– Nie – przerwał Jakub. Nie odrywał wzroku od notesu. Przez cały czas wpatrywał się w kolejne zdanie. Kiedy ojciec chwilą ciszy oznajmił, że może kontynuować, Jakub zaczął ponownie czytać na głos. – Wiosna. Dwudziesty pierwszy marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Nagła zmiana pogody. Niebo pochmurne, deszcz napiera natarczywie na śnieg, moja żona właśnie wyszła do toalety po tym, jak doszedłem w niej drugi raz...

– Hej! Nie taką zmianę miałem na myśli!

– ...ale nie będę o tym rozpatrywać, chociaż nie wiem, co takiego zmusiło mnie do zaznaczenia tego faktu. Może to, że wykryto u niej raka piersi i cieszę się ostatnimi wspólnymi szczęśliwymi chwilami. Jej długie, rude włosy, piękne ciało i kasztanowe oczy były jak usychające płaty dojrzałych kwiatów. Ale nie to jest tematem przewodnim tej historii.

– Kochanie – krzyknęła zza zamkniętych drzwi. Widziałem oczami wyobraźni, jak jej usta, jeszcze nabrzmiałe od pocałunków, poruszają się, wypowiadając to słowo. – Idź obudzić Marka. Dzisiaj o piętnastej musimy być gotowi.

– Jezus, jest dopiero trzynasta.

– Dopiero? Mamy dzisiaj niedzielę. Znowu robisz się marudny.

– Nie marudny, tylko... – Tutaj się wstrzymałem. Po prostu wstałem, założyłem kaptcie na stopy i z wiadomych powodów odczekałem chwilę, po czym poszedłem do pokoju syna. Po drodze zastanawiałem się, czy dziewięcioletnie dziecko powinno uczestniczyć razem z rodzicami w tak hucznym obrzędzie.

Kiedy otworzyłem drzwi do pokoju Marka, ten był już ubrany i gotowy do wyjścia. Sprawdziłem, czy zasłał łóżko, czy się uczesał, czy każdy jego obowiązek został spełniony. Osobiście bym go do tego nie zmuszał, ale w tym domu, w tej chwili, dzięki temu nowotworowi to głos Marii jest głosem przewodnim. Porozumiewawczo uśmiechnąłem się więc do syna i zamknąłem drzwi.

Za oknem lało jak z cebra. Śnieg, który wczoraj sięgał do kolan, dzisiaj był twardą kupą białego gówna na ciemnozielonych trawnikach. Samo patrzenie na ponury pejzaż powodowało, że miałem ochotę zacząć pić już w południe. Tyle że znów myśl o Marii powstrzymała mnie przed słabością. Także i ona powstrzymała mnie od zostania w domu.

– Mamy trzy parasole i płaszcze przeciwdeszczowe, prawda? Poza tym, zobacz, rozpogadza się! – odparła radośnie, kiedy we trójkę jedliśmy na śniadanie jajecznicę z pajdą chleba. Na niebie się nie rozpogadzało choćby w najmniejszym stopniu, podobnie było z moimi myślami. Maria z uśmiechem na twarzy zmierzwiła włosy Marka, który siedział w skupieniu, pochylony nad talerzem. – Cieszysz się, że znowu z nami pójdiesz? Och! Teodorze – odparła i odwróciła wzrok ku mnie – gdzie dzisiaj będzie miało miejsce...

– Nad rzeką – przerwałem jej. – Za kościołem.

– Chyba nie od strony cmentarza? – oburzyła się. Spojrzałem na talerz i odbijającą się w nim twarz już nie tak młodego mężczyzny z bujnymi włosami. Wtedy myślałem, że będę młody całe życie, ale to było wtedy. – Z czego się tak cieszysz, co?

– Nie. Nie od strony cmentarza. Od strony boiska.

Dokończyliśmy jeść w ciszy, ubraliśmy się w płaszcze i wyszliśmy z domu, ukryci pod parasolami. Kupy zbitego śniegu roztopiły się jak lody na patyku w upalny dzień. Deszcz dudnił o poliester, a buty zanurzały się w ziemi z każdym krokiem tak głęboko, jakbyśmy za chwilę mieli zanurzyć się po kolana. Gdzie było słońce, które Maria dojrzała między chmurami? Gdzie była radość, która promieniała na jej ustach? Gdzie znajduje się moje spokojne serce, które teraz szalało w klatce piersiowej tak, jakby miało połamać wszystkie żebra? Czy byłem aż tak zdenerwowany? Gdzieś, w tym wirze zimna i wilgoci umknęło mi coś jeszcze, o czym przypomniałem sobie o wiele później. Po czasie.

Długo po czasie.

Dzisiaj byli sami znajomi, przyjaciele i pełno radości w tym ponurym dniu. Czy to było owe słońce, które dostrzegła moja żona? Być może. Od razu zapomniałem o wszystkich bólach, kiedy zobaczyłem ją, Morę, wielką jak kościelna wieża.

Nigdy nie dowiedziałem się, kiedy pogański obrzęd topienia marzanny (dla mnie zawsze będzie tą samą nieszczęśliwą Morą) w rzece wszedł między nas, mieszkańców małej wsi.

Wszyscy jesteśmy katolikami, nie składamy ofiar matce naturze, ponieważ wiemy, że istnieje jeden Bóg i to on jest stwórcą niczego i wszystkiego. Ale ludzie, niewiedomo od kiedy, zaczęli zbierać się i świętować. Tak, być może samo widowisko palącej się kukły, słomianej kobiety, czarownicy, demona – może to był tylko dobry spektakl przed popijawą. Lubię to tak nazywać, lubię także później się napić, a jedyne, co mi w tym wszystkim przeszkadza, to poranne mdłości i ból głowy. Kogo to jednakże interesuje, kiedy jest wesoło i przyjemnie. Kiedy spotykasz się ze starymi znajomymi i wspominasz to, jak było kiedyś i wszyscy siłują się, kto zrobił komu lepszy kawał. Słomiana kukła była przywiązana do pala wielkości młodej sosny. Była wielka, ubrana w zbiór różnokolorowych szmat, które mokre od deszczu wydawały się wyblakłe i nadawały marzannie ponury wygląd. Na kolistą twarz miała nałożony dziurawy worek na śmieci i naklejony czerwony skrawek materiału mający przywozić na myśl uśmiechnięte usta. Słomiane włosy związane były bibułą, podobnie obwiązane były rękawy. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy przypominała boginię zimy i śmierci. Była surowa i okrutna, była wielka i straszna. Na tle kościoła i deszczu, kiedy krople ściekały z ronda jej kapelusza, wyglądała jak potwór z bagien, jak przeklęta kobieta – symbol plagi.

Tak powinna sądzić setka osób stojących wokół niej jak grupa okultystów. Ale wszyscy, dzieci, matki, ojcowie, dziadkowie – oni wszyscy stali i rozmawiali ze sobą. Śmiali się, podziwiali kukłę i trwali w oczekiwaniu mimo niefortunnie kiepskiej jak na tę chwilę pogody.

Tak to wyglądało, kiedy doszliśmy do półkręgu znajomych twarzy. Dzieci śmiały się na jej widok, a dorośli patrzyli na nią niby przez krzywe zwierciadło, spekulując na temat jej piękna i mnogości ozdób. Porównywali ją do kukły z poprzedniego roku. Osobiście nie wydawało mi się to niepoprawne. Nie tam, nie ten ostatni raz. Wtedy, kiedy byłem nad rzeką z żoną i dzieckiem, wszystko było w porządku. Ile mogło być osób? Sto? Sto dwadzieścia? Wystarczająco dużo, by stworzyć małe widowisko. Kiedy i my we trójkę podeszliśmy bliżej, zauważyłem parę znajomych twarzy – Mariusza, Darka i Tadka stojących z żonami w płaszczach przeciwdeszczowych. Zobaczyłem naszych sąsiadów, jak zwykle śmiertelnie poważnych. Były także osoby, które przyszły same. Danuta, czterdziestoletnia kobieta, której troje dzieci utopiło się kilka miesięcy temu nad jeziorem.

Monika, dwudziestodwuletnia dziewczyna, której mąż spadł z drabiny podczas ścinania gałęzi drzew w ogrodzie. Przebił sobie nerkę zaostrozonym palem płotu. To się zdarzyło po prostu, niefortunny wypadek, z którym nie wszyscy od razu mogli się pogodzić. Przez ostatnie pół roku odbyło się tutaj sześć czy siedem pogrzebów. Troje dzieci, mąż Moniki, rodzice Waldemara (umarli ze starości, jak później zbadalem, w odstępie miesiąca), dziecko państwa Kruków – dziewiętnastoletni chłopiec pchnięty nożem podczas sprzeczki z jakimś wandalą. To wszystko zdarzyło się szybko, niemal w jednym tempie. I wszyscy byli moimi znajomymi, tutaj znaleźliśmy się wszyscy, dlatego patrząc na nich, poczułem się nie tyle nieswojo, co zrobiło mi się ciężko na sercu. Oddech żniwiarza przeleciał przez to małe miejsce jak liść na wietrze – to po prostu się stało, ale czasami dopada mnie inna myśl. Myśl o tym, że to wszystko miało być okropną dekoracją zdarzenia, które nieubłaganie miało nadejść. I kiedy się tak rozglądałem, zamyślony, poczułem dziwny swąd stłumiony zapachem opadłych pyłków.

– Panie! Paaaanowie! – rozległ się głos. Zawsze jedna osoba przewalała Morę do rzeki; zawsze, kiedy płonęła, sołtys wsi pchał podcięty pal i bogini-demon odpływała w dal, zabierając nieurodzaj i wspomnienia złej zimy. – Panie i panowie! – powtórzył raz jeszcze sołtys.

Maria spojrzała na mnie uśmiechnięta. Złapała Marka za rękę i ja zrobiłem to samo. Pamiętam ten uśmiech, kąciki ust lekko uniesione w górę i szklane oczy pełne błękitnej radości. Staliśmy i patrzyliśmy, oni na sołtysa, ja na znajomych, którzy się spotkali, aby dobrze spędzić czas. Chciałem już do nich dołączyć.

– Och, zaczyna się – odparła żona do Mariusza. Fala szeptów przeszła z prędkością huraganu po zebranych wieśniakach. Na język wszystkim cisnęło się jedno pytanie.

– Jesteśmy tu, żeby pożegnać zimę. Dokładnie za... – sołtys spojrzał na zegarek – dokładnie za trzy minuty! Do tego czasu poproszę o chwilę uwagi. Posłuchajcie, co mam do powiedzenia na temat składek spółek mieszkalnych i rachunków za recykling!

Tym razem rozległa się wrzawa niezadowolenia. Sołtys rozeźmiął się w głos, jak nakręcany na klucz robot z bajek puszcanych wieczorem w telewizji.

– Tylko żartowałem! Ale i tak chciałbym coś powiedzieć...



– Dlaczego on stara się przekrzyknąć tę ulewę? – spytała mnie żona.

– To powód, żeby mrużyć powieki i zaciskać usta? Stara się rozbawić tłum w ten niezbyt pogodny dzień – odparłem, a kiedy posłuchałem, o czym mówi, sam skrzywiłem usta.*****

– I? Kto miał rację?

– Panie sołtysie! – wykrzyczał Darek, przykładając dłonie do ust.

– Jak chcesz podpalić marzannę, to może powiesz nam, jakich użyjesz do tego czarów?

Kilka osób zachichotało.

– Czarów? – spytał sołtys, podnosząc brwi. Skinął palcem w stronę młodego mężczyzny, który stał obok marzanny. Dwa razy znacząco odchylił głowę i młody uniósł kanister z benzyną, który schowany był pod małą płachtą ukrytą w krzakach.

– No! To lej ją wreszcie, bo chcę uwierzyć, że to wielkie, słomiane gówno zapłonie! – krzyknął Darek i dostał od żony po głowie. Napomniała go, że tutaj są dzieci.

– Spokojnie! Jeszcze minuta – odparł sołtys, stukając palcem w zegarek.

Teraz, z piórem atramentowym w dłoni i otwartym notesem, teraz, kiedy patrzę na kartki wypełniane się obrazami wspomnień w kolorze inkaustu, zastanawiam się, czy sołtys wiedział. To opóźnienie widowiska, pozorne budowanie napięcia. Ciągłe wzrokiem wypatrywał czegoś, czego nie mógł się dopatrzeć. Raz zerkał na wieśniaków, raz na Morę. Minęło tyle lat, a ja dalej potrafię obwiniać człowieka za ten incydent. Doszukuję się kłamstw, czegoś, co mogłoby wymazać z mojej głowy obrazy szaleństwa. Zawsze byłem przekonany, że okrucieństwo to twór ludzki, że to wymiar zakiełkowanej nadziei podlewanej niespełnionymi ambicjami. Chyba zawsze się myliłem, bo ziarno musi być gdzieś zasadzone, aby mogło coś z niego wyrosnąć. W tym przypadku istnieje jedno słowo, które przypisać mógłbym minionemu zdarzeniu, choć wciąż nie poddaję się i szukam *prawdy* między stronami wielu książek, które z nie lada trudem nabyłem.

Natura. To matka ziem i wód, to ta niewidzialna bestia zniszczenia. Nie mogę przyjąć tego do wiadomości, że wszystko stało się za sprawą natury. NA-TU-RY, tego pieprzonego ziemskiego wszechbytu.

– Topić marzannę! – wrzasnął ktoś z tłumu i sołtys równo o piętnastej przystał na tę propozycję.

Wcześniej zatopiona w kępach trawy drabina wyłoniła się z pomocą młodego mężczyzny, który przez cały czas czekał na skinienie sołtysa. Kiedy stawiał ją obok Mory, wszyscy wspomagali go okrzykami. Mężczyzna po prostu wszedł z kanistrem benzyny, oblał marzannę z każdej strony i oddalił się w bezpieczne miejsce, odsuwając uprzednio drabinę. Na jego twarzy malowało się spełnienie, a ja zastanawiałem się, czy benzyna w deszczu naprawdę potrafi zapłonąć? Co prawda opady nieco zelżały...

– Mamo – szepnęła córeczka do Elżbiety, szkolnej bibliotekarki. Zauważyłem, jak drobna rączka ciągnie skrawek jej spódnicy. Gdyby nie to, że Marek odwrócił moją uwagę głośnym kichnięciem, może zauważyłbym wtedy, jak patrzy na matkę z troską. Wątpię jednak, abym zareagował wcześniej. Ciekawość, to ona by mnie tam dalej trzymała.

– Może wrócimy do domu? Mały może się przeziębic

– zaproponowałem Marii.

– Oszalałeś? Podejdźmy bliżej – odpowiedziała i pociągnęła za sobą Marka. We trójkę minęliśmy kilka osób i stanęliśmy tak blisko, by mieć przed sobą czysty obraz.

Krople deszczu uderzały o parasole. Sołtys stał z kijem owiniętym szmatą. Zanurzył go w benzynie. Kiedy wykrzesał z zapalniczki ogień, materiał zażarzył się tak, jakby był suchy.

– Mamo – krzyknęła kolejny raz dziewczynka. Dlaczego usłyszałem akurat ją? Może dlatego, że wokół panowała cisza, a wszyscy w napięciu oczekiwali egzekucji. Chcieli zobaczyć płonąca ofiarę, chcieli złożyć hołd nadchodzącej wiośnie. Wszyscy wierni katolicy.

– Mamo! Dziadek wrócił.

Nie wiedząc, co ma na myśli, znając jednakże sytuację w rodzinie pani Elżbiety, odwróciłem się w jej stronę. Widziałem, jak mała wskazuje na Morę, jak jej palec sięga ku kukle, a wzrok jeszcze dalej. Tam, za palem i słomianą lalką, za błotnistą ziemią. Skierowałem wzrok w miejsce, które dziewczynka pokazywała Elżbiecie.

Mora zapłonęła, kilkumetrowy niebieski ogień buchnął w górę jak fajerwerk. Wszyscy wydali z siebie westchnienie pełne podziwu. Wszyscy zapatrzeni byli na nią, na palącą się w deszczu słomianą kukłę.



- Mamo, no!
- Cii, mała. Patrz, za chwilę nadejdzie wiosna. Wiosna, ach to ty. Wiosna, wiosna, wiosna...

Szarpane ciało w granatowych dłoniach rzeki przepłynęło niezauważalnie. Powoli, mogłoby się wydawać, i, chyba oprócz tamtej małej dziewczynki, tylko ja widziałem wynurzające się co chwilę głowę i tors. Widziałem czaszkę ogołoconą ze skóry, a oczodoły skierowane były ku miejscu, do którego dusza wzlecieć powinna po śmierci. Strzępki skóry wyglądały jak pęknięcia na ścianach, a otwarte usta, do których wpływała woda, spowodowały, że niemal natychmiast zbladłem. I nawet nie zastanawiałem się, jakim cudem mała dziewczynka dopatrzyła się dziadka w wyżartym przez robaki trupie. Podążyła za nim wzrokiem, ja także – oboje obserwowaliśmy, jak wyłaniający się niczym statek widmo martwy człowiek odpływa w dal. Nie mogłem powiedzieć nic, wydusić z siebie ani słowa. Jedynie mocniej złapałem dłoń Marka.

Sołtys we wrzawie zadowolenia stojących wokół osób napał na Morę i wrzucił płonący słup do wody, by ten wydał z siebie głośny syk. Para wleciała w górę, wszyscy spojrzeli na rzekę i zobaczyli to, co przed chwilą umknęło ich oczom.

- A teraz, zgodnie z tradycją, zapraszam wszystkich do świątlicy! – wykrzyczał sołtys z uniesionymi rękoma. Uśmiechał się pogodnie.

Najpierw była cisza, nikt nie mógł uwierzyć w to, że w ich stronę napływają tonące, nadgniłe ciała, otwarte trumny i szczątki dawno zakopanych zmarłych. W deszczu wyglądały jak żalosna iluzja, jak obraz filmu, który powinien widnieć na ekranach czarno-białych telewizorów.

Kilka kobiet i mężczyzn wrzasnęło na raz, kiedy fala ciał, rąk, nóg, białych kości i strzępów ubrań napała na słomianą kukłę, przy której się zatrzymała. Widziałem wszystko dokładnie tylko dlatego, że bałem się zamknąć oczy i uciec. Nagle zapomniałem o Marku, zapomniałem o wszystkich innych dzieciach, po prostu patrzyłem na to, co właśnie miało miejsce.

Przerażająco głośny krzyk i towarzyszący mu płacz doprowadziły do tego, że większość osób uciekła prosto do swych domów. Do czterech kątów, w których mogli poczuć się bezpieczni. Obraz bezustannie napływających i gromadzących się ciał w rzece nigdy nie wyszedł za ramy wyraźnych wspomnień, na zawsze

pozostanie w mojej pamięci. Koszmar, niby podmuch, zaszumił do ucha, a nie to było najgorsze. Gorszy był widok, Danuty padającej na kolana, patrzącej na ciała dwóch małych synków, których skóra przybrała w panującym półmroku szary jak popiół kolor. Przysłania szeroko otwarte oczy dłońmi i śmieje się w głos nie swoim głosem, nie swoim śmiechem. Potem na czworaka zbliża się do rzeki i kiedy tam dociera, obejmuje jedno z ciał i tuli je do siebie. Tuli mokre, zgniłe zwłoki dziecka i kołysze je, szepcząc coś czule do ucha. Delikatnie.

Obok niej przechodzą pan i pani Kruk. Widzą swojego syna, widzą go wszyscy, jak leży na plecach i płynie spokojnie i nieświadomie w rwącym nurcie rzeki. W jego nogi uderza trumna, ciało obraca się leniwie na wodzie, a głowa przechyliła się na bok i zastygnięte, martwe ślepie spoczywają na mnie, obserwują mnie jak widza teatralnego spektaklu (*czy dobrze się bawisz?*). Potem ojciec wyławia ciało dziecka i robi coś, co nie ma nic wspólnego z logiką. Odpina guziki jego marynarki, odpina guziki białej koszuli i wkłada palce w zszytą ranę od pchnięcia nożem. Łzy leją się z jego oczu, żona odciąga go od ciała, krzycząc równie głośno, co przed chwilą Danuta, ale to nie pomaga. Łzy w oczach pana Kruka zamazały obraz rzeczywistości, w której obracał się po śmierci syna. Kładzie jego ciało i zaczyna robić sztuczne oddychanie. Jego żona poddaje się i klęka, chowając twarz w dłoniach ze wstydu i bólu. Żebra zmarłego syna pękają jak cienkie kry lodu i to wszystko dzieje się naprawdę.

Bezustannie.

Mora ustąpiła, pal przechylił się pod naporem trupów i spalona kukła zaczęła płynąć wzdłuż rzeki, a wraz z nią mieszkańcy wioski. Odchodzili wraz z zimą. Rozkład i zgnilizna czasu – tyle z nich zostało. Dalej nie mogę się ruszyć i patrzę, obserwuję, nieświadomy tego, że moja żona i dziecko robią dokładnie to samo. Widzę, że nie wszyscy pojmują to, co zaczyna docierać do mnie. Monika, młoda, zgrabna, zdrowa dziewczyna biegnie teraz wzdłuż nurtu rzeki, a potem rzuca się do wody. Nie myślę o tym, żeby ją ratować, nie myślę o niczym, tylko widzę ciała i świadomością uciekam tam, gdzie wszyscy.

Daleko.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że Monika nie wraca na brzeg. Nie pojawia się po kilku sekundach, a potem po wielu minutach. Dwadzieścia godzin później dowiaduję się, że jej ciało znaleziono w rzece i te dwadzieścia godzin męczą mnie przez dwadzieścia lat. Dlaczego nie kazałem żonie zabrać syna i uciekać? Dlaczego nie skoczyłem za Moniką? Przecież doskonale widziałem, jak dopływa do ciała męża i wtula się w mokre ubranie, całuje dziurę w policzku i uśmiecha się.

Szepcze.

Wszystkie głosy będą szeptać i wrzeszczeć w mojej głowie do samego końca. Skupiska martwych ciał przepłynęły jak fala śmierci, pozostawiając na zawsze piętno traumy w umysłach wielu z nas. Kiedy deszcz przestał padać, byliśmy już w domu. Siedzieliśmy we trójkę blisko siebie i trwaliśmy w ciszy, jakbyśmy na coś oczekiwali. Na zapomnienie, które nie nadchodziło z ponawiającą się co chwilę prośbą. W oczach Marii aż do śmierci widziałem obdarte ze skóry palce, popękane czaszki i nieruchome oczy na szarych twarzach. To beznamiętne spojrzenie było jak budzik, który przypomina ci o obowiązku. Ale Marek nie miał tego spojrzenia. Po kilku dniach wydawał się zapomnieć o tym. Wyparł każdy obraz z umysłu. To tak, jakby czystą kartką nakrył tę zamazaną. Chociaż dopiero po kilku miesiącach zauważyłem, że coś go czasami gnębi. Kiedy zaczynał padać deszcz, chłopiec zamykał się w sobie i milknął, dopóki znów na niebie nie zawitało słońce. Zawsze wydawało mi się, że dzieci w jego wieku powinny bać się nie deszczu, ale nocy...

Dalej były strzępy dwóch wyrwanych karteek. Jakkolwiek swą opowieść zakończył Teodor, Jakub mógł się domyślać, co zostało na nich zapisane. Gdyby nie poznał dziadka i ścieżek, którymi chodził, z pewnością część historii pozostałaby tajemnicą. Nietrudno wtedy wysnuć wniosek, że Teodor po śmierci żony popadł w szaleństwo. Doszukiwał się demonów, próbował odnaleźć promień rozsądku w nocnym zgiełku paranoi. Nie mógł dopuścić do siebie myśli, że to się po prostu stało. Że ziemia na cmentarzu osunęła się pod naporem wody i część ciał wypłynęła wraz z nią do rzeki. Nie na wszystko Jakub znalazł wprawdzie odpowiedź i może właśnie brak odpowiedzi na takie pytania (dlaczego trumny się otworzyły? dlaczego ludzie zareagowali w taki sposób?) spowodowały, że Teodor ugrzązł w przekonaniu, że coś *silniejszego* od człowieka maczało w tym palce.

Poza tym było jeszcze coś, co umknęło Teodorowi wtedy, kiedy szedł nad rzekę. Jakub znalazł to w odręcznie napisanych notatkach dotyczących zebranego z książek materiału. To był dziwny, jednostajny szmer ledwie przebijający się przez dudniący deszcz. Poza tym charakterystyczny swąd opadłego pyłku i miękka ziemia – to one wzbudziły w Teodorze niepokój.

W ten pierwszy dzień kalendarzowej jesieni Jakub oderwał wzrok od notesu. Zamknął go i położył na nim dłonie. Spojrzał na ojca, który nie odrywał od niego wzroku. Jego oczy były suche i wielkie, a usta zaciśnięte i milczące. Ręce na oparciach fotela lekko drżały.

Czy to coś zmieni?, pytał się w myślach Jakub. *To coś zmieni, p r a w d a ?*

Zmieniło i Jakub wyraźnie to zauważył. Widział, jak usta ojca napinają się jak cięciwa łuku, a na twarzy skażonej mroczną opowieścią pojawia się uśmiech bynajmniej nie oznaczający radości.

*

Tej nocy Jakub co chwilę się budził. Męczyła go przeszłość, do której nie należał. Śnił na jawie, że dziadek budzi się, wstaje z fotela i przychodzi do jego pokoju. Uśmiecha się wcale niezadowolony, tak samo jak ojciec, a potem zaczyna go dusić. To były krótkie wizje, nie tak surrealistyczne jak sen. Były bardzo wyraźne.

Kiedy nastał ranek, a pochmurne niebo lekko rozwiało mrok w pokoju chłopca, ten odważył się wstać z łóżka. Cały lepił się od potu i ze strachem patrzył na drzwi. Widział za nimi uśmiechniętego Teodora wyciągającego ku niemu ręce. Ale kiedy je otworzył, nie było tam dziadka, był jedynie pusty korytarz i zduszony krzyk. Rozbrzmiewał jak iluzja, jak głos dochodzący z głowy.

– Naucz się w końcu robić to porządnie, ty tępą suko! – krzyknął o b c y g ł o s .

Jakub najpierw zawahał się, ale po chwili szybko zbiegł na dół, bo właśnie stamtąd dochodziły wszystkie dźwięki, które słychać było w domu tego ranka. Stanął w przejściu między korytarzem a kuchnią.

Zobaczył tam ojca, który trzymał matkę za włosy nad rozgrzaną patelnią postawioną na palniku. Olej skwierczał, a żółte kropelki wystrzeliwały w powietrze. Skóra na twarzy Marzeny była jak roztopiony karmel. Spływała, cała pokryta przeźroczystymi bąblami. Jakub nie widział jej oczu. Nie widział jej ust, cienkich jak linia. Spalona grzywka ukazywała część czaszki. Cała była pokryta krwią,

która ciekła jak strumienie czerwonej rzeki po nowych bruzdach. Marzena starała się krzyczeć w głos, ale jedyne, co wychodziło z jej ust, to zduszony dźwięk brząający jak wiatr przebijający się przez nieszczęsne okna. Rękami i nogami starała uwolnić się od Marka. Nie m o g ł a .

Kiedy ojciec zobaczył syna, nie wyglądał na poruszonego. Nie puścił matki, tylko wciąż trzymał jej głowę nad skwierczącym olejem. Jakub patrzył na niego i słyszał w głowie słowa: *Zeszczateś się, gnoju! Zmyj to z podłogi albo będziesz następny!* Zamiast tego usłyszał inny łagodny głos, niepodobny do tego, który słyszał na co dzień:
– Teraz już pamiętam. Wszystko. Dziękuję.





Łukasz Radecki

Pisarz związany z literaturą grozy i science-fiction, poeta, muzyk, redaktor. Autor zbioru poezji *Ad Noctum* (1998), opowiadań - " *Kraina bez powrotu: Opowieści Niesamowite*" (2009), oraz cyklu „*Bóg Horror Ojczyzna*” (do tej pory dwa tomy: „*Złego początki*” i „*Wszystko splonie*”) (2013). Wraz z Kazimierzem Kyrzczem Jr wydał zbiór *Lek na lęk* (2011). Publikował także w rozmaitych pismach, portalach i antologiach polskich i zagranicznych (m.in. „*Księga strachu*”; „*Białe szept*”; „*Czarna kokarda*”; „*13 ran*”; „*Trinacta Hodina*”; „*Pokój do wynajęcia*”; „*Gorefikacje*”; „*17 szram*”; „*Dziedzictwo Manitou*”; „*Zombiefilia*” i innych). Jego opowiadania były adaptowane jako słuchowiska („*Profan*”-2009) i filmy („*Księżniczka*”; „*Wazon*” -2007). Zrealizował także muzykę do kilku horrorów, gier i serialu "Oblicza Mroku". Tworzy w zespołach metalowych ACRYBIA, DAMAGE CASE i WILCY. W przygotowaniu nowy tom „*Bóg Horror Ojczyzna*” oraz zbiór „*Horror Klasy B*” i powieść „*Wolfenweld*”. Wraz z Robertem Cichowłasem napisał „*Pradawne Zło*”, które ukaże się na początku roku 2014. Stale pisze dla Horror Online, Grabarza Polskiego, h.p.lovecraft.pl i Atmospheric Magazine. Wraz z żoną i dziećmi mieszka w rodzinnym Malborku.





Łukasz Radecki KAT

(według Andrzeja Kuczkowskiego)

Las szumiał łagodnie. Drzewa snuły swą pradawną opowieść, szepecząc zapomniane historie. Słońce delikatnie przezierало przez korony drzew, oświetlając piaszczystą ścieżkę biegnącą pomiędzy pniami. Pośród wszechobecnej zieleni wędrowała świetlista postać. Młoda niewiasta w białej, zwiewnej sukni szła spokojnie, bosymi stopami pieszcząc piasek, uradowany zetknięciem z kwintesencją kobiecości. Długie, jasne włosy nie zaczepiane przez senny wiatr opadały swobodnie na kształtne plecy. Szła powoli, bezwiednie kołysząc biodrami. Przez jej piękną, spokojną twarz przebiegł nagle cień. Zatrzymała się gwałtownie. Pieśń lasu wyraźnie się zmieniła i niepokój natychmiast zawładnął sercem białogłowy. Rozejrzała się nerwowo. Ściany drzew przesłaniały nadchodzące zagrożenie, ale dźwięk zdradził jej, iż mylnie oceniała swoje szanse. Podkasała suknię, olśniewając krajobraz kształtnymi łydkami, i rzuciła się do ucieczki. Tętent koni stawał się coraz głośniejszy i mogło to oznaczać tylko jedno: zbliżał się pościg. Prześladowcy, zdeterminowani i wściekli, wyłonili się zza kurtyny drzew. Jęk trwogi wyrwał się bezwiednie z piersi kobiety. Skręciła gwałtownie i ruszyła pośród pni. Niestety, biała suknia nie umknęła czujnemu spojrzeniu ścigających. Jeden z nich krzykiem wskazał kierunek towarzyszącej, zwolnił wierzchowca i wjechał pomiędzy drzewa. Niewiasta zdała sobie sprawę, że ucieczka jest bezcelowa. Jeźdźcy powoli, ale skutecznie zacieśniali wokół niej krąg, słyszała już ich sapanie i ciężki oddech koni.

Przystanąła, z lękiem wsłuchując się w złowrogię dźwięki. Nagle, szybciej, nim zdążyła pojąć grozę chwili, jeden z prześladowców wyskoczył z krzewów. Dostrzegła kary bok zwierzęcia, skórzaną nogawicę, lśniący napierśnik. Nie zdążyła dojrzeć twarzy napastnika, zasłoniła ją szybko zbliżająca się dłoń dzierżąca jakiś przedmiot. Świat rozbłysnął krwistą światłością i po chwili przestał istnieć. Runęła ciężko pod końskie kopyta. Krew sprofanowała jasność jej włosów i biel sukni. Niemniej wyraz twarzy pozostał spokojny.

*

Izba była duszna i ciemna, jakby światło z założenia postanowiło ją omijać. Dzikie plantacje grzybów toczyły bój o teren na podłodze, wypierając stopniowo mech i zaskoczony swym żywotem krzaczek borówek. Na stole piętrzyły się gliniane garnki, które łatwiej byłoby rozbić niż odkleić od blatu, ale nawet wtedy nie było pewności, że się rozpadną, a tym samym znikną ze stołu. Brud pokrywał wszystko. Dwa szczury uciekły z porwanymi kęsami spleśniałego sera, ich towarzysz wpadł w tym czasie do garnca z zsiadłym mlekiem. Pływające tu dwa ciała jego pobratymców nie przekonały go o czającym się niebezpieczeństwie. Starał się walczyć.

Uciekające gryzonie wbiegły pod łóżko, trącając zwisającą zeń potężną dłoń. Ręka drgnęła, ale nie cofnęła się. Rosły mężczyzna leżał, wpatrując się tępo w powałę, na której rozrosło się królestwo pajęczyn. Spoczywał nagi na sztywnej, ciemnoszarej pościeli przesiąkniętej smrodem potu, moczu, zepsutego jedzenia i kilkoma innymi woniami, które same wstydziły się swego istnienia. Mężczyzna oddychał ciężko; jego szeroka pierś, pokryta siwym włosem, wznosiła się i opadała niczym zastygająca lawa. Każdy oddech sprawiał wrażenie ostatniego. Człowiek zakaszłał i splunął na podłogę, a karaluch cudem uniknął niespodziewanej kąpieli. Mężczyzna nie zwrócił nań uwagi i usiadł na pryczy. Przetarł dłonią łysą czaszkę. Jego wzrok pobiegł w stronę kąta, w którym niczym parodia ołtarza stał oparty na krześle potężny topór. Był to jedyny przedmiot w izbie, na którym nie było nawet drobinki kurzu. Masywny dębowy trzon nosił ślady używania, ale inkrustowane w dwa splatające się węże ostrze wydawało się nietknięte. Mężczyzna oderwał wzrok od narzędzia i westchnął ciężko.

Przemko szedł niepewnie, przyciskając do piersi niewielkie zawiniątko. Zawsze szokował go tłum i gwar ulicy. Przed chwilą uniknął obłania nieczystościami, które spłynęły gwałtownie z któregoś okna. Odór miasta był przerażający. Dziesiątki przeпоconych ciał w brudnych szmatach, kał i mocz spływający wzdłuż ulic, zepsute mięso, patroszone ryby, ale także świeże owoce; wszystkie te zapachy atakowały powonienie chłopca i sprawiały, że cieszył się z życia na wsi. Był sierotą wychowywanym przez kowala, który traktował go jak najtańszą siłę roboczą, chłopakowi to jednak nie przeszkadzało, póki miał strawę i dach nad głową. Przy okazji przyuczał się do zawodu, chociaż kowal co jakiś czas się upijał, a rękę miał ciężką.

Przemko po raz pierwszy został wysłany samotnie do miasta, by oddać nowe zamówienie. Nie potrafił czytać, nie rozumiał znaczenia znaków umieszczonych na budynkach. Chociaż wiedział, dokąd ma iść, i kowal wytłumaczył mu jak tam trafić, szybko zgubił się w plątaninie ulic. Tłum pełen obcych, nieprzyjaznych twarzy przerażał go. Nie był w stanie przemóc się i poprosić kogoś o pomoc. Szedł przed siebie, rozglądając się wystraszonego wzrokiem i uważając, by stawiać stopy na bruku, a nie w płynącym wzdłuż niego kanale. Bezskutecznie. Tłum kilkakrotnie zepchnął go z ulicy, efektem czego były mokre i brudne ciżmy.

– Ej, ty! – usłyszał tuż przy uchu. Poczłł odór czyjegoes oddechu. Odwrócił się nerwowo. Obok niego stało trzech wyrostków w zbliżonym do niego wieku. Ubrani w potargane łachy, ze zmierzwionymi włosami przyglądali mu się bacznie.

– Co, zgubiłeś się? – spytał ten z jasną czupryną, o kostropatej twarzy.

Przemko niepewnie skinął głową.

– Nie trap się – chłopak ukazał zestaw zepsutych zębów.

– My miastowi! Mów, gdzie chcesz dotrzeć.

– Do Mistrza Albrechta – odparł chłopak. – Kata...

Blondyn gwizdnął, a pozostali wymienili nerwowe spojrzenia.

– Chodź więc z nami, zaprowadzimy cię – zachęcająco skinął ręką. – Kupisz nam potem jakieś jabłka w podzięce.

Przemko znów skinął posłusznie głową i ruszył za nieoczekiwanymi pomocnikami. Blondyn prowadził, rudzielec z lisią twarzą i płowy pryszczaty dryblas szli po jego bokach. Minęli kilka ulic, klucząc między budynkami, aż weszli w wąską, ślepą uliczkę. Tutaj rudzielec i dryblas gwałtownie schwycili Przemka za ramiona, a blondyn odwrócił się z wykrzywioną ze złości twarzą.

- Dobra, psi smrodzie! – warknął. – Dawaj, co masz! .
- Straż! Straż! – wrzasnął chłopak, niewiele myśląc.
- Stra... – zaczął po raz trzeci, ale cios blondyna rozkwaślił mu usta.
- Ty dybidzbanie! – Warknął, zamierzając się do drugiego ciosu.

Przemko szarpnął się i uderzył dryblasa pakunkiem. Trafił w żołądek, pusty od kilku dni, który eksplodował dodatkowym bólem. Chłopak padł zwinięty w kłębek. Cios wymierzony w Przemka trafił przypadkowo w policzek rudzielca, który zatoczył się, a pomocnik kowala, operując pakunkiem, pomógł mu upaść. Blondyn cofnął się i wyciągnął zza pazuchy niewielki kozik. Przemko wielokrotnie później zastanawiał się, czemu wtedy nie uciekł. Zamiast tego rozluźnił węzeł wokół pakunku i wyciągnął zeń piękny, ciężki topór. Stał w pozie bojowej. Przez ściśnięte ze strachu szczęki przedarły się słowa.

- Nie zmuszaj mnie, bym tego użył...

Blondyn wahał się tylko przez moment. Skoczył w kierunku kowalczyka widząc, że rudzielec zachodzi go od tyłu. Przemko dostrzegł ruch za sobą i gwałtownie odwrócił się, z pełnego obrotu uderzając agresora. Ostrze rozorało koszulę i ciało, zachrząściło na kręgosłupie i wypadło wraz z wnętrznościami chłopaka. Siłą rozpędu Przemko dokończył obrót, trafiając w twarz blondyna. Trzasnęła kość policzkowa, oko wystrzeliło z oczodołu, tuż za nim poleciały skruszone zęby. Przemko upadł wraz z przeciwnikiem, ale nie wypuścił oręża z dłoni, gotów na atak dryblasa. Drżał na całym ciele. Przed oczyma przebiegały mu dziwaczne obrazy. Widział rudzielca kradnącego owoce, widział blondyna parzącego się z jakąś dziewczką, zobaczył, jak obaj kopią leżącego w kałuży krwi obcego mężczyznę. Nie potrafił nad tym zapanować, obrazy przesuwały się błyskawicznie przed oczami, topór drżał w rękach, stukając dźwięcznie o zalany krwią bruk. Blondyn leżał z rozoraną twarzą, rudzielec umarł, klęcząc nad kupką swoich wnętrzności, a dryblas najpierw na czworakach, później już pewniej, na nogach, uciekał w głąb uliczki. Przemko nie był w stanie podnieść się z klęczek, owładnięty przez wizje zbrodni i występków popełnionych przez jego niedoszłych oprawców.

Nagle wszystko minęło, a do uszu chłopaka doszły głosy:

– Rzuć to, mały, i lepiej nie stawiaj oporu...

Podniósł przerażony głowę, napotykać zacięte twarze mężczyzn w mundurach strażników miejskich, kierujących w niego halabardy. Opuścił wzrok, topór wypadł mu z rąk.

*

Drzwi celi cekhauzu uchylły się. Przemko przyległ plecami do zimnej ściany, starając się zagrzebać w stęchłej słomie. Miał już dość bicia i przesłuchań.

Do środka wszedł mężczyzna, którego Przemko nie znał. Rosły, odziany w czerń, o starej, zmęczonej twarzy i śnieżnobiałych włosach. Przykucnął naprzeciw chłopaka i odezwał się łagodnym tonem.

– Nie bój się, chcę z tobą pomówić. Nie mam wrogich zamiarów.

Przemko nie odezwał się, patrząc na niedomknięte drzwi celi i zastanawiając się, czy uda mu się wyminąć mężczyznę i uciec z pomieszczenia. Szybko stwierdził, że to beznadziejny pomysł, bo nawet wyminięcie obcego nie gwarantuje wydostania się z cekhauzu. A nawet jeśli, to co dalej?

– Nie trap się – mężczyzna zdawał się czytać w jego myślach.

– Stąd wyjdiesz tylko na szafot – zawiesił głos. – Wiesz o tym, prawda? – spytał łagodnie.

Przemko skinął głową, czując napływające do oczu łzy.

– Mam jednak propozycję – zagadnął mężczyzna, uważnie obserwując reakcję chłopca. – Jesteś już martwy dla świata, a ja się starzeję. Oferuję ci życie, ale życie w niesławie i potępieniu. Nie każdy może podołać, ale czy masz coś do stracenia? Chłopiec pokręcił głową.

– No właśnie – uśmiechnął się smutno mężczyzna. – Pomyśl zatem, czy wolisz oddać głowę czy życie – dodał, wstając. – Tak czy inaczej, jeszcze się zobaczymy – zauważył zagadkowo. – Ach, i dziękuję za topór...

Przemko drgnął, zrozumiałwszy wszystko. Męczyzna ruszył do wyjścia.

– Jeśli się namyślisz, proś o wezwanie mistrza Albrechta

– rzekł. – Masz czas do południa dnia jutrzejszego.

– Mistrzu – odezwał się Przemko złąknionym głosem.

Albrecht odwrócił się w drzwiach i spojrzał na niego wyczekująco.

– Zdecydowałem się w tej chwili – odparł drżącym głosem chłopak. – Uczcie mnie na kata.

*

Słońce stało w zenicie. Mistrz Albrecht spojrzał do góry i przekrzykując wrzawę, zwrócił się do Przemka.

– Już czas – rzekł, kładąc mu dłoń na szerokim ramieniu. Przemko skinął głową odzianą w czarny kaptur. Odebrał z drżących rąk Mistrza topór i wyszedł na miejsce ścięcia. Wrzawa tłumu natężyła się. Strażnik dokończył czytać wyrok, gdy Przemko ustawił się obok niego, wspierając się na toporze w wyszkolonej pozie oczekującej. Wypiął umięśnioną, potężną pierś natartą olejkami. Albrecht popatrzył na niego z dumą. Nauczył go najlepiej jak potrafił, a Przemko był pojętym uczniem. Prezentował się teraz znakomicie, co, z żalem Albrecht musiał przyznać, stanowiło dodatkowy atut dla gawiedzi, znudzonej jego obecnością. Nowy kat niewątpliwie ożywił zainteresowanie egzekucją. Przypomniawszy sobie, jak niegdyś to jego mięśnie wzbudzały grzeszne myśli białogłowych. Teraz wszystkie z przejęciem wpatrywały się w błyszczącą pierś Przemka.

– Kacie! Czyń swoją powinność! – zakrzyknął strażnik. Pozostali dwaj doprowadzili skazańca do pieńka i zmusili do klęknienia. Założono mu na głowę czarny kaptur, pod pieńki postawiono kosz. Przemko podszedł pewnym krokiem, chociaż w głowie mu wirowało. Nigdy dotąd nie przeprowadzał egzekucji. Nigdy nie zabił spętanej, bezbronnej istoty ludzkiej. Rękę miał pewną, wielokrotnie trenował na kogutach i królikach. Teraz jednak miał zabić człowieka i to toporem, którego nie trzymał w dłoniach od feralnego dnia sprzed lat. Poczł drzenie rąk, kolana zadygotały pod jego ciężarem, ale opanował się rad, że kaptur skrywa jego niewątpliwie bladą twarz. Wziął głęboki wdech. Stanął w rozkroku nad skazańcem. Męczyzna drżał, na jego nogawkach wykwitła plama moczu. Przemko schwycił go wyćwiczonym ruchem za kark. Dla gawiedzi wyglądało to na silny, gwałtowny uścisk, w rzeczywistości był on niezwykle delikatny. Albrecht uśmiechnął się pod nosem. Jak dotąd uczeń spisywał się doskonale.

Nie ma potrzeby dodatkowo znęcać się na skazanym, jeśli wyrok tego nie wymaga. Przemko ułożył głowę mężczyzny na pieńku.

– Nie ruszaj się, a nic nie poczujesz – szepnął łagodnie.

– Za chwilę wszystko się skończy.

Mężczyzna zaszlochał, ale opanował nieco drżenie ciała.

– To moja praca – dodał Przemko. – Czy wybaczasz mi?

Mężczyzna szlochał, tłum wznosił coraz głośniejsze, zachęcające okrzyki.

– Wybaczasz mi? – powtórzył kat.

– Taaa...– załkał skazaniec. Przemko usłyszał już wszystko, co chciał usłyszeć i czego wymagała tradycja. Wzniósł szybko topór, przetrzymał go przez moment w powietrzu dla wzmocnienia dramaturgii. Słońce zalśniło na narzędziu i zdobiących je inkrustowanych wężach, nadając im wrażenie ruchu. Tłum zamilkł. Kat opuścił topór, który z głuchym jękiem opadł na szyję skazańca. Chrząst łamanego kręgosłupa złał się z uderzeniem w pieńek i łomotem głowy wpadającej do kosza. Gawiedź zawyła ekstatycznie, wiwatując na cześć dokonanej sprawiedliwości. A Przemko zamarł z toporem wbitym w pieńek. Drżał na całym ciele. Przed oczami znów zaczęły przesuwać się dziwne obrazy. Kradzież mąki, jakaś bójka, nóż wbity w plecy pod karczmą, ustrzelona łania. Albrecht zaniepokoił się. Egzekucja przebiegała wzorowo i był dumny ze swego terminatora, ale teraz wyraźnie było coś nie tak. Czyżby Przemko miał zbyt delikatne serce? Czyżby jego wrażliwość wzięła górę nad wyuczonym fachem?

Na szczęście żaden z widzów tego nie dostrzegł.

Przemko wyrwał topór i wzniósł go tryumfalnie nad głowami gawiedzi. Tłum zakrzyknął jeszcze raz i rola kata dopełniła się. Zszedł z szafotu, starając się zapanować nad chwiejnym krokiem. Albrecht podszedł do niego i położył dłoń na jego wciąż drżącym ramieniu.

– Już po wszystkim – powiedział. – Poszło świetnie...

– Tak, mistrzu – odparł niemrawo Przemko. Nie potrafił teraz opowiedzieć o swojej wizji. Powie mu później. Przecież może zawsze tak jest za pierwszym razem...

Życie pokazało mu, że jednak nie. Mijały lata, Albrecht zmarł, Przemko stał się Mistrzem Przemysławem. Dokonywał egzekucji, na które z niesłychanym zainteresowaniem przybywała gawiedź. Zawsze jednak, gdy dokonywał ścięcia tym toporem, przed oczami przebiegały mu sceny z życia skazańca.

Główne grzechy i winy. Nie rozumiał tego, nie potrafił nad tym zapanować. Z czasem obrazy te zaczęły pojawiać się w snach, wreszcie sam już nie był pewien, czy to nie jego własne wspomnienia. Topór za każdym razem stawał się coraz cięższy, podobnie jak życie, które zepchnęło go na margines. Był atrakcją tygodnia i osobą poważaną w mieście, jednocześnie całkowicie odsuniętą od życia towarzyskiego. Dawno jednak przestał się tym przejmować. Wiedział, że za rządów obecnego kasztelana prędzej czy później spotka się przynajmniej z częścią z nich. Na szafocie.

*

Dzień był pochmurny, jednak nie spadła nawet kropla deszczu. Zanosilo się więc na to, że jutrzejsza egzekucja odbędzie się w ulewie. Nic nigdy nie przerwało ceremonii. Przemysław szedł ciężkim krokiem. Czuł się stary, dużo starszy niż był w rzeczywistości. Nie znalazł sobie dotąd ucznia, poza tym słyszał, że w innych częściach kraju spada zapotrzebowanie na jego profesję. Jeśli jego zabraknie, na pewno znajdzie się ktoś na jego miejsce.

Wszedł do piekarni. Stary piekarz Wojciech wysunął na chwilę głowę z sąsiedniej izby, skinął nią porozumiewawczo i schował się z powrotem. Nikt nie wdawał się z katem w pogawędki. Przemysław podszedł do stołu, na którym ułożono świeże bochny chleba. Zgodnie z tradycją jego bochenek leżał na brzegu, odwrócony wierzchem do dołu. Katowski chleb. Przemysław westchnął. Naznaczony subtelnie na każdym kroku. Postanowił przerwać ten zakłęty krąg. Jutro dokona ostatniej egzekucji. Wymówi się wiekiem, wyznaczy następcę... Ma dość oszczędności, by doczekać końca swoich dni. Nigdy nie wydawał zarobionych pieniędzy. Miał zapewnione wyżywienie i strój roboczy, a innego nie używał, gdyż nigdzie nie bywał. Nie pił, bo nie miał z kim. Ale teraz to się zmieni. Jutro ostatni raz wzniesie ten topór, a za tydzień, w nowym odzieniu, pójdzie się napić. A wcześniej uda się po chleb, który będzie leżał tak samo jak bochenki innych mieszkańców miasta. Przemysław uśmiechnął się pierwszy raz od lat.



Deszcz siąpił delikatnie, mocząc kaptury i opończe zebranego na rynku tłumu. Strażnicy wyprowadzili na szafot młodą dziewczynę. Mokre włosy opadały jej na twarz, nie chciała bowiem założyć kaptura. Drżała, nie ze strachu jednak, lecz z zimna, gdy mokra, biała suknia

przyłgnęła do jej pięknego ciała, uwypuklając sztywne od chłodu sutki. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, nawet gdy odczytano jej winy i wyrok, wpatrywała się w niewidoczny punkt gdzieś ponad głowami tłumu. Oskarżono ją o zabójstwo nowo narodzonego dziecka, prawda jednak była taka, że gawiedź podejrzewała ją o czary. Gdy nie udało się znaleźć odpowiednich dowodów, wykorzystano sytuację, że umarło jej niemowlę. Przemysław nie trapił się sprawiedliwością. On jedynie egzekwował prawo, tak jak mu nakazywał jego fach, a więc interesował go tylko wyrok, który musiał wykonać. Zresztą, to był ostatni raz. Wszedł powoli na szafot, uważając na śliskie stopnie. Po niebie przetoczył się grom. Ustawił się w wyćwiczonej pozie, świadom, że jego sylwetka nie wzbudza już takiego zainteresowania jak kiedyś.

– Kacie! Czyń swoją powinność! – usłyszał. Podeszedł do klęczącej kobiety i ułożył jej głowę na pieńku.

– Nie ruszaj się, a nic nie poczujesz – szepnął starą regułkę.

– Za chwilę wszystko się skończy.

– Tak – odparła niespodziewanie kobieta. – To ostatni raz.

Mistrz katowski drgnął przerażony. Nigdy dotąd skazaniec nie odpowiedział na jego wyzwania, tym bardziej tak spokojnie. Uznał to jednak za dobry omen.

– To moja praca – kontynuował. – Czy wybaczasz mi?

Ulewa przybrała na sile. Kobieta skierowała na niego wzrok.

– Wybaczam – odparła spokojnie. – I wyzwalam – dodała zagadkowo. Przemysław nie zastanawiał się dłużej. Wzniósł w górę topór. Tłum umilkł. Zagrzmiało. Niebo przecięła niezwykle jasna błyskawica i uderzyła w ostrze katowskiego oręża. Mistrz nie jęknął nawet, gdy piorun przeszył jego ciało. Spieniona krew trysnęła mu z ust i nosa, zagotowane oczy wyciekły na policzki. Smród palonego ciała rozniósł się po całym rynku. Mistrz Przemysław zadrżał po raz ostatni i runął na deski. Topór wypadł z jego zwęglonych dłoni i opadł pod szafot przed stopy gawiedzi. Trzon odłamał się od spękanego, poczerniałego ostrza. Tłum zamilkł. Kobieta na szafocie podniosła się z klęczek. Z oczu płynęły jej po policzkach krwawe łzy.

– Wyzwalam ich! – krzyknęła silnym głosem, który zadźwięczał w uszach zebranych. Z pęknięć na ostrzu topora zaczęła wypływać brunatnoczerwona maź, mieszając się z lepkiem błotem, które zaczęło niewinnie pulsować. Gawiedź cofnęła się przerażona, ale i zaciekawiona. Błoto wokół krwawiącego topora bulgotało coraz intensywniej.

Nagle, wraz z kolejnym uderzeniem pioruna, z mazi wyskoczyła zmaltretowana dłoń. Za nią podażyło ramię, które podźwignęło bezgłowe, okaleczone ciało. Zanim pierwsza kreatura zaprezentowała się w całej okazałości, ze wszystkich okolicznych kałuż zaczęły się wyłaniać przegniłe, niekompletne, bezgłowe ciała. Tu i ówdzie pojawił się sam korpus z ramionami, gdzie indziej ciało bez dłoni. Przez tłum przebiegła seria histerycznych krzyków, które wzmożyły się, gdy jeden stwór rzucił się w tłum. Okaleczone dłonie natrafiły na gardło nazbyt ciekawskiej niewiasty i zacisnęły się na nim gwałtownie. Trzasnął kręgosłup, siny język wysunął się ze spękanych ust. Stwór odrzucił zwłoki i skoczył do następnej ofiary. Mimo że na rynku zebrała się cała ludność miasteczka, trudno było znaleźć człowieka nie toczącego walki z błotną kreaturą. A nowe wciąż wyłaniały się z mazi wokół złamanego topora. Istoty atakowały brutalnie i zaciekle, nie poświęcając nadmiernej uwagi ani ofiarom, ani ich doborowi. Pękały roztrzaskiwane czaszki niemowląt, wyli pozbawieni rąk mężczyźni, kobiety skowyczały, gdy z ich łon wrywano płody. Rynek wypełnił się krzykami mordowanych. Prerażeni strażnicy podjęli nierówną walkę, lecz ulegli bestialskiej sile i przewadze oprawców. Pierwszemu silny cios wgniół twarz do czaszki, miażdżąc mózg, który trysnął uszami. Drugiemu wyrwano serce i skonał u stóp stojącej spokojnie kobiety w bieli. Ludzie umierali w straszliwej kaźni, zdjęci niewyobrażalną trwogą. Gdyby byli w stanie myśleć, zazdrościliby katu gwałtownej i spokojnej śmierci. Rozdzierano im twarze, wrywano kończyny, łamano kości, wybebeszano kałduny. Odór wnętrzości mieszał się z wonią deszczu, tak jak serca, wątroby, śledziony, płuca, żołądki mieszały się z błotem, wdeptywane w krwawą papkę przez grasujące stwory.

Atak był błyskawiczny. W ciągu kilku minut na rynku nie pozostał nikt prócz martwych i umierających. Kreatury rozbiegły się między uliczki, pustosząc kolejne domostwa i wynajdując niedobitki krwawego pogromu.

Dziewczyna otarła krwawe łyzy. Spuściła głowę. Niewinność zatryumfowała nad złem czającym się w sercach mieszczan. Kobieta wzniosła do góry dłonie, skierowała twarz ku ponuremu niebu.

– Dokonało się! – krzyknęła. – Wyzwoliłam ich! Zabierz mnie! – zażądała. W odpowiedzi na jej krzyk niebo przecięła kolejna błyskawica. Piorun uderzył w dziewczynę i zniknął wraz z nią w kotłujących się chmurach.

Miasto umierało wśród huku gromów.



Statek patrolowy „Satellite 15”

Strefa 78

Rok 2156

Kapitan Tomasz Karwowski wpatrywał się w czujniki. Jak zwykle, wszystko było w porządku. Załoga, zawsze skutecznie przez niego motywowana, doskonale wykonywała swoje obowiązki, dzięki czemu jego statek był ozdobą orbitalnych jednostek patrolowych. Mimo to Karwowski miał o wiele większe ambicje. Marzył o karierze komandora promu międzyplanetarnego, śnił o dowództwie na krążowniku podróżującym między układami słonecznymi, pragnął dotrzeć do granic wszechświata. Niestety, jego kariera utknęła w martwym punkcie, tutaj na pokładzie „Satellite 15”, gdzie prawdopodobnie do emerytury będzie patrolował strefę 78 i w najlepszym wypadku znów złapie jakichś kosmicznych przemytników, ewentualnie uciekinierów z Ziemi 3 lub buntowników z Ziemi 4. Kapitan rozmasował sobie skronie. Ucisk na zatoki stawał się coraz silniejszy i, mimo środków przeciwbólowych, nie ustawał.



Karwowski postanowił przejść się po statku. Lubił od czasu do czasu pokazać się załodze, że obserwuje ją nie tylko przez kamery rozmieszczone na całym pokładzie, ale także dać jej członkom do zrozumienia, że interesuje się ich losem i zadaniami.

Tak naprawdę nie dbał o nich, zależało mu jedynie, by dobrze wypełniali swoje powinności, a jego przechadzki po pokładzie służyły wyłącznie zaspokojeniu własnego poczucia obowiązku. Dzięki temu, sprawdzając swoich pracowników, choć przez moment czuł, że jest do czegoś potrzebny, że jego rola na tym statku sprowadza się do czegoś więcej niż tylko kontaktów z dowództwem i bazą, że bez niego nie dadzą sobie rady.

Ale dawali. Zawsze.

– Kapitan opuszcza mostek – zakomenderował. – Udamę się na obchód – dodał dla wyjaśnienia.

– Kapitan opuszcza mostek – powtórzyła pierwszy oficer Iga Morwińska. Reszta załogi obecnej w pomieszczeniu, czyli porucznik Wiesław Wojciechowski i sierżant Kornelia Różewicz stanęli na baczność. Tomasz opuścił mostek z ciężkim westchnieniem. Wszystko jak w zegarku. Wojciechowski był drugim oficerem na statku, chociaż czasem zachowywał się tak, jakby to on dowodził. Oczywiście tylko wówczas, gdy kapitana nie było w pobliżu. Różewicz była pokładowym psychologiem, ale jej wiedza jak dotąd nie okazała się potrzebna, w związku z tym trzy lata temu ukończyła dodatkowe kursy i przejęła funkcję medyka. Pomogło to zaoszczędzić nieco grosza przy wypłatach, co Karwowski mógł później wykorzystywać podczas przyznawania premii. Zazwyczaj dawał je właśnie obsłudze mostka, ale załogi to nie dziwiło. Zresztą, jak sam kapitan mawiał, nikogo na swoim statku nie trzyma na siłę, jeśli komuś się coś nie podobało, mógł wracać na Ziemię. Którąkolwiek.

Karwowski przeszedł przez korytarz i zajrzał do kuchni. Jak zwykle zastał nieskazitelny porządek. Kucharza Jana Mateckiego nie było, zgodnie z regulaminem, w czasie pomiędzy przygotowywaniem posiłków musiał przebywać w pokoju socjalnym.

Karwowski dbał o to, by załoga się integrowała. Zwłaszcza, że we wspólnej sali miał założony podsłuch, dzięki któremu mógł dusić w zarodku wszelkie załamki buntu i niezadowolenia.

Wewnątrz pomieszczenia znalazł wszystkich pozostałych członków załogi. Grupę techniczną – Józefa Wójciaka i Tyberiusza Pyrkowskiego, grupę bezpieczeństwa, czyli głównych żołnierzy działających w patrolach: Adama Kęsińskiego, Jolantę Adamowską, Adama Pasiaka, Lucynę Biedrzyk, Monikę Ogrodnik, ich dowódcę Majkę Sadłowską oraz, oczywiście, kucharza. To byli dobrzy pracownicy, tym bardziej, że Karwowski dbał o to, by żaden z nich nigdy nie zagroził jego pozycji. Dlatego właśnie „Satellite 15” miał dwóch mechaników, a dowódcą grupy patrolowej była najmłodsza i najmniej doświadczona kapral. Dzięki temu kapitan trzymał wszystkich w ryzach, ale również... czuł się kompletnie niepotrzebny. Wszedł do sali, zebrani poderwali się z miejsc. Kazał im sobie nie przeszkadzać, a oni chętnie wykonali polecenie. Skupili się na czytaniu i wypełnianiu dokumentacji, czyszczeniu i sprawdzaniu broni. Wzorcowa załoga... Karwowski westchnął po cichu, udał, że przyszedł sprawdzić stojaki z uzbrojeniem, przeczytał dane z monitora i wyszedł.

Pokręcił się jeszcze chwilę po statku, zajrzał do maszynowni i pomieszczeń socjalnych. Wszędzie panował idealny porządek. Do pomieszczeń prywatnych nie zaglądał, nie chcąc dawać załodze powodów do podejrzeń, że jest inwigilowana. Była. Każdy czujnik przeciwdymny zawierał kamerę, bez mikrofonu, ale wystarczyło, by kapitan wiedział kto z kim sypia w trakcie rejsu, a przede wszystkim jak każda z kobiet wygląda bez munduru. Oczywiście żaden z czujników nie działał, ale tym się akurat nie przejmował. Ten statek był zbyt doskonały, by groził mu pożar.

Kapitan skierował się z powrotem w kierunku mostka, narzekając w duchu na swój los. Obchód statku nie zajmował więcej niż kwadrans, a i to wtedy, gdy szedł powoli. Czuł w głębi duszy, że został stworzony do wyższych celów. Obawiał się narastającej depresji, objawiającej się uściskiem w klatce piersiowej, ciągłą sennością i zawrotami głowy. Nie powiedział o tym w trakcie badań okresowych. Jeszcze tego brakowało, by nie dopuścili go do służby. I tak miał codziennie rano problem, by znaleźć stosowną motywację do wstania z łóżka. Gdyby nie miał tej pracy, nie miałby już żadnego celu. Wkroczył na mostek nie wiedząc, że właśnie dokonał ostatniego obchodu w życiu.

– Kapitan na mostku – ogłosiła Iga. Wiesław i Kornelia powstali z miejsc, salutując. Tomasz odsalutował i zajął miejsce na swoim fotelu. Rozsiadł się wygodnie.

– Jaka sytuacja? – zapytał.

– Mamy zgłoszenie, kapitanie – odparła Iga. Karwowski podniósł się na łokciach.

– Dlaczego nie zostałem o tym poinformowany? – zapytał podekscytowany.

– Nie było potrzeby – odparła spokojnie. – Zgłoszenie ma priorytet czwarty, wiedzieliśmy, że kapitan za chwilę wróci z obchodu, wpisałam współrzędne, statek kieruje się w tamtą stronę. Kontakt za trzy kwadransy.

– Procedury nakazują... – zaczął Karwowski poirytowany, że gdy wreszcie coś się działo, jego nie było na mostku.

– Procedury nakazują, że gdy kapitana nie ma na mostku, decyzje podejmuje pierwszy oficer lub, w wypadku jego nieobecności, oficer drugi – odezwał się porucznik Wiesław. – A ponieważ był tu i

pierwszy, i drugi oficer, zastosowaliśmy się do procedur...

– W porządku – kapitan westchnął zrezygnowany, głaszcząc się nerwowo po łysej głowie. – Poruczniku Morwińska, jakie zadanie?

– Dryf – odparła krótko Iga. Karwowski żałował, że nie wezwał jej do raportu, przynajmniej musiałaby wstać. A lubił patrzeć na nią, szczególnie w tym służbowym, obcisłym kombinezonie, który opinał jej atuty. Pomyślał, że wkrótce zrobi sobie przerwę i pójdzie do swojej kajuty, by tam obejrzeć zapis z sypialni pani Piersi Oficer... znaczy Pierwszy Oficer. Dopiero po chwili dotarło do niego, że Morwińska dalej do niego mówi:

– ... samotny statek, nieznana jednostka. Nie odpowiada na wezwania, więc rozumiem, że stosujemy postępowanie klasyczne.

– Oczywiście – Karwowski kiwnął głową. – Panie poruczniku – zwrócił się do Wojciechowskiego – proszę przygotować grupę zwiadowczą.

– Tak jest! – Wiesław z kolei wstał, chociaż poza sarmackim wąsem w jego wyglądzie nie było nic, co przykuwałoby uwagę kapitana. Porucznik jednak również wyglądał na znudzonego, ucieszył się zatem, że mógł wydać jakieś polecenia, zrobić cokolwiek, co przerwie nudę i rutynę panujące na statku.

Wojciechowski podszedł do interkomu i zakomenderował:

– Alarm czwartego stopnia! Kapral Sadłowska, proszę przygotować grupę do rekonesansu.

Kapitan westchnął. Wiedział, co teraz nastąpi. Sadłowska zgodnie z procedurą zbierze grupę patrolową, która będzie musiała w ciągu najbliższych siedmiu minut przebrać się i przygotować do wstępnego rozeznania na obcym statku, o ile ten nie odpowie na wezwanie. Towarzyszyć im będzie jeden z techników na wypadek, gdyby należało dokonać tam niezbędnych napraw. Sprawdzą działanie

kamer w hełmach poszczególnych członków oddziału, następnie Wojciechowski zadokuje przy dryfującym statku. Grupa patrolowa wejdzie na pokład i poinformuje o problemach. Będzie to pewnie zwyczajowy, porzucony prom przemytników, względnie statek z wymarłą załogą uciekinierów z Ziemi 3. Karwowski marzył, żeby na statku znaleźli się ludzie chociaż zarażeni jakąś nietypową chorobą. Musieliby wtedy poddać statek kwarantannie, może zdać jakiś bardziej szczegółowy raport w bazie. Cokolwiek, co wyrwałoby ich z tej monotonii.

Nie wiedział, że wkrótce jego marzenie się spełni.

Załoga była przygotowana na długo przed tym, zanim „Satellite 15” dotarł do celu. Dryfującym statkiem okazał się niewielki prom wycieczkowy „Talisman”. Oznaczenia sugerowały, że jest zarejestrowany w Anglosaskich Liniach Kosmicznych jako statek używany przez Anglikański Kościół Upadłych Aniołów. Statek zmierzał w stronę Ziemi 5, ale tydzień temu nagle przestał odpowiadać na wezwania i zniknął z radarów. Jak się okazało, całkiem mocno zboczył z kursu. Karwowski poczuł dreszczyk emocji, wierzył, że tym razem nie będzie to zwyczajna misja i że wydarzy się coś wyjątkowego. Nie mylił się.

Zgodnie z procedurą, „Satellite 15” zbliżył się do „Talismana” na standardową odległość piętnastu metrów. Wojciechowski zarzucił cumy, które z hukiem wpięły się w bok promu. Chwilę później statek patrolowy wysunął pomost, który połączył się z dryfem.

– Przygotujcie się do wejścia! – zakomenderował drugi oficer.

– Oddział gotowy! – odparła kapral Sadłowska. Na mostku reszta załogi z wyjątkiem kucharza i technicznego Pyrkowskiego, którzy zostali w sali wspólnej, oglądała na monitorach relację z kamer zamieszczonych na hełmach patrolu. Wszystkie ukazywały teraz drzwi wyjściowe, które rozsunęły się z sykiem, wpuszczając powietrze do komory próżniowej. Oddział ruszył, zgodnie z procedurą, przez korytarz i dotarł do wejścia na prom. Starszy szeregowy Kęsiński i techniczny Wójcik złamali zewnętrzne blokady i umożliwili grupie wkroczenie do wnętrza dryfującego statku. Na początku szli najbardziej doświadczeni żołnierze, Biedrzyk i Ogrodnik, zaraz za nimi Sadłowska ubezpieczana przez Wójcika i Kęsińskiego, pochód zamykali zaś Adamowska i Pasiak. Widok z kamer ukazywał ciemne, ponure, ale zadbane wnętrza promu kosmicznego.

– Stan techniczny pojazdu zdaje się być idealny – zauważył Wójcik.– Zmierzamy w stronę mostka, by się upewnić, niemniej na chwilę obecną wszystko wygląda, jakby ktoś jedynie wyłączył zasilanie.

– Uważajcie na pomieszczenia, które mijacie – polecił Karwowski, zupełnie niepotrzebnie pochylając się w stronę mikrofonu nadającego. Urządzenie to zbierało sygnał z całego pomieszczenia, wyrównując jednocześnie poziomy natężenia dźwięku, zatem ruch kapitana był całkowicie zbędny.

– To tylko puste pomieszczenia socjalne – odpowiedziała Sadłowska. – Zaglądamy przecież przez lufciki. Nie widać niczego podejrzanego.

– Opuszczony sprawny statek sam w sobie jest podejrzany

– rzucił kapitan, mając nadzieję, że zabrzmiało to dostatecznie dramatycznie. – Miejcie oczy otwarte.

W niespełna dwie minuty później żołnierze dotarli do głównego

wejścia na mostek. Podczas gdy Wójcik, ubezpieczony przez Biedrzycką i Ogrodnik, próbował otworzyć drzwi, reszta oddziału pilnowała wejść z pobliskich korytarzy. Dokładnie trzech. Wszystkie były ciemne i sterylne.

– Zamek do drzwi mostku również nieuszkodzony – raportował Wójcik. – Dajcie mi chwilę, a dostaniemy się do środka i uruchomimy główny włącznik zasilania. Podejrzewam, że to właśnie awaria zasilania jest powodem dryfu. Pewnie to podręcznikowa sytuacja G-3.

Karwowski westchnął. No tak, zapomniał o najbardziej banalnej, klasycznej wręcz, sytuacji G-3. Dochodziło do niej, gdy nieuważny techniczny nie kontrolował należycie baterii zasilających. W przypadku ich zużycia, jeśli nie był przygotowany zasilacz awaryjny, dochodziło do odcięcia energii, w tym również systemów grzewczych, a w kolejnych dniach także systemów wentylujących. Sytuacja G-3 oznaczała zamarznąłą i uduszoną z własnego niedbalstwa załogę. Kapitan jednak nie zdążył dalej odpłynąć myślami w swoich narzekaniach. Oto rozległ się syk zamków hydraulicznych i drzwi na mostek otworzyły się. W tej samej chwili ekran Ogrodnik rozbłysnął i zgasł. Głośniki huknęły wystrzałami i okrzykami. Nikt ze znajdujących się na mostku nie dostrzegł, co się właściwie stało. W ułamku sekundy kamera Wójcika uniosła się do góry, wskazując teraz sufit. Przez kamerę Biedrzyckiej załoga dostrzegła przez moment wnętrze pomieszczenia. Iga wrzasnęła przerażona. Karwowski nie był pewien, co tam dostrzegł, ale na pewno mignęły mu nagie, zakrwawione ciała. Całe stopy bezładnie poskładanych ciał. I coś stamtąd plunęło ogniem, zdejmując trójkę jego ludzi. Kamera Biedrzyckiej wskazywała teraz pod dziwnym kątem podłogę i but Wójcika, zbryzgany posoką.

Całemu zamieszaniu towarzyszyły krzyki pozostałych przy życiu żołnierzy, którzy ukryli się po obu stronach zamykających się właśnie drzwi. Na moment zapadła całkowita cisza, tak przeraźliwa, że aż trudno było uwierzyć, iż coś się w ogóle wydarzyło. O dramacie świadczyły trzy okaleczone ciała leżące na metalowej posadzce. Ogrodnik straciła głowę wraz z górną częścią korpusu. Wójcik dostał serię przez żołądek, która dosłownie przecięła go na pół. Biedrzycka leżała skulona na ziemi, a wokół jej ciała rozkwitała kałuża krwi. Trudno było, szczególnie w tym świetle, ocenić stan kobiety.

– Sprawdźcie, co z Lucyną! – zażądała Różewicz.– Jolka, ty masz najbliżej.

Na ekranach można było dostrzec uczestników patrolu spoglądających z ulgą na Adamowską, która jakby skurczyła się w sobie. Była doświadczonym żołnierzem, jednak szok, jaki przed chwilą przeżyła, był zbyt duży nawet dla niej.

– Jolka! – krzyknęła Różewicz.

– Szeregowy Adamowicz! – huknął Karwowski. To podziało. Kobieta kucnęła i ostrożnie podeszła do ciała Biedrzyckiej. Przerzuciła karabin do lewej ręki, prawą potrząsnęła ramię leżacej.

– Lucyna! – szepnęła nerwowo, jakby bojąc się, że drzwi znów się otworzą i tym razem ona zostanie ostrzelana. – Lucyna!

Biedrzycka nawet nie drgnęła. Adamowicz rozluźniła się, licząc, że będzie się mogła bezpiecznie wycofać. Byle jak najdalej od tych drzwi, jak najdalej stąd.

– Nie żyje – powiedziała sądząc, że tak jest naprawdę. W tej samej chwili Biedrzycka poderwała się z posadzki, opierając się na łokciach. Jolanta dostrzegła jeszcze krwawą miazgę w miejscu pancerza i piersi kobiety. Dostrzegła stopioną maskę na twarzy, która odsłaniała zakrwawione zęby i usta. Te usta splunęły na nią strugą

czerwonej cieczy. Adamowicz odruchowo odskoczyła, w pierwszej chwili myśląc, że umierająca towarzyszka opluła ją krwią. Zanim Biedrzycka rzeczywiście wydała z siebie ostatnie tchnienie, ciecz na kombinezonie Adamowicz zaczęła syczeć i wtapiać się w niego. Zszokowana kobieta nie rozumiała, co się dzieje, dopóki kwas nie dotarł do jej ciała i nie zaczął rozpuszczać jej skóry na piersiach i brzuchu. Krzyknęła. Kęsikowski nerwowym gestem zrzucił hełm i złapał się za obolałe uszy, Pasiak zaś rzucił się do ucieczki. Sadłowska próbowała opanować sytuację:

– Wycofujemy się! Kęsikowski! Pasiak! Nie zostawiamy swoich, zabieramy Adamowicz!

Pasiak dobiegł już do wyjścia i ani myślał słuchać rozkazów. Ale Kęsikowski zawrócił, schwycił wijącą się na podłodze ranną za ramię i pociągnął ją za sobą. Sadłowska podniosła ją z drugiej strony i oboje ruszyli ku wyjściu tak szybko, jak pozwalał im na to ciężar Adamowicz. Karwowskiemu przebiegła przez głowę myśl o świetnym zgraniu Kęsikowskiego i Sadłowskiej. Znał ich już od dawna, nagrania z ich harców były ważną ozdobą jego kolekcji. Nie chodziło o to, że para była świetnie dobrana w łóżku, choć trzeba im przyznać, że zarówno zaangażowania, pomysłów, jak i wytrwałości im nie brakowało. Sadłowska, brunetka o chłopięcej budowie ciała, nie była również w typie Karwowskiego. Ważne było to, że wszystko, co ta para wyczyniała tutaj, robiła bez wiedzy i zgody swoich współmałżonków, którzy pracowali na innych statkach. Kapitan był pewien, że prędzej czy później te nagrania mu się przydadzą. Mylił się.

Pasiak wbiegł na „Satellite 15”, nim Wojciechowski oprzytomniał. Dopiero, gdy pozostali żołnierze zbliżali się do wejścia na statek, rzucił się, by zamknąć drzwi z pozycji mostka kapitańskiego.

Różewicz schwyciła go za rękę, nim zdążył wcisnąć aktywujący przycisk.

– Co ty robisz?! – wrzasnęła.

– Cholera! – zaklął drugi oficer. – Oni tu zaraz wbiegną! A kwarantanna?

– Oni mają rannego! – krzyknęła Iga, biegnąc już w stronę wyjścia.

Obie z Adamowicz były dość blisko. Nagrania z ich zabaw kapitan również bardzo cenił.

– Kapitanie! – Wojciechowski nie mógł złapać tchu. – Procedury...

– Procedury mówią jasno, że nie zostawiamy swoich! – uciął kapitan. – Wpuścić ich na statek, ale nie wypuszczać z komory kwarantanny. Doktor Różewicz pójdzie zbadać sytuację. Wojciechowski zaklął. Kornelia westchnęła ciężko. Morwińska osunęła się przy ścianie.

Sadłowska siedziała z głową w dłoniach, wpatrując się tępo przez palce w czubki swoich wojskowych butów. Pasiak stał przy ścianie, wciąż ściskając w rękach karabin; nie zdjął jeszcze pancerza, nawet nie odbezpieczył maski. Kęsikowski klęczał z Różewicz przy Adamowicz i pomagał zdjąć z rannej resztki umundurowania i pancerza, które stopiły się wraz ze skórą i schodziły wspólnie z płatami mięśni. Pozostali zebrali się za szybą komory pełniącej funkcję izolacji, patrząc z przerażeniem i zaciekawieniem przebieg wydarzeń.

Kęsikowski rozgarnął sklezione potem blond włosy Adamowicz.

– Kornelia... – szepnął. Doktor nie przerywała prób reanimacji Jolanty. Adam złapał ją za ramię i potrząsnął. Różewicz podniosła głowę. Ich spojrzenia spotkały się.

spotkały się. Kęsikowski pokręcił smutno głową.

– To już nie ma sensu – bąknął. – Ona nie żyje.

Lekarka jęknęła i podniosła się z ziemi, Adam wstał razem z nią. Obserwująca scenę reszta załogi zrozumiała jednoznaczny komunikat. Iga wybuchła płaczem. Kapitan i Wojciechowski zaklęli. Kucharz i pozostali przy życiu technik nie powiedzieli ani słowa. Sadłowska zaczęła płakać. Pasiak natomiast podniósł karabin i bez słowa strzelił pani kapral w twarz.

Głowa kobiety w jednej chwili stała się krwawym bryzgiem na osmolonej pancernej szybie izolatki. Ciało huknęło o posadzkę i, nim ktokolwiek zdążył zareagować, Pasiak puścił jeszcze serię w stronę Różewicz. Pociski rozdarły jej uda i łono, korpus zwałił się na ziemię, drgając konwulsyjnie. Urwane nogi stały jeszcze przez moment, po czym upadły w dwóch przeciwległych kierunkach. Kęsikowski doskoczył do oszalałego kompana i podbił mu dłonie, dymiącą lufę karabinu przystawiając do spodu maski tlenowej. W chwilę potem maska, twarz i głowa Pasiaka wybuchły w bluzgu posoki. Iga chlusnęła na szybę strugą wymiocin, kucharz dołączył do niej parę sekund później.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zbiełałymi wargami wyszeptał Karwowski. Kęsikowski dopadł do leżących na podłodze ciał. Różewicz konała. W bladej twarzy gasło pełne bólu i niezrozumienia spojrzenie.

– Wypuście mnie stąd! – krzyknął mężczyzna.

– Nie ma mowy! – ryknął Wojciechowski. – Nie możemy ryzykować. Nie wiemy, co wam jest!

– Przecież już jestem tylko ja! – zawył Kęsikowski.

– Pasiakowi odwalilo, nie zostawiajcie mnie tu z tymi trupami! Błagam! – Nie możemy ryzykować – powtórzył drugi oficer.

– Panie kapitanie?

– Potwierdzam – odparł Karwowski nienaturalnie wysokim głosem. Szok ścisnął mu krtań i nie pozwalał odwrócić wzroku od jatki za pancerną szybą – Przykro mi, żołnierzu. Na razie musicie tam zostać.

– Błagam! Kapitanie! – Kęsikowski nie wytrzymał, zwiesił głowę i zaczął płakać. Widok tego rośłego, twardego mężczyzny wylewającego strumienie łez pomiędzy okaleczonymi trupami orzeźwił kapitana. Prerażonym wzrokiem rozejrzał się po zebranych i zatrzymał spojrzenie na Pyrkowiczu.

– Czy pomost jest odłączony? – spytał.

– Słucham? – technik w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Do diabła! Czy pomost jest odłączony!?! – krzyknął Karwowski. – Odłączcie nas od tego przeklętego statku!

– Kapitanie! – wtrącił Wojciechowski. – Ale procedury... Nie możemy przerwać misji. Musimy zbadać ten... – porucznik, mimo trupiobladej twarzy, dalej pozostawał służbistą.

– Pierdolę procedury! – wycedził kapitan. Iga i kucharz spojrzeli na niego zaskoczeni. Nigdy, a służyli na tym statku ponad dziesięć lat, nie słyszeli, by dowódca przeklinał, a tym bardziej, by wydał osąd sugerujący zignorowanie jakiegokolwiek przepisu.

– Pyrkowicz! – warknął Karwowski. – W tej chwili odłącz pomost. Choćby ręcznie.

Technik stuknął obcasami i wybiegł z pomieszczenia. Oczywistym było, że ręcznie nie mógł wykonać tej operacji, bowiem musiałby wówczas wejść do izolatki. Mógł zdecydować się jedynie pomiędzy mostkiem kapitańskim, a generatorem głównym. Krzyk, jaki po chwili się rozległ się w korytarzu, świadczył o tym, że wybrał drugą opcję. I że mu się nie udało. Zebrani przed izolatką członkowie

załogi pobiegli w stronę krzyku, nikt z nich nie liczył, że będą do czegoś potrzebni. Nikt jednak nie spodziewał się tego, co ujrzeli.

Panel generatora głównego był otwarty. Z jego wnętrza sterczały metalowe elementy konstrukcji statku, fragmenty izolacji, kawałki elektronicznych spoiw. Pomiędzy nimi rozwleczone były Pyrkowicz. Jego wnętrzności zostały splecione z drutami, jelita spływały między kondensatory, kości lśniły bielą spośród płataniny kabli. Najgorsza była twarz, rozdarta na całej szerokości panelu generatora. Skóra była rozciągnięta tak bardzo, że stała się przezroczysta; niczym błona otaczała krwawą instalację, jaką stał się ostatni technik „Satelite 15”.

Iga Morwińska zaczęła histerycznie krzyżeć, kucharz rzucił się na ślepo w głąb korytarzy i po chwili zniknął wszystkim z widoku. Wojciechowski szarpnął za ramię kapitana.

– Tomek! – drugi oficer nie bawił się już w stopnie. Znał Karwowskiego od lat, wiele razem przeszli, poza służbą byli przyjaciółmi. Teraz nie musiał już niczego udawać. – Tomek! Co robimy?!

Kapitan spojrzał na niego niewidzącym wzrokiem. Dopiero po kilku sekundach zaczął kojarzyć, co w ogóle do niego powiedziano. To wszystko nie trzymało się kupy. Cokolwiek się wydarzyło w przeciągu ostatnich kilku minut, cokolwiek to było, wymordowało prawie całą jego załogę i na pewno przybyło z tego przeklętego statku. Nie mogli się od niego odciąć, nie byli bezpieczni, musieli działać.

– Nie mam zielonego pojęcia, Wiechu – odparł w końcu, kładąc rękę na ramieniu drugiego oficera. – Nie wiem nawet, jakie procedury obowiązują w takiej sytuacji. Powiedzcie mi tylko, czy każde z was ma przy sobie broń?

– Tak jest – odparł Wojciechowski.

Morwińska bez słowa poklepała się po kaburze na udzie. W tym momencie nie wydawało się ono Karwowskiemu ani kształtne, ani ponętne.

– Pierwszy oficer uda się do sali obok izolatki. Nie możemy zostawiać swoich, ale nie możemy ich tu wpuścić. Dotrzymacie towarzystwa Kęsikowskiemu, a przy okazji będziecie mieć na niego oko.

Iga przewróciła oczami i pobladła jeszcze bardziej. Myśl o tym, że ma iść w pobliże pomieszczenia, w którym leżą ciała Sadłowskiej, Różewicz i Adamowicz sprawiła, że zrobiło jej się słabo.

– Szefie, proszę – bąknęła przerażona. Kapitan spojrzał na nią zdziwiony.

Wojciechowski powiedział niespodziewanie:

– Tomek, ja tam pójde. Dla niej to za dużo.

– Dobra – zgodził się Karwowski. – Ja pójde poszukać Rutkowskiego, nie możemy ryzykować, że zostanie sam, będąc gdzieś w głębi statku. A ty – zwrócił się do Morwińskiej – biegnij na mostek i spróbuj nadać S.O.S. Albo nawiązać z kimkolwiek kontakt. Cokolwiek się dzieje, potrzebujemy pomocy. Cholernie potrzebujemy pomocy...

– Tak jest! – krzyknęła kobieta i pędem ruszyła w stronę mostku kapitańskiego.

– Powodzenia – bąknął Wojciechowski, wyciągając służbowy pistolet.

– Powodzenia – odparł kapitan.

Wyjątkowo, tym razem przyjaciele czuli, że widzą się po raz ostatni. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i ruszyli w przeciwne strony korytarza.



Wojciechowski w mgnieniu oka dotarł do izolatki, ale wśród leżących tam zwłok nie dostrzegł Kęsikowskiego. Nie było go w tym pomieszczeniu, choć nie istniała fizyczna możliwość, by wydostał się stamtąd, jeśli nikt z zewnątrz nie otworzył mu drzwi.

– A na zewnątrz wszyscy nie żyją... – pomyślał drugi oficer.

– Naprawdę tak myślisz? – odezwał się Kęsikowski.

Wojciechowski odwrócił się gwałtownie. Starszy szeregowy stał za nim w porwanym, zakrwawionym mundurze. Jego ciało przybrało ciemnoszary, ziemisty kolor, tylko oczy płonęły czerwienią. I zęby. Wielkie, ostre, śnieżnobiałe.

Po chwili zalała je krew z przegryzionego gardła. Drugi oficer umierał w ciszy, trzęsąc się i gulgocąc bezgłośnie, z chlustającą spod brody krwią. Kęsikowski przyglądał się temu przez chwilę z przekrzywioną głową, po czym ruszył w głąb statku.

Tymczasem Karwowski dotarł do kuchni w poszukiwaniu Mateckiego. Kucharz krzątał się w szalonym pędzie po całym pomieszczeniu, zbierając na jeden stos wszystkie garnki, granulaty, pastylki pokarmowe i racje żywnościowe. Kapitan zatrzymał się w wejściu, z niepokojem obserwując działania mężczyzny. Upewniwszy się, że kucharz nie stwarza zagrożenia, a jedynie załamał się nerwowo i wykonuje kompletnie bezsensowne czynności, byle nie myśleć o wydarzeniach z ostatnich dziesięciu minut, szepnął:

– Janek...

Matecki nie zareagował.

– Janek! – powtórzył głośniejszym głosem.

Kucharz odwrócił się gwałtownie. Karwowski drgnął. Oczy Mateckiego były rozszerzone i zamglone, kapitan nie miał najmniej - - szych wątpliwości, że mężczyzna całkowicie oszalał. Potwierdzała to strużka śliny, ciekąca po brodzie.

– Janek... – Karwowski nie wiedział w zasadzie, co dalej zrobić, nie mógł jednak zostawić kucharza samego. – Chodź ze mną. Sam nie jesteś bezpieczny...

Matecki cofnął się do tyłu. Potknął się o stos gratów, które sam wyrzucił, ale złapał równowagę. Podbiegł do urządzeń gotujących i nim kapitan zorientował się, co się dzieje, rozkręcił podajnik gorącego tłuszczu.

– Sam nieeeee!!! – wrzasnął kucharz, odkręcając zawór. Struga gorącej cieczy trysnęła mu w twarz. Ryknął przeraźliwie, opadając na posadzkę. Przyłożył ręce do okaleczonej twarzy i tarzał się, wyjąc się z bólu. Kapitan pochylił się nad nim, próbując dojrzeć jak poważne obrażenia odniósł Matecki. Spodziewał się najgorszego, ale na widok rozgotowanej twarzy, z której mięso odchodziło od kości, ziejących parującą pustką oczodołów i zwisającego, pokrytego czarnymi bąblami języka, cofnął się zdruzgotany. Nie mógł już w żaden sposób pomóc kucharzowi. Poza jednym. Wyciągnął pistolet i przystawił go do głowy konającego. Jednym ruchem palca zakończył jego cierpienia.

Karwowski szedł ostrożnie na mostek, wierząc, że Iga wezwała już pomoc, że wystarczy tylko odczekać, aż z sąsiedniego sektora przybędzie statek ratunkowy. Kęsikowski pojawił się znikąd. Kapitan rozglądał się po korytarzu, mimo to starszy sierżant zaskoczył go, zeskakując z sufitu. Musiał po nim pełzać niczym pająk.

Teraz stał przed kapitanem z poszarzałą i zakrwawioną twarzą, w porwanym i zbryzganym posoką uniformie. Wyciągnął okaleczoną dłoń i położył ją na ramieniu Karwowskiego.

– To twoja wina – wyszeptał Kęsikowski, po czym z jego ust wypełzły wijące się, rdzawobrzęde larwy.

– Jeszcze nie jest za późno – dodał i zamachnął się drugą ręką. Kapitan odskoczył, złapał dystans i wycelował pistolet w żołnierza.

– Adam, uspokój się! – krzyknął nerwowo. – Stój tam i się nie ruszaj!

Starszy sierżant przekrzywił głowę, wyszczerzył zakrwawione kły i skoczył. Kapitan nie czekał. Strzelił, powalając napastnika w locie. Gdy ciało spadło na posadzkę odczekał chwilę w obawie, że demoniczny żołnierz poderwie się znów do ataku.

Iga próbowała wezwać pomoc, ale żadne z urządzeń komunikacyjnych nie działało tak, jak powinno. Monitory zamiast obrazu z kamer na korytarzach i w pomieszczeniach pokazywały tylko absolutną czerną. Kobieta spojrzała na wskaźniki. Nic nie sugerowało braku zasilania, ciemność była więc zupełnie nienaturalna.

„Jak gdyby cokolwiek w ciągu ostatniego kwadransa było naturalne...” – pomyślała przerażona. W tym samym momencie drzwi na mostek otworzyły się z sykiem i do pomieszczenia wkroczył kapitan.

– Jaka sytuacja? – spytał zmęczonym głosem. Pierwszy oficer roześmiała się histerycznie. Karwowski podszedł do niej i delikatnie wziął w ramiona. – Już wszystko dobrze. Już po wszystkim.

Iga przyłgnęła do niego całym ciałem, wbiła palce w jego ramiona. Kapitan wpatrywał się w jej piękne, tak wielkie, błękitne oczy, podziwiał rozchylające się usta, zapragnął wysuniętego lubieżnie języka... Ścisnął ją mocniej, a gdy przestała wierzgać, puścił trupa na ziemię. Ciało Morwińskiej opadło bezwładnie na pulpit sterowniczy, po czym osunęło się na posadzkę. Karwowski usiadł w kapitańskim fotelu. Nagle wszystko zaczęło mu się rozjaśniać. Kwadrans temu wszedł do pomieszczenia wspólnego. To był jego kolejny bezsensowny obchód.

Miał sprawdzić dane dotyczące uzbrojenia, ale zamiast tego ściągnął ze stojaka karabin i ostrzelał załogę. Pierwszymi strzałami położył Biedrzycką, Wójcika i Ogrodnik. Reszta poderwała się z miejsc, ale zdołał jeszcze zestrzelić Adamowską. Pasiak i Kęsikowski obezwładnili go i, wraz z Różewicz, która zaczęła przebąkiwać coś o załamaniu nerwowym, zamknęli w pomieszczeniu socjalnym. Kapitan rzucił się na pilnującego ich Pasiaka i jego karabinem zdjął panią doktor psycholog. Następnie zabił żołnierza i pilnującą wyjścia Sadłowską, po czym wybiegł na korytarz. Uszkodził główny generator, by powstrzymać załogę od wezwania pomocy, zastrzelił próbującego naprawić go Pyrkowskiego. W korytarzu spotkał Wojciechowskiego, który starał się go uspokoić, powołując się na łączącą ich przyjaźń. Karwowski strzelił mu w twarz. W kuchni dopadł Mateckiego. Przypomniawszy sobie, jak kucharz klęczał, płacząc, i zasłaniał oczy, błagając o litość. Przypomniawszy sobie, jak litościwie rozwalił mu łeb. Potem zetknął się z Kęsikowskim. Starszy sierżant popełnił błąd, próbując wziąć go żywcem i postępując zgodnie z procedurami. Gdy wezwał go do poddania, kapitan po prostu strzelił mu w pierś. Powrót na mostek i uduszenie Morwińskiej zakończyło jego obchód. Zupełnie nie rutynowy i niezgodny z procedurami. Karwowski rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Kapitan opuszcza mostek – oznajmił, wkładając sobie lufę do ust.

Tu statek patrolowy „Paschendelle”. Zbliżamy się do celu. To patrolowy statek „Satellite 15”. Dryf nie odpowiada na wezwania, brak oznak życia. Przystępujemy do akcji zgodnie z procedurami.



Maciej Lewandowski

Urodziłem się w roku, w którym Regan został powtórnie prezydentem, a świat dowiedział się czym jest Terminator. Gdyby wierzyć mądrości „jesteś tym, co jesz”, mógłbym być porośniętym pizzą krzakiem chmielu. Z wykształcenia człowiek wielu zawodów; najbardziej dziennikarz (choć ostatnio już nie).

Pracuje i o dziwo zarabiam przy tej okazji we Wrocławiu, tęskniąc za toruńskimi knajpami czasów studenckich. Śmiało mogę powiedzieć, że od lat zaferowany jestem pisarstwem i górami – czasem wygląda to na emocję odwzajemnioną. Jak by nie było, efekty pracy literackiej są **w y m i e r n e**.

Jestem fanem H.P. Lovecrafta, a King to niedościgniony mistrz pióra, u którego staram się terminować.





Maciej Lewandowski
JESIENNA MUZYKA

Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić; odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić i szczęścia, aby mi się jedno z drugim nie popieprzyło.

Stephen King, Miasteczko Salem

Nie dalej jak kwadrans po czternastej do Biesiadnej Chałupy wpadł lekko zadyszany Sławek Partyka. Zamierzałem właśnie pohać sobie szklaneczkę czegoś mocniejszego. Skraj beskidzkiego pasma może i stanowi urokliwy magnes na turystów, ale nie dziesiątego listopada. O tej porze w górach jest cicho oraz spokojnie. Uwielbiam, gdy okoliczne góry zaczynają skrzyć się pastelowymi kolorami, co i raz nieśmiało odsłaniając fragmenty nagiej skały. Zupełnie jak zalotna dziewczyna, doskonale świadoma swego piękna.

Romek Gąsienica, mój jedyny klient, nie licząc pochrapującego na parapecie Rudasa, spojrzął z ukosa na Sławka i skrzywił się ostentacyjnie.

- Zamykaj te cholerne drzwi – ryknął. – Tu nie obora.

Nie wyglądał na swoje sześć krzyżyków, które uzbierał na karku. Wielki, niczym ciosany siekierą kloc surowego beskidnika, rodem ze zbójckiej bandy. Jednak pozory uwielbiają z nami igrzać, mając na wszelkie sposoby.

Romek był najłagodniejszym i najweselszym człowiekiem, jakiego znałem w całym swym dotychczasowym życiu.

Sławek, błady niczym kreda, zatrzasnął drzwi i skierował się do baru. Bez słowa polałem mu solidnego kielicha gęstej niczym smoła kawówki. Na pierwszy rzut oka znać było, że chłop potrzebuje chwili na zebranie myśli.

Partyka przeniósł się w te okolice dobrych dziesięć lat temu, w 1995 roku. Od tamtej pory prowadził z powodzeniem biznes, polegający na bezlitosnym łupieniu turystów z pieniędzy pod pretekstem czegoś, co od niedawna nazywamy agroturystyką. Muszę przyznać, że facet był wirtuozem łuskania ceprów z mniej lub bardziej uczciwie zarobionych złotych. Mieliśmy ciche, sąsiedzkie porozumienie: ja mu podsyłałem zmęczonych miastowych, celem najęcia pokoju, zaś on do mnie tych rześkich, celem skruszenia lokalną siwuchą. Taka mała symbioza. No i obaj byliśmy w sumie obcy. Znaczna część mojej rodziny mieszkała rozszkana po okolicznych wsiach, ale nigdy nie wybaczone mojemu ojcu, że poszedł do miasta.

Odczekałem chwilę, aż przetrawi zawartość łufy i uspokoi oddech. Partykówka nie była daleko, ale jednak dzielił nas dość stromy odcinek asfaltowej drogi, która z wolna przechodziła w kamienne usypisko zlepione gliną. Ot, typowe wejście na szlak.

- Wiem, że lubisz po sąsiedzku wałęsać kielicha, ale bieganie po górach zostaw młodszemu od siebie. Jak mi tu zejdziesz na zawał pikawy, to turystów odstraszysz. A za stary jestem na bawienie się w kłusownika.

Romek uśmiechnął się, pocierając szorstki od kilkudniowego zarostu policzek.

- Nie ma chłopaków ze straży? – Partyka rzucił nerwowo, rozglądając się po pustej sali. Rozbudzony nagłym rabanem Rudas przemaszerował w kierunku kominka.

Romek prychnął rozbawiony.

- GOPRów szukasz? Czy chałupa ci się pali?

- Ratowników – warknął niespodziewanie poirytowany.

- Myślałem, że któryś jak zwykle siedzi w Chałupie.

Zmrużyłem oczy przyglądając się Sławkowi badawczo. Owszem, Chata Biesiadna była nieformalnym punktem zbornym ratowników. Owszem, często tu wpadali po lub tuż przed patrolem. Podobnie jak pogranicznicy oraz leśnicy.

Urok lokalizacji. I niezłych zestawów obiadowych. Jeżeli Sławek szukał kogoś z GOPRu, mogło to oznaczać tylko jedno. Romek z cichym westchnieniem odstawił butelkę piwa.

- Trójka mi nie wróciła – mruknął Partyka z miną, jakby przyznawał się publicznie do onanizowania w szatni dla dziewczyn.

- Dwoje dorosłych plus dzieciak. Dziewczynka.

- Jezu – jęknął głucho Romek. – Kiedy mieli być? Bezceremonialnie dostawiłem dwa kieliszki, uzupełniając szkło od serca. Czułem jak nerwy boleśnie mi się napinają. Brak odpowiedniego naoliwienia groził zerwaniem całej, cholernej instalacji.

- Wczoraj pod wieczór.

Zapadła nieprzyjemna cisza. W tle szumiał cicho telewizor, wiszący smętnie w rogu głównej sali. W okresach ligowych zapewniał niczego sobie dodatkowy utarg. Zamiast meczu leciała komedia z Polańskim w roli nieporadnego łowcy wampirów.

- Nie śpieszyło ci się...

- Myślałem, że zeszli na drugą stronę i zatrzymali się u Miętuchy – Partyka gapił się tępo w opróżniony skwapliwie kieliszek. – Do tego granica blisko. Sami wiecie, jak jest – dodał łamiącym się głosem.

Romek bez słowa ruszył za bar, przeciskając się za moimi plecami. Zналиśmy się od lat, jeszcze za szczawi, kiedy to lataliśmy po okolicznych łąkach. Potem się okazało, że Remi wpadł w oko mojej kuzynce, a w drodze jest dziecko. Rak wykończył Adę na chwilę przed Okrągłym Stołem, zostawiając Romka z oseskiem oraz lichą pensją pilarza. Ja akurat kończyłem studia i szukałem pomysłu na życie, godzącego miłość do gór. Ogłoszenie o możliwości wykupu zapadłego kurnika udającego schronisko pojawiło się znikąd. Reszta to magia.

Cholera, nie sądziłem, że ten biznes aż tyle pociągnie.

- Gdzie poszli?

- Spojrzałem wymownie na Sławka, podczas gdy mój wspólnik mozolnie tłumaczył sytuację dyżurnemu. Po wysiłku, jaki w to wkładał odgadałem, że po drugiej stronie siedzi któryś z Mroczków. Przysięgam, para wysłużonych trampek była lotniejsza od tych dwóch chłopaków.

- Hala Rysianka.

- Od nas to nie dalej niż cztery godziny marszu. Po drodze jest Boracza – spojrzałem na kłębiące się za oknem matowe, jesienne n i e b o .

- Dzwoniłeś tam?

- Tak. Nie kwaterowali nikogo.

- Kurwa mać.

Chłopu zaczęło się odbijać, jakby miał pawia. Żołądek pewnie tańcował mu w bebechach lambadę, jak się patrzy. Nie dziwiłem mu się. Też bym się denerwował gdyby takie gówno trafiło się pod moim d a c h e m .

- Masz – wcisnąłem mu szklankę, którą pierwotnie przeznaczyłem na swoją dzienną dawkę rozmowy z kolegą Jackiem Danielsiem. – Dobrze ci robi. Posadź tyłek w fotelu przy kominku i postaraj się uspokoić. Zrobiłeś to, co każdy inny by zrobił na twoim miejscu – dodałem pośpiesznie, nie mając jednak pewności, czy też bym zwlekał tyle z podnoszeniem alarmu. Z drugiej strony, koszty fałszywego rwetesu były dotkliwie.

Romek odłożył cicho słuchawkę i popatrzył za sunącym przez lokal Partyką. Nagłe uderzenie ciepła poparte dwiema solidnymi lufami nieco go otumanilo.

- Co o tym sądzisz? – Mruknął, nie spuszczać oczu z zapadającego się w fotelu Sławka.

- Nic nie sądzę Remi. Co powiedzieli? – Kiwnąłem głową na telefon.

- Chłopaki z patrolu rozejrzą się po okolicy. Potem zajadą do nas – zadudnił placami o blat. – Marek najpewniej ustanowi tu punkt dowodzenia. Mroczki powinni właśnie dzwonić do Siwego, by dał znać pogranicznikom. Pewnie wszyscy zjadą się tu jak na majówkę najdalej za czterdzieści minut. Posłałem mu badawcze spojrzenie, usiłując odczytać jego myśli. Podejrzewałem, co kołacze mu się pod czupryną i nie podobało mi się to. Równie dobrze można było od razu wskoczyć pod ostrze piły w pierwszym lepszym tartaku. Sławek zdawał się całkowicie nami nie interesować. Siedział z głową wspartą o dłoń, zapamiętałe masując skroń. Zupełnie, jakby mogło to komukolwiek pomóc.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że trzydzieści, może czterdzieści minut to sporo czasu – przeniósł zmęczone spojrzenie na mnie, nie pozwalając mi uciec wzrokiem w bok.

– Czasu, który można spożytkować. Patrol najpewniej już gna w dół i będą tu najdalej za godzinę. Powiadam, wyjdźmy im naprzeciw. Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Spodziewałem się tego, że stary głupiec wpadnie na szalony pomysł, ale dopiero, gdy powiedział to na głos dotarło do mnie, co się dzieje. Połałem od serca do szklanek i przez chwilę chłonałem kojący aromat palonego drzewa.

- Słońce zajdzie za niecałe dwie godziny. Plus minus – wiedziałem, co muszę zrobić i, co gorsza, że nie ma od tego uciezki. Zwyczajnie sama myśl o tym przyprawiała mnie o gęsią skórę. Odruchowo dotknąłem owiniętych wokół nadgarstka koralików różańca. Mówi się, że ludzie gór są ostentacyjnie bogobojni. Możliwe, wielu ma jednak swoje powody.

- I co z tym fantem zrobimy, braciszku? – Zapytał, wyciągając spod koszuli okazały srebrny medalik. – Przecież nie zostawimy ich tak.

- Minęło sporo czasu – odparłem, starając się znaleźć racjonalne rozwiązanie. – Cholera wie gdzie ich licho poniosło. Po zmroku nic nie wskóramy...

Romek uśmiechnął się zimno.

- Nie możemy tego wykluczyć, fakt. Wydaje mi się, że możemy jednak spróbować.

Przysunąłem się do niego bliżej, wyglądając przez okno na z wolna szarzące niebo.

- A co jeśli – mruknąłem. – No, wiesz...

- Nie wiemy tego na pewno – poczułem ciężar jego dłoni na ramieniu. – Tomasz, obaj wiemy, że nie jesteś typem glizdy kryjącej się w norze. Wiesz, co trzeba zrobić – klepnął mnie zamasyście w plecy, sam nie wiem, czy bardziej ku pokrzepieniu serca, czy aby wyładować frustrację spowodowaną faktem, iż w takiej chwili mogłem mieć wątpliwości. – Idę odpalić Patrola. Załatw sprawę ze Sławkiem i ruszaj zadek. Słońce nie będzie na nas czekać.

- Przed północą nie powinien się ruszać – mruknąłem.

- Cholera tam, nie powinien – sarknął. – Jak widać w dupie ma takie subtelności.

Odprowadziłem go wzrokiem i bezwiednie wyciągnąłem spod blatu stołu oprawioną w skórę Biblię. Pamiątka rodzinna dotycząca na osi czasu powstania styczniewego oraz pradziadka, który pod wpływem frontowych koszmarów postanowił darować życie bogu.

Przymknąłem na chwilę oczy, usiłując zebrać rozbiegane myśli. Nie jestem człowiekiem nad wyraz religijnym. Owszem, noszę przy sobie różaniec, a pod ładą w barze trzymam sfatygowany egzemplarz. Ma to jednak dla mnie bardziej symboliczne znaczenie, podobnie jak dla wielu ludzi mieszkających w tej okolicy. Więcej w tym ludowej magii, niż głębokiej wiary w nieomylność boga czy wątpliwe zbawienie, choć starczy zapytać pierwszego lepszego starca a zapewniałby, że piekło i demony istnieją.

Czasami w Chacie zbierało się kilku starych bywalców, ludzi od dzieciaka biegających po okolicznych górach i wypasających owce. Rozmawialiśmy, grzejąc kości przy kominku i, zastanawiając się, czym są cienie spowijające okoliczne lasy. Nikt nie mówił o nich bezpośrednio, zadowolając się przypominaniem cudzych historii oraz relacji o dziwacznych, diabelskich dźwiękach, o szeptach w albo nienaturalnej ciszy. Tylko raz ktoś wspomniał o upiorach pomordowanych Żydów.

- Jezus Maria – ryknął Waldek, pijany w trupa. – Mówię wam, że to upiory. Mszczą się za to, co im zrobili w czasie wojny. Gderacie jak banda starych bab. A ja wam mówię, że to chuja warte – wtedy jego słowa brzmiały bełkotliwie, z dużą ilością przyduszonego „h” – Ja wam mówię. Duchy! Kłusole i Cygany ze Słowacji wodę noszą!

- To upiory czy Cyganie? - Nie pamiętam już, kto zapytał, ale to w sumie nie ma znaczenia. Ważne jest to, że Waldi spurpurowiał.

- Przemytnicy. Szmuglują spirytus i fajki – warknął. – Nieraz ich widywałem jak przemykają po krzakach, taszcząc plecaki pełne kontrabandy. Udowodnię wam, cykory! To był pierwszy, a zarazem ostatni raz, gdy na głos padło słowo upiór. Wszyscy śmiali się z przemówienia Waldka i chyba nikt tak naprawdę nie dał mu do końca wiary. Niecały tydzień po tym zajściu Waldek Rojczyk był martwy. Mimo, że nie wiadomo, co się dokładnie wydarzyło, policja znalazła w miarę sensowne wytłumaczenie zajścia.

Waldi przydybał przemytników, a potem zrobiło się nieprzyjemnie - taką wersję sprzedał nam Mirek, komendant, gdy wpadł na kielicha. Rojczyk szefował brygadzie pilarzy w lesie i miał w zwyczaju osobiście doglądać, by na porębie nikt nie zostawił sprzętu, choćby głupiej siekiery. Chłopaki pod koniec zmiany usadowili się na przyczepie otwierając po browarku, a Waldi z butelką w garści wielkości bochna chleba poszedł na rutynową kontrolę. Złoto nie facet, naprawdę.

W pewnym momencie ktoś usłyszał krzyk. Waldka znaleziono dopiero na drugi dzień z rana, poszarpanego przez zwierzaki jak stary gałgan i wysuszonego niczym egipska mumia. Koszmarny widok, tak przynajmniej opowiadali ludzie z ekipy poszukiwawczej. Ja i Remi mieliśmy na to swój własny pogląd, którym naturalnie żaden z nas się nie chwalił. Wyobrażacie to sobie? Ktoś zaczyna opowiadać, że w lesie mieszka wampir. Taki najprawdziwszy, cholerny wampir?

Tak myślałem. Męskie przyjaźnie scalają różne rzeczy. Moją oraz Romka scementowało pewne wydarzenie, latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Ledwie, co podpisano porozumienie sierpniowe, a Gierek ustąpił miejsca Kani na stołku szefa szefów w KC PZPR. Nas to jednak nie dotyczyło. Mieliśmy swoje dzieciństwo, swoje lata i w najlepsze włączyliśmy się po okolicy. Plecak, trochę kanapek, coś do picia oraz góry. Jasne, anarchistyczny duch wył o wolność, ale czynił to na równi z trądzikiem oraz uganianiem się za kieckami. Młodość.

Gdy ojca internowano pod jakimś bzdurnym pretekstem, podsuniętym przez sąsiadkę, matka wysłała mnie do rodziny, chcąc odsunąć jedyne dziecko od politycznego zagrożenia. Czasem, jak o tym wszystkim myślę, co w życiu spieprzyłem, zastanawiam się czy gdyby wiedziała, co się stanie, nadal upierałaby się za odesłaniem mnie z Warszawy.

Sam nie wiem, co gorsze.

Tak naprawdę to był przypadek. Włączyliśmy się ciut za długo i zmierzch złapał nas na szlaku. Lecieliśmy na złamanie karku, byle tylko dotrzeć do domu przed zmrokiem. Mój wuj z pełną surowością pilnował umówionych godzin, nieprzychylnie odnosząc się do każdego spóźnienia. Pilnowanie dzieciaków by po zmroku nie przebywały na polu było wręcz jego konikiem. Wtedy miałem to za fanaberię, dzisiaj wiem, że kryło się za tym coś więcej. Z ulgą dotarliśmy do starego skrzyżowania ścieżek. Od ostatniej polany biegliśmy, ile sił w nogach, ścigając się z czasem. Perspektywa kolejnej pogadanki w razie spóźnienia dodawała skrzydeł. Od sterczącego spomiędzy traw kamienia z wymalowanymi oznakowaniami szlaków wiodła prosta droga do miasteczka. Było już widać światła pierwszych domów.

Staliśmy na rozstajach patrząc na samotną wierzbę górującą nad drogowskazem. Jedyna w całej okolicy. Kogo by nie zapytał, wszyscy o niej słyszeli i za każdym razem dopowiadali jakąś ponurą, ludową anegdotę, koniecznie za bohatera mającą diabła. Na każdej gałęzi siedziały czarne niczym smoła ptaszyska, wbijające w nas tępe spojrzenia guzikowatych ślepi. Jeżeli drzewo faktycznie miało jakiś związek z siłami nieczystymi, to tamtego dnia go zmanifestowało w pełnej okazałości.

Usłyszeliśmy muzykę. W środku cholernego lasu, o zmroku, ktoś grał na skrzypcach. Linia widnokregu była wyraźnie zaznaczona, a słońce jeszcze nie do końca skryło się za górami, ale i tak przeszył mnie dreszcz. Romek zrobił jedną ze swoich głupich min, usiłując dodać samemu sobie odwagi.

Docierając na te przekłete rozwidlenie człowiek może ruszyć dalej zgodnie ze szlakiem turystycznym, odbić w prawo na drogę wykorzystywaną przez służby leśne, zaopatrzenie oraz straż graniczną, albo w lewo, na krętą dróżkę prowadzącą do starego, przedwojennego schroniska wybudowanego przez żydowskie towarzystwo sportowo-turystyczne Makkabi. No, przynajmniej tego, co ze schroniska pozostało. Spłonęło niedługo po wtargnięciu Niemców do Polski. Niektóre broszurki reklamowe dla ceprów okazjonalnie wspominały o ruinach, opisując to miejsce jako swoistą atrakcję turystyczną. Osobiście nie wiem, co atrakcyjnego jest w spalonych, na wpół zawalonych resztkach małego hoteliku górskiego, usytuowanego w sąsiedztwie błotnej karykatury górskiego jeziora. My zwaliśmy je po prostu uroczyskiem.

Coś mnie podkuśiło by pójść za pulsującym nieprzyjemną dzikością śpiewem skrzypiec. Wszystkie dźwięki brzmiały pozornie harmonijnie, ale raz po raz wkradało się coś pomiędzy nie, coś chaotycznego i nieprzyjemnego. Tak, jakby przestrzeń pomiędzy poszczególnymi nutami nienaturalnie się wydłużała, gubiąc przy okazji kilka tonów.

Nie wiem, czy Romek chciał mnie zatrzymać, czy też ruszył bezwiednie, skuszony melodią. Wiem tylko, że gdy się obejrzałem sunął krok za mną rozglądając się na boki wielkimi jak śliwki oczyma. Resztki budynku skrywały się przed postronnymi za drzewami. Nawet późną jesienią, kiedy liście w najlepsze butwiały w błocku, dostrzeżenie konstrukcji było nie lada wyczynem.

Nie stał jednak daleko; takie miejsca, choć na uboczu, są zawsze dostatecznie blisko by ktoś zabłądził w ich okolice. Uszliśmy nie więcej niż dziesięć kroków, potykając się co i rusz o resztki ścieżki. Teraz pozostały z niej pokruszone, pojedyncze kamienie z wolna pochłaniane przez las.

Ledwie osiągnęliśmy zakręt prowadzący prosto do schroniska, a stanęliśmy zdjęci nagłym lękiem. Czułem jak nogi zamieniają się w watowane podpory, trzęsące się pod ciężarem ciała. Nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Mogłem tylko stać i patrzeć na mężczyznę siedzącego na szczycie na wpół zawalonego dachu, zapamiętałe grającego na skrzypcach. Upiorne, niepokojące tony przetykane ledwie słyszalnym gardłowym bulgotem przebijały się do głębi mojego serca, lodowatymi paluchami szukając duszy. Zahipnotyzowany patrzyłem na podrygujące na wietrze smugi cieni, które niczym atrament rozpuszczony w wodzie falowały, otaczając nieznanego. Starczyło tylko spojrzeć pod nieco innym kątem, a rozedrgana ciemność okazywała się widmowymi skrzydłami. Pamiętam jak jęknąłem z przerażenia, czując jednocześnie nieprzyjemny zapach moczu. Zerknąłem na Romka, który właśnie w najlepsze szczął w spodnie.

Muzyka urwała się bolesnym zgrzytnięciem i nim zdołałem znowu spojrzeć w kierunku budynku owiał mnie ostry odór zgnilizny. Wciągnąłem nerwowo powietrze, czując grzęznący w gardle krzyk. Remi wydał z siebie stłumiony szloch patrząc tam gdzie musiał stać skrzypek. Zagryzłem wargi zaciskając z całych sił powieki. Lepki smród przeniknął przez ubranie lgnąc do ciała.

Usłyszałem paraliżujące młaśnięcie trupich ust i języka, usiłującego wygrzebać resztki spomiędzy zębów. Oczyma wyobraźni widziałem czarną, smolistą ślinę pieniącą się pomiędzy zapadniętymi policzkami. Poczulem na szyi coś nieprzyjemnie zimnego i śliskiego, sunącego ku uchu. Czułem jak śmierć liże mnie po szyi i jedyne, co mogłem, to czekać na bolesny koniec. Zamiast rozdzierającego bólu usłyszałem odrażające młaśnięcie, skwitowane kłapnięciem zębów.

- Zmiatajcie stąd jeladim – zacharczał zaciągając powietrze. Chłonał nasz zapach niczym wygłodniałe zwierzę. Nie wiem, jakim cudem uszliśmy. Wiem, że biegłem czując na karku lepki oddech śmierci. Romek, charcząc dziko, był jakieś pół kroku przede mną.

Czułem, jak krew w skroniach buzuje boleśnie, jak tracę dech. Nie było to jednak ważne – liczyła się tylko wściekła muzyka skrzypiec rozsądzająca mi głowę. I wtórujące jej skrzeczenie ptaków.

Zakląłem pod nosem. Na wspomnienie tamtego lata dostałem gęziej skórki, a serce mało nie wyłamało żeber.

Sławek posłał mi nerwowe spojrzenie, które zbyłem machnięciem ręki oraz bladym uśmiechem. Kiedy wpychałem Biblię do bocznej kieszeni spodni, Partyka spoglądał na mnie, usiłując wysondować moje myśli. Cholera, nigdy nie czułem się tak staro. I od bardzo dawna tak się nie bałem.

- Po prostu nie możemy ich tak zostawić – mruknąłem wymijająco. – Wyjedziemy na szlak. Podejrzewam, że rodzinka siedzi na którejś polanie i opycha się kanapkami, podziwiając widoki. Odwieziemy ich z powrotem, nim Siwy postawi na nogi pół powiatu. Niebawem zjadą się tu GOPRowcy. Przypilnujesz budy i opowiesz, co i jak?

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. W końcu Partyka wyciągnął rękę i uścisnął moje ramię.

- Jesteś dobry chłop Tomek...

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć. Przed oknami pojawił się masywny Nissan Patrol, a Remi ponaglająco uderzył w klakson. Ruszyłem do wyjścia ofiarując duszę dowolnemu bogu, któremu uda się ją znaleźć.

- Słyszałem o nim – rzucił za mną Sławek. – Myślałem, że to tylko gadanie.

Cieszę się, że nie widział moich oczu i przerażenia, jakie ścisnęło mnie za jaja.

- Bo to tylko gadanie Sław. Powiedz, że ruszyliśmy żółtym. Zamknąłem drzwi i ruszyłem do samochodu. Zegarek na rękę wskazywał za dwadzieścia trzecią. Mieliśmy niecałą godzinę do zmroku. Gdy zatrzasnąłem drzwiczki Nissana i usadowiłem się w fotelu, stado wron z dzikim wrzaskiem przeleciało nad naszymi głowami, uderzając jak burza w kierunku linii lasu. Niczym na komendę zerwał się dziki wiatr, dudniąc w okolicznych dolinach. Coś budziło się ze snu.

- Może byśmy się nieco pośpieszyli? – Rzuciłem Romkowi ciężkie spojrzenie. Wyszczrzył zęby i bezceremonialnie wdusił pedał gazu. Grube koła zdarły trawę, wyrzucając w górę fontannę ziemi, zmielonej trawy oraz luźnych kamyków.

Ruszyliśmy za rozkrzyczanymi wronami. Potężny silnik terenówki ryczał groźnie.

- Jak na człowieka, który przed kilkoma minutami mało nie narobił w gacie strasznie się palisz do tej wycieczki – odparł. Przekładnia delikatnie zgrzytnęła, gdy zbyt nerwowo wrzucił wyższy bieg. W pełnym pędzie wypadliśmy na leśną drogę, mknąc na złamanie karku między drzewami.

- Ostatnim razem, jeśli dobrze pamiętam to nie ja zaszczałem spodnie.

- Przynajmniej nie beczałem jak baba, nadstawiając alabastrowej szyjki do pokąsania – odparował, nie spuszczać oczu z drogi. Knykcie zaciśniętych na kierownicy dłoni zbieleły. Podejrzewam, że nerwy miał równie napięte, co ścięgna. Przyglądałem brodę, starając się zapanować nad nerwowym biciem serca.

- Zabrałeś coś z szopy?

- Kuszę, dubeltówkę, naręczce srebrnych kul i girlandę czosnku...

Westchnąłem ciężko. Nie miałem siły na żarty. Byłem spietryany jak mało kiedy.

- Znalazłem dwie siekiery – mruknął. – Tą jedną to może brzozową gałązkę ujebiesz, ale lepsze to niż ta twoja Biblia. Posłał mi miążdzące spojrzenie.

- Może się przydać.

- Cholera!

Niespodziewany podmuch wiatru uderzył w bok samochodu. Cudem nie wypadliśmy z zakrętu. Ułamek sekundy wcześniej i odwalilibyśmy majestatyczny lot nad kukułczym gniazdem. Prościutko w dół parowu. Trupy na miejscu. Szczęśliwie Remi zdążył odbić w bok, rozorać kawał gruntu, skosić kilka krzaków i z jedno młode drzewo. Masywny zderzak z wyciągarką zamienił brzoźkę w chmurę wiórów.

- Kurwa – rzeczowo skwitował Romek, opierając głowę o kierownicę. – Jestem na to za stary. Nie mam już siedemnastu lat. Ja pierdołę.

Wyprostował się i jak gdyby nigdy nic wrzucił wsteczny, wytaczając samochód z powrotem na drogę.

- A co do twojej Biblii to przypominam ci, że to może być

jeden z tych pomordowanych w czasie wojny Żydów. No wiesz, tych, co prowadzili to nieszczęsne schronisko. A jeśli dobrze kojarzę, im nasza Biblia robi tyle, co nam Koran.

- Może – odparłem szukając śladu słońca na niebie. – Ale jest martwy. Przynajmniej z teologicznego punktu widzenia. A wedle śmierci wszyscy jesteśmy równi.

- Nie tyczy to się aby tylko pieniędzy?

- Oby nie.

- Oby – uśmiechnął się szelmowsko. – Jak coś, celuj tak, żebyś trafił rantem.

Coś we mnie pękło. Wybuchnąłem śmiechem. Miałem tak napięte nerwy, że chwila oddechu dobrze mi zrobiła. Romek też się śmiał, ścierając łzy wielkości grochu ryjące mu policzki. Wisielczy humor zawsze w cenie.

Potrzebowaliśmy kolejnych piętnastu minut by dotrzeć do rozstajów i samotnego drzewa. Remi zahamował gwałtownie, zaciągając ręczny hamulec. Samochodem lekko targnęło, gdy wykonywaliśmy łamany skręt. Bez słowa wysiedliśmy, zostawiając zapuszczony silnik. Do zachodu słońca zostało jakieś pół godziny. Plus minus. Zerknąłem na ponurą wierzbę, na której gromadziły się skrzeczące ptaki. Guzikowate, lśniące ślepia wpatrywały się w nas, śledząc każdy najdrobniejszy ruch. Romek wyciągnął z bagażnika siekiery oraz toporne latarki.

- Jak myślisz – splunął w kierunku podskakujących na drzewie ptaszysk. Zarzucił siekiere na ramię. – Czemu nas wtedy nie wyssał jak soczku w kartoniku?

Wzruszyłem ramionami, po czym wsunąłem latarkę do kieszeni i podwinąłem rękawy koszuli.

Ruszyliśmy szybkim krokiem, nie tracąc czasu na zbędne przygotowania. Totalna amatorszczyzna. Drewniany krzyżyk zawieszony na girlandzie koralików owinął się wokół trzonka siekiery, którą ścisakałem w dłoni niczym cycka studentki.

- Myślę, że to kwestia dojrzewania – mruknąłem, ruszając w kierunku zarośniętej ścieżki prowadzącej do ruin schroniska. Nie byłem tu od ponad trzydziestu lat, a czułem się jakbym ledwie wczoraj biegł tędy na złamanie karku, modląc się o życie.

- Jakiego dojrzewania, do diabła?

- Jego.

Wpadłem na Remiego, który niespodziewanie przystanął na zakręcie; tym samym gdzie kilkanaście lat wstecz i setki nocnych koszmarów spotkaliśmy potwora z legend. Przyciskał dłoń do piersi, oddychając ciężko. Nie pytałem, nie było takiej potrzeby. Wiedziałem, że stary głupiec ma problemy z sercem. Pieprzony artretyzm, z którym się siłowałem co zimy był niczym w porównaniu z siadającą ąpikawą Romka.

- Co ty? – Głębszy, nerwowy wdech przerwał mu skutecznie serię przekleństw, jakie zapewne chciał wypluć z siebie.

- Pomyśl – kiwnąłem głową w kierunku cuchnącego wilgocią, zapadłego budynku mającego kilkanaście metrów przed nami. Pomarańczowe słońce nieśmiało muskało szczyty gór na horyzoncie. – Do dwutysięcznego bodaj drugiego nikt tu nie zaginął. Żaden turysta. Nikt. Czasem zabłądzili i tyle.

- Ginęły owce... - oddychał ciężko, ale miarowo. Widocznie był to tylko chwilowy skurcz.

- I dzikie zwierzaki – dodałem pośpiesznie. – Wszyscy zakładali, że kłusownicy. Myślę, że Waldek był jednym z pierwszych w poszerzonym menu.

Romek skrzywił się jeszcze bardziej, łączywie zasysając powietrze. Pokręcił tylko głową i się wyprostował. Przez chwilę oddychał ciężko.

- Przemysłników też nam jakby ubyło.

- Aha – potarłem kłykiem policzek. – Wydaje mi się, że nasz milusiński z dzików i saren przerzucił się na przemysłników. Po drodze trafił Waldka, a teraz miastowych... - zawiesiłem na chwilę głos, uświadamiając sobie, że właśnie wydałem na biedaków wyrok śmierci. – I myślę, że to będzie narastać. Że będzie robił się coraz dzikszy.

Gasienica splunął przez zęby, rzucając cichą kurwą pod nosem.

- Zatem nie traćmy czasu, gringo. Zajebmy skurwiela. Tak jak było trzeba to od razu zrobić a nie udawać, że to był zły sen. Spokój człowieka, który pogodził się z losem spłynął na mnie nagle i rozjaśnił umysł, przepędzając wisielcze myśli. Koniec końców byłem martwy od wielu lat, od czasu, gdy wampir polizał mój kark. Po prostu kupiłem trochę czasu.

Spojrzałem w kierunku budynku, który zbyt często odwiedzałem w sennych koszmarach. Zapadnięty dach osunął się jeszcze niżej, odsłaniając trupie żebra zbutwiałej konstrukcji.

Wybetonowane schody prowadzące na niedysiejszy otwarty taras zamieniły się usypisko gruzu. Rozsadzone pnączami ściany stały na przekór wszelkim prawom budowlanym. W miejscu piętra ziała olbrzymia dziura.

- O piwo, że mieli podpiwniczenie.

- Jak z tego wyjdziemy cało...

W lesie za nami podniósł się dziki wrzask ptaków raptownie podrywających się do lotu. Rozkrakana czarna chmara przetoczyła się nad naszymi głowami wzbijając się wysoko. Łopocząc dziko skrzydłami, zatoczyły krąg nad dachem schroniska i jak na komendę zapikowały ostro w naszym kierunku. Atak był szybki i bezwzględny. Rzuciliśmy się na brzuchy, nakrywając głowy ramionami w pierwotnym, instynktownym odruchu. Mimo to poczułem jak para rozczapierzonych szponów wyrwała mi garść włosów. Ptaszyska ponownie nabierały wysokości, szykując się do kolejnego ataku. Podpierając się wzajemnie skoczyliśmy ile sił przed siebie, pędząc w kierunku budynku, mając nadzieję znaleźć osłonę przy splekanych murach.

Wronie ślepie obserwowały nas bacznie, a ja wiedziałem, że za pośrednictwem tych szklistych oczu patrzy na nas ktoś jeszcze. Ponury byt, gnieźdzący się w piwnicy i czekający, aż słońce ostatecznie skryje się za widnokrzem.

- Słońce zajdzie za najdalej trzydzieści minut – krzyknąłem do Romka, usiłując zagłuszyć nieznośne krakanie rozłoszczonych ptaków. – Musimy...

Nie zdołałem dokończyć, bo stado wron znów zapikowało ostro. Uskoczyłem w bok, wystawiając moje stare gnaty na najwyższą próbę. Szczęśliwie mięśnie także nie zawiodły. Wykorzystując impet skrzydeł machnąłem na oslep siekierą, czując jak w coś trafiam. Sądząc z dzikiego okrzyku Romka i świdrującego pisku on też dopadł kilka ptaszysk. Uderzenie serca później napastnicy ustąpili, ponownie wzbijając się ku wysokościom. Ostrze i trzonek mojej siekiery pokrywała lepka maź i wyrwane pióra. Na ziemi, w krwawym błocku leżało kilkanaście ptaków. Część musiała zabić się uderzając ślepo o mur. Remi dyszał, ocierając zadrapania na twarzy. Dopiero wtedy dotarł do mnie piekący ból rozdartego ramienia oraz policzka.

- Musimy... – charknąłem. – Musimy dostać się do piwnicy. To jedyne miejsce gdzie skurwiel mógł się skryć.

Romek rozejrzał się i szybko ruszył przed siebie, znikając za częściowo zawalonym rogiem budynku. Pobiegłem za nim. Cuchnęło tu zgnilizną oraz odchodami. Gdzieś tam nawet widniały na wpół zbutwiałe resztki srajtaśmy. Dla wielu turystyczna atrakcja to też atrakcyjny wychodek. Splunąłem z odrazą. Remi nic sobie nie robiąc ze smrodu, doskoczył sprężysto do kępy zasuszonych krzaków, dziko je rozrywając.

- Wiedziałem, że tu są! – Krzyknął triumfalnie. – Kiedyś jak byłem tu pierwszy raz, to je widziałem.

- Co to?

- Cholerna brama do piekła! Oślaniaj mi dupę! – Kiwnął głową na nurkujące w naszą stronę ptaki. – Dam głowę, że od środka zablokowane, ale kilka uderzeń powinno dać sobie radę z tym g ó w n e m .

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Smolista chmura rozwrzeszczanych wron uderzyła bezlitośnie tłukąc skrzydłami i drapiąc szponami. Potrzebowały nie więcej jak sekundy, by oddalić się i zrobić szybki nawrót. Ataki stawały się coraz bardziej zaciekle i bezwzględne. Na ziemi podrygiwały niemrawo ptaki z połamanymi skrzydłami. Policzek palił żywym ogniem. Czułem jak rękaw koszuli nieprzyjemnie przemakał i lgnął do ciała w miejscu głębokich skaleczeń. Od ślepego oganiania się siekierą z wolna zaczęły piec r a m i o n a .

Triumfalnemu okrzykowi Romka zawtórował odgłos ustępującego pod naporem drewna. Słyszałem, jak raz za razem rozłupuje drewniane drzwi. Przetrzebione stado wron rzuciło się do ostatecznego, desperackiego ataku. Widziałem wycelowane w nas szpiczaste dzioby. Do tej pory tylko nas nękały, spowalniając ruchy oraz osłabiając. Właściwa szarża dopiero miała nastąpić. Zerknąłem przez ramię. Romek sprawnie i szybko wyłamywał deski, ale żadną miarą nie zdążyłby utorować nam zejścia na czas. Sam nie wiem, czy wiedziony instynktem, czy bardziej desperacją, wcisnąłem siekierę za pasek i wyciągnąłem z kieszeni Biblię. Nabrałem irracjonalnego przeświadczenia, że to jedyny sposób by je przegonić. Te cholerne ptaszyska nie chciały nas nastraszyć. Inspirowane przez jakąś ponurą siłę chciały zabić. Tak po prostu zakłuć, zadziobać, rozłupać czaszki. Wystawiłem świętą księgę przed siebie niczym tarczę i zacisnąłem oczy, modląc się o pomoc.

Poczułem tylko nieprzyjemny podmuch powietrza od bijących dziko skrzydeł. Gdy roztrzęsiony otworzyłem oczy, ujrzałem chmarę kraczących ptaków, chaotycznie rozpierchającą się we wszystkich możliwych kierunkach.

- Niezła sztuczka – usłyszałem zza placów. – Nie mogłeś wcześniej ich wystraszyć tą cegłówką? Dawaj – klepnął mnie w ramię. – Idziemy, bo jak sądzisz, że sam wleżę do tej pieczary to masz, mój drogi, pecha.

Blady snop światła tchnął nienaturalne, gorączkowe życie w mrok, zmuszając wszelkiej maści robactwo do czmychnięcia w cień. Pokonaliśmy kilka skruszonych betonowych stopni i stanęliśmy na brudnym klepisku, dociskając rękawy do nosów. Cuchnęło okropnie.

Na samo wspomnienie, pomimo upływu lat wzdrygam się. Chciałbym powiedzieć, że śmierdziało zatęchłą kanalizacją. Nic z tych rzeczy. Cuchnęło rozkładem. Duszne, suche powietrze przepelniał odór gnijących owoców oraz pleśni. Starej, zgniłozielonej pleśni, oblepiającej śliskim kożuchem każdą powierzchnię. Drgające światło latarek raz za razem spomiędzy połamanych sprzętów i półek wydobywało żółtkłe gnaty i resztki zwierząt. Wszędzie pełno było skołtunionej, posklejanej brudem owczej wełny. Resztki rozkładających się kłaków drgały nerwowo od toczącego je robactwa. Wśród na wpół zasuszonych trupów zwierząt dostrzegłem ludzką czaszkę. Papierowa skóra w kilku miejscach była rozerwana, ułatwiając karaluchom swobodną wędrówkę w poszukiwaniu resztek pożywienia.

Trafiliśmy do grobowca.

- Matko przenajświętsza – jęknął Romek, całkowicie tracąc rezon. – To chyba one...

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Pod ścianą rzucona niczym worek, leżała dziewczynka. A przynajmniej to, co z niej zostało. Mały trupek przypominał bardziej zasuszoną śliwkę pozbawioną wszelkich soków niż ludzkie dziecko. Leżała w nienaturalnej pozycji, wbijając martwe oczy w brudny sufit piwnicy.

Przeniosłem wzrok na bok i poczułem, jak kwaśna zawartość żołądka wypełnia mój przelyk a ja na chwilę tracę kontakt z rzeczywistością. Kiedy ciemne plamy przestały tańcować, klęczałem pozbywając się śniadania na cuchnące barachło będące kiedyś chyba dzikiem albo dorodną świnią.

Kobieta była pół naga, rozebrana od pasa w dół, ze spodniami ściągniętymi do kolan. Leżała na brzuchu z bladymi pośladkami wystawionymi ku czyjejs uciezce. W jednym, oblepionym resztkami zaschniętej krwi, ziała bura dziura po wyrwanym kawałku mięsa. Na poszarpanych spodniach, ciemniły się plamy nieregularnymi zaciekami odcinając się od jasnego džinsu. Miałem nieprzyjemne uczucie, że to nie tylko krew. Zgroza ścisnęła mi gardło, wyduszając resztki zawartości żołądka.

Romek rozglądał się nerwowo, omiatając pomieszczenie światłem latarki. Trupy zwierząt, trupy ludzi, ale nigdzie ich kata i stręczyciela.

- Kurwa...

Nagły, histeryczny chichot, pożarł wszelkie dźwięki. Poderwałem się z kolan jak młodzik, zaciskając palce na Biblii. Remi skierował światło w róg, z którego dobiegał odgłos zgrzytania zębów. Z cienia wyłoniła się smukła sylwetka. Wampir patrzył na nas błyszczącymi czerwienią ślepiami, wciągając w martwe nozdrza zatęchłe powietrze piwnicy. Węszył, szukając tropu.

- Dawno żeśmy się nie widzieli, a? – Zacharczał zdartymi strunami głosowymi, odwykłymi od wydawania ludzkich dźwięków. – Widziałem ja was jak do mnie wracacie – zaskrzeczał ekstatycznie, wychwytyjąc ostry zapach mojego potu. Sam czułem, jak śmierdzieć strachem. – To ty chłopcze, prawda? Wyczuwam twój smród, nie jesteś już tak świeży, jak w tedy – zastukał łapczywie ostrymi niczym szpile zębami. – Ale nadal pewnie apetyczny.

Tak jak twój przyjaciel... Pójdź do mnie, mój chłopcze, w głęboki las! Ach, strzeż się, bo wołam już ostatni raz! – Zarechotał, co bardziej przypominało bulgotanie szamba w zatkanej kanalizacji. Grobowy odór trupa wdarł się moje nozdrza, paraliżując całe ciało. Ciemność otaczająca sylwetkę upiora drgała przy najdrobniejszym ruchu powietrza. Z bliska przypominała cienką błonę.

- Czekałem na was – wymlaskał, zionąc w naszą stronę smrodem trawionej krwi. – Już wąpiłem. Człowiecze życie jest jak pora roku. Przychodzi i odchodzi. Bałem się, że mi zgniliście już w jakim grobie.

Romek odepchnął mnie, szybkim ruchem zamachnął się na odlew siekierą, celując w wyleniały czerep. Koszmar, z którym przyszło nam mierzyć się w tej zapomnianej przez Boga i ludzi piwnicy w niczym nie przypominał zwiewnych, przystojnych chłopców rozkochujących

w swym martwym sercu wrażliwe dziewczęta. Nie. To było zwierzę w trupim garniturze z człowieka. Wściekle, drapieżne i inteligentne zwierze, pragnące świeżego mięsa.

Ledwie wychwyciłem ruch cieni rozedrganych cieni otaczających upiora. Remi upadł, ścięty z nóg błyskawicznym uderzeniem. Wpadł w stos zbutwiałych dech i tylko po przeraźliwym krzyku wiedziałem, że żyje. Sam nie byłem w stanie się ruszać, zapatrzony w hipnotyczne ślepiej potwornej istoty, szczerzącej się do mnie.

- Pójdź chłopcze w las, w ten głuchy las! Wesoło będzie płynąć czas. Przedziwne czary roztoczę w krąg – zachichotał mi do ucha. Słyszałem jego ponury głos, dobywający się z martwej klatki piersiowej niczym z pudła rezonansowego. Głos nieumarłego. – No, chłopcze... – Poczulem koniuszki kłów, muskające mój odsłonięty kark. Całkowicie stracił zainteresowanie powalonym Romkiem. – Nie podoba ci się wiersz? Nie lubisz Goethego? – Zastukał jadownicę kłami. Na moich ramionach, w upiornej karykaturze protekcyjnego gestu spoczęły zimne szponiaste dłonie. Smród wilgotnej ziemi doprowadzał mnie do obłędu. Po policzkach płynęły mi łzy. – Boisz się mnie? Nie lękaj. Wikiel nie zrobi ci krzywdy – wycharczał, zaciskając łapy na moim obojczyku. – Nie, nie. Nie jesteś jak Otto. Nie będę cię karał, za to, co mi się stało... Zawył boleśnie, niczym świnia w rzeźni, której nieumiejętnie puszczano krew. Poleciałem do przodu, z trudem zachowując równowagę. Kątem oka dostrzegłem Romka trzymającego drzewiec siekiery. Ostrze było zatopione w barku upiora. Wampir kłapnął wściekle kłami i raptownie doskoczył do Remiego, oplatając go swoimi ramionami. Widziałem jak wbija siny pazur w bezwładne ramię mojego przyjaciela. Nigdy nie słyszałem, by mężczyzna tak krzyczał. Upiór zachichotał złośliwie, sycąc się bólem ofiary. Młasnął przeciągle, wbijając czerwone ślepska w rozdygotanego Gąsienicę. - Lubię, gdy walczyacie – zassał oblesnie ślinę, przekrzywiając łeb jak zwierzę czające się na zdobycz. – Strach i adrenalina poprawiają ta'am – ostatnie słowo wycharczał z młsańnięciem, zupełnie jakby przypominał sobie wyjątkowość smaku człowieka.

Wiedziałem, że mam tylko jedną szansę. Jakiś głos wewnątrz głowy zebrał wszystkie myśli w zwarty strumień świadomości, przywracając przytomność osądu. Potem – syczał głos Racjonalnego Tomka, który objął dowodzenie – potem będziesz panikować, skomleć i krzyczeć.

I, na boga, zrobiłem, co mogłem.

Wyszarpnął zza paska i cisnąłem siekierą, modląc się, by kute żelazo nie ustępowało w działaniu srebrnym kulom. Stwór zawył w chwili, gdy ostrze wgrzyło się w trupie cielsko. Widmowe skrzydła porażone nagłym uderzeniem bólu rozpostarły się jak u ptaka. Nie czekałem; wiedziałem, że drugiego podejścia nie będzie. Ignorując ból ramienia ściskając oburącz Biblię i rzuciłem się na rozkojarzonego wampira. Thukłem zapamiętale, zupełnie, jakbym zamiast oprawionej w skórę książki trzymał średniowieczny buzdygan. Czarna jucha i drażniący krtań swąd spalenizny był nie do zniesienia.

Niespodziewanie szponiasta łapa złapała mnie za gardło, odbierając oddech i ciskając jak gałgan. Kątem oka dostrzegłem Romka, ale chwilę później straciłem go z oczu, pochłoniętego przez widmowe cienie.

Drapałem ziemię w rozpaczliwej próbie ucieczki. Ziemisty odór wilgoci i rozkładu otaczał mnie z każdej strony. Rozżarzone, wściekle oczy żywego trupa wpatrywały się we mnie triumfalnie. Z rozdziawionej żarłocznie gęby sterczały ociekające burą śliną kły. Nie wiem, jakim cudem wymacałem ułamany kawałek jakiegoś zydlia. Lubię myśleć, że był to przypadek. Wbiłem go w jeden z tych błyszczących piekielnym ogniem ślepi i przekręciłem. Czarna, cuchnąca breja zalała mi twarz. Trupie pazury, drąc skórę na piersi, omal nie wyszarpały kawałka ciała. Szczęśliwie, w mojej krwi buzowała adrenalina. Dźwignąłem się na kolana i, niewiele myśląc, rzuciłem się na wampira, łapiąc go w pasie. Smród śmierci wycisnął ze mnie resztki śniadania. Wepchnąłem potwora na ostatni kleks nikałych promieni słonecznych. Zawył boleśnie, uginając się pod gasnącym blaskiem dnia. To był ten moment, nasza jedyna szansa. Wyrwałem wściekle ułamany kawał drewna z oczodołu wampira i z dziką furią wepchnąłem mu go w pierś, odpychając od siebie dygoczące, martwe ciało, niczym szmacianą lalkę. Padł tuż obok pokruszonych schodów. Wikiel szamotał się, bryzgając czarną posoką, drapiąc klepisko. Zdychał w powolnej, bolesnej agonii. Padłem na kolana dysząc ciężko i czując, jak serce z wolna odmawia mi posłuszeństwa. Odwróciłem się na plecy. Nie wiem, jak długo tak leżałem pośród kości i padliny. Z odrętwienia wyrwał mnie dopiero głos Romka.

- W tym towarzystwie to ja jestem sercowy – uśmiechnął się blade. Przetrażone ramię wisiało niemrawo przy jego lewym boku.

- Wstawaj, stary pierniku.

- Jezu – mruknąłem, zbierając się z brudnego klepiska i strząsając robactwo, które z wolna mnie oblaźło. – Straciłem chyba przytomność.

- Może na minutę albo dwie – wzruszył ramionami. – Nie dłużej. Chwilę po tym, jak wyłożyłeś się plackiem, ja wygrzebałem się spod tej sterty pleśni i pajaków. Widać jesteś za stary na takie atrakcje. Z pogromcy wampirów masz tylko obwisłe cycki starej Buffy – zakaszłał suchym, chorobliwym śmiechem. Rozejrzałem się po zdewastowanej piwnicy, czując jak krew odchodzi mi z twarzy. Z piersi wydarł mi się cichy jęk przerażenia.

- Gdzie on jest?

Romek spojrział na zalane smolistą posoką schody i wzruszył ramionami.

- Widziałem jak na czterech wyczołguje się po schodach – splunął, krzywiąc się z bólu. – Wybacz, ale nie byłem w stanie za nim gnać.

- Jezu, co teraz?

- Nic. Dziękuj Bogu, że żyjemy. Mieliśmy cholerne szczęście, że nie skończyliśmy jak ten tam, w rogu. Spojrzałem w kierunku, w którym padał snop światła latarki. W najciemniejszym kącie klepisko było nienagannie oczyszczone ze wszelkich śmieci. Robactwo także zdawało się trzymać od tego miejsca z daleka, szanując granicę między światem żywych a umarłych. Pchany chorobliwą ciekawością zbliżyłem się do miejsca, z którego kilka minut temu wychynął Wikiel.

Obok prostego drewnianego pudła wypełnionego cuchnącą ziemią siedział obwiązany łańcuchami mężczyzna. Nie trzeba było być znawcą by wiedzieć, że był martwy od dawna, a przynajmniej takim się zdawał.

Nagłe ukłucie świadomości wzbudziło nieprzyjemne mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

- Więc to jest Otto – mruknąłem pod nosem przyglądając się trupowi pod ścianą.

Sucha, przezroczysta skóra opinała zapadnięte ciało. Spod na wpół zbutwiałego czarnego munduru, na którym uchowały się resztki

dystynkcji SS, wyzierały setki ran i nacięć. Przyjrzałem się solidnym, zardzewiałym pętom i szpikulcowi tkwiącemu na wysokości pępka Otta. Przypomniały mi się wszystkie legendy, jakie czytałem. Zadrzałem. Zerknąłem na wyszczerzoną w martwym uśmiechu gębę Niemca. Pośród równo spiłowanych zębów, niejako z drugiego rzędu wyrastały dwa, długie na pół kciuka, kły.

- Jezu...

Cofnąłem się, zdjęty przerażeniem. Odszukałem Biblię, wykonałem szybki znak krzyża i razem z Romkiem wybiegliśmy po śliskich od posoki schodach prosto w atramentową ciemność lasu.

To działo się kilka dobrych lat temu. Przybyło mi wiosen, a już wtedy nie byłem młodzieniaszkiem.

Co do tamtego dnia, wygaliśmy się z siniaków i rany Romka gładkim kłamstwem o pechu i zdradliwości zbutwiałych klap. Morderca rodziny turystów nie został nigdy znaleziony. Podobnie jak ciało ojca, no nie licząc zidentyfikowanego ze sporym prawdopodobieństwem strzępu jego ramienia. Organa ścigania starym zwyczajem wszystko zrzuciły na bandytów, którzy, po przypadkowym odkryciu ich dziupli, w panice zabili świadków.

Wszystko wróciło do normy. Sprawa zamknięta, a stare baby dostały nowy temat do plotek i straszenia smarkaczy.

Tylko czasem w zimne noce, gdy reumatyzm artretyzm nie daje mi spać, a księżyc świeci wyjątkowo jasno, oglądam srebrny łańcuszek z wiatraczkiem, który należał do małej dziewczynki, pożartej przez istotę będącą zaprzeczeniem praw boskich. Nie zdołałem jej uratować. Nigdy się nie dowiem, czy miałem szansę. Nie pokonałem potwora, który wyssał duszę niewinnego dziecka. Tak naprawdę nie zrobiłem nic. Stary głupiec, który myślał, że jest jakimś van Helsingiem. Może gdyby to była książka lub durny film, to by się udało. Niestety. W prawdziwym życiu dobrzy ludzie umierają, a skurwiele nie.

W samotne noce, kiedy siedzę nad kubkiem parującej kawy, zastanawiam się, jakim cudem trafiłem na tę ułamaną nogę od stołka. Myślę o ponurym trupie Niemca z czaszką obciążoną pergaminową skórą i tych wszystkich latach tortur i udręki, jakich zaznał. O palącej woli zemsty toczącej zwłoki uwięzione łańcuchami i srebrnym szpikulcem.

Bo aż za dobrze wiem, że jaźń, resztką człowieczeństwa może pozostać w martwym ciele. Pytanie, czy wampira można zakatować, definitywnie zgładzić, nie daje mi spokoju. Czasem się zastanawiam, patrząc w ciemność za oknem, gdzie podział się Otto, bo policja w tej przekłętej piwnicy znalazła tylko dwa ciała. Trupa w mundurze SS trudno przeoczyć.

Lubię udawać, że ułamany drzewiec znalazłem przypadkiem, szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Wiem jednak, że tak nie było. Nie oszukujmy się. Cuda nie zdarzają się nikomu z wyjątkiem tych szczęśliwych czubków, którzy widzą je wszędzie.

Każdej nocy, patrząc się nieruchomo w sufit czekam aż zapieje kogut. Czasem słyszę jak wiatr niesie ze sobą proste, skrzypliwe melodie, w których pomiędzy nutami zakłęte są diabelskie szeptu nieumarłych.

Jeśli kiedyś traficie w te okolice, koniecznie wpadnijcie do Biesiadnej Chałupy. Serwuję naprawdę najlepsze obiady w okolicy. A potem ruszajcie w trasę, by podziwiać okolicę. Nie zbaczajcie tylko ze szlaku. I, na Boga, nie pozwólcie, by zmrok zastał was w górach, bo ludzie czasem wtedy błądzą.

Nie zawsze udaje się wszystkich odnaleźć.





Bartosz Słowiński

Bartosz Słowiński, ur. 1 kwietnia 1988 r. W Grudziądzu. Absolwent historii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Miłośnik literatury grozy i dobrego piwa. Zagorzały fan klubu żużlowego GKM - u Grudziądz. Ponadto tata małego Jędrzeja i właściciel przezabawnej kotki Czarnuli. Ulubieni pisarze to: Łukasz Orbitowski, Jakub Małecki, Stefan Darda, Andrzej Sapkowski i M. R. James.





Bartosz Słowiński
HISTORIA EDWINA

Historię, którą zamierzam wam tutaj przytoczyć, usłyszałem od mojego przyjaciela z czasów studiów. Z Edwinem poznaliśmy się w Eton College i polubiliśmy się od razu. Po zakończeniu edukacji niestety nasze drogi się rozeszły i każdy poszedł swoją ścieżką. Jednak dane nam było spotkać się ponownie i wpadliśmy na siebie w małej kawiarence przy Satton St. w Londynie. Wraciał właśnie z domu aukcyjnego Christie's, gdzie udało mu się nabyć kilka ciekawych, jak twierdził, pozycji literackich. Edwin był wielkim miłośnikiem literatury jeszcze za czasów nauki w Eton. Nie przepuszczał okazji, by móc nabyć coś ciekawego. Pamiętam, jak niejednokrotnie trwonił pieniądze od ojca na różnego rodzaju książki. Nie będę wchodził w szczegóły tego, o czym rozmawialiśmy, wspominaliśmy stare czasy i dopytywaliśmy się nawzajem, co się teraz dzieje w naszym życiu. Dopiero, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi i na ulicy zaczęły żarzyć się pierwsze latarnie, nasza rozmowa weszła w fazę opowieści, którą chcę wam tutaj przedstawić. Kiedy Edwin relacjonował mi swoją przygodę, wizualnie postarzał się o co najmniej dziesięć lat. Staralem się zapamiętać jak najwięcej, ale z upływem czasu pewne szczegóły uleciały mi z pamięci. Proszę mi wybaczyć, jeśli dostrzeżecie jakieś nieścisłości. Mimo to uważam, że najbardziej istotne elementy tej historii pamiętam wciąż doskonale, dzięki czemu historia jest kompletna.

Był początek września, kiedy Edwin przybył pociągiem do Bacton w hrabstwie Suffolk. W powietrzu można było wyczuć nadchodzącą zmianę pogody, zwiastującą nadejście jesieni. Mojego przyjaciela przyciągnął w te strony coroczny kiermasz książek, nie zaś schyłek lata.

Edwin po kilkugodzinnym pobycie na targu zdecydował się na kilkutomowy diariusz, opisujący historię hrabstwa na przełomie XVIII i XIX wieku, twórczości autora, którego nazwiska nie przytoczę. Całość nabył za niewysoką cenę zaledwie sześciu funtów. Zadowolony ze swojego zakupu i z przekonaniem o wyjątkowym szczęściu postanowił nie trudzić się już tego dnia powrotem do domu i zdecydował poszukać sobie jakiegoś pensjonatu lub hotelu, w którym mógłby spędzić nawet kilka dni. Pomysł pozostania na dłużej w Suffolk wydał mu się zachęcający i gdyby nie to, iż znam dalszy ciąg tej historii mógłbym uznać, że po raz kolejny los mu sprzyjał. Od pewnej osoby na kiermaszu dowiedział się, że w położonym nieopodal Finningham pewna wdowa jest skłonna wynająć pokój za przyzwoitą cenę. Po zaopatrzeniu się w cenne wskazówki dotyczące trasy, czym prędzej udał się do wdowy. Finningham było na tyle niedaleko, że postanowił wykorzystać ostatnie tchnienie lata i się przespacerować.

Po godzinnej przechadzce trafił pod wskazane miejsce. Dom był piętrowy, zbudowany z czerwonej cegły; wysokie okna dodawały mu szyku i elegancji, a wejście stanowiły solidne dębowe drzwi przyozdobione kołatką z lwią głową. Całość budziła w przechodniu szacunek dla mieszkańca owej posiadłości. Ale nie wygląd budynku, a piękny wiekowy cis przykuł uwagę Edwina.

Drzewo wyglądało na stare. Trwając przed budynkiem zaznaczało swoje pierwszeństwo, czyli fakt, że to one było tu wcześniej i to jemu należy się przodowanie.

Edwin poruszał kołatką i w progu przywitała go starsza pani. Nazywała się Palmer. Edwin wspomniał, że jej akcent wskazywał, na pochodzenie z północy i nie mylił się. Z rozmowy z wdową wynikało, że urodziła się i mieszkała w Cumberland, a w te rejony sprowadziła się, gdy poznała swojego męża. Pan Palmer był człowiekiem biznesu i jego hobby były podróże. Zmarł na trąd, którym zaraził się na jednej ze swoich licznych wypraw do Afryki. Po śmierci męża pani Palmer próbowała sama zająć się biznesami męża, jednak nie miała do tych spraw głowy i szybko zrezygnowała. Oszczędności za wiele nie mieli, zatem sama musiała znaleźć źródło dochodów.

Jednym z nich był wynajem pokoju w ich ogromnym domu.

Po uzgodnieniu ceny Edwin zdecydował się na pokój na piętrze, aby móc podziwiać przez okno piękne drzewo. Właścicielka zgodziła się i poprosiła go, by nie zapomniiał na noc zamknąć drzwi od pokoju na klucz. Każdemu wydałoby się to dziwne, ale Edwin zdawał się tego nie zauważać. Poinstruowała go, że śniadanie będzie musiał zrobić sobie sam z produktów znajdujących się w kuchni, gdyż od niedawna wdowa pomagała w pobliskiej parafii, przez co do późnego popołudnia nie będzie jej w domu. Obiad i kolacja należały już do jego obowiązków.

Po zakończeniu rozmowy Edwin udał się na górę, aby móc rozgościć się w swoim pokoju. Pomieszczenie było niewielkie, acz przytulne. Nie pamiętam szczegółów wystroju, ale zapamiętałem, że nad łóżkiem wisiała pewna afrykańska maska, niewątpliwie jedna z pamiątek wypraw pana Palmera. Drugą rzeczą, jaką zapamiętałem, to okno, które wychodziło na południe. Nie wpadało przez nie zbyt wiele światła z powodu cisu rosnącego na zewnątrz.

Edwin zrezygnował z kolacji. Udał się jeszcze na parter, aby poprosić panią Palmer o coś mocniejszego, a ta uraczyła go lampką porto. Zaspokoiwszy pragnienie udał się z powrotem na górę. Rozkoszował się ciszą, widokiem drzewa zza okna i zagłębiał się w świeżo nabyty diariusz.

Noc nadeszła szybko. Lekturę musiał zakończyć przed czasem, gdyż pokój nie był wyposażony w źródło światła. Pomyślał, aby poprosić właścicielkę domu o świecę, jednak szybko zrezygnował z tego pomysłu, nie chcąc narzucać się gospodyni. Uznał, że przygotowuje się do snu.

Edwin skorzystał z łazienki, która znajdowała się na jego piętrze. Ciemność panująca w toalecie przeszkadzała, ale poradził sobie z dyskomfortem. Kolejno przygotował sobie posłanie i, zadowolony z siebie, udał się na spoczynek. Przed snem przypomniał sobie prośbę wdowy o zamknięciu drzwi na noc. Teraz prośba wydała mu się trochę dziwna, ale przekręcił klucz znajdujący się w zamku. Patrząc przed zaśnięciem w sufit cieszył się w duszy z udanego wyjazdu. Liczył, że pobyt w Suffolk będzie trwał jeszcze jakiś czas. Nie wiedział jeszcze, że o pobycie w hrabstwie będzie starał się jak najszybciej zapomnieć.

Obudziło go szuranie dobiegające z korytarza. Chwycił za zegarek leżący na komodzie przy łóżku, jednak brak światła udaremnił mu odczytanie godziny. Całą sytuację utrudniał cis za oknem, który nie przepuszczał księżycowej łuny w głąb pomieszczenia. Zrezygnował z dalszych prób odczytania godziny i odłożył zegarek na komodę. Znów to usłyszał. Dźwięk przypominający szuranie ciężkiego przedmiotu po podłodze. Dom był stary, mogły w nim skrzypieć podłogi, ale Edwin zdawał sobie sprawę, że to nie budynek trzeszczy w posadach. Odgłos zbliżał się do drzwi jego pokoju. Edwin dziękował Bogu, że nie zignorował prośby pani Palmer i zamknął drzwi. Ktoś albo coś, co wydawało ten dźwięk, zatrzymało się pod drzwiami. Zaciśnął pięści aż do bólu. Czekał. Wreszcie nie wytrzymał i wstał z łóżka. Powoli podszedł do drzwi. Niczego nie usłyszał, więc zdecydował się przyłożyć głowę do wejścia, by lepiej złowić uchem, co się za nimi dzieje. To, co dotarło do niego sprawiło, że poczuł włosy jeżące się na karku. Edwin wyraźnie słyszał jak za drzwiami ktoś oddycha. Był pewny, że ten ktoś robi teraz to samo, co on – stoi i rejestruje, co dzieje się po drugiej stronie. Mój przyjaciel nie wie, jak długo tak stał, może chwilę, może kilka godzin. Wreszcie nocny gość zaczął oddalać się od drzwi, towarzyszyło mu upiorne szuranie, które dotarło do uszu Edwina po przebudzeniu. On sam stał tak jeszcze chwilę, aż zdecydował o powrocie do łóżka. Zasnął dopiero, kiedy cis zaczął przepuszczać pierwsze promienie wschodzącego słońca. Obudził się około południa. Szybko się ubrał, zasłał łóżko i zszedł na dół. Po drodze rozglądał się wokoło, szukając śladów po nocnym gościu. Niczego nie dostrzegł.

W kuchni na blacie znalazł kromkę chleba, masło, ser i trochę wędlin pozostawionych przez właścicielkę, tak jak się wcześniej umawiali. Zrobił sobie śniadanie i postanowił rozejrzeć się po domu. Zaczął od parteru. Meble, dywany, obrazy, zdjęcia i, jak uznał Edwin, pamiątki po zmarłym mężu i figurki jakichś bożków, być może afrykańskich. Było w nich coś odpychającego, aż nie chciało się na nie patrzeć. Gdzieś tam można było zauważyć porozstawiane świece. „To dobrze”, pomyślał, na pewno pani Palmer mu którąś użyje. Na piętrze nie znalazł niczego, co mogłoby przykuć jego uwagę na dłużej. Poza jego pokojem znajdowało się tam jeszcze jedno, zamknięte pomieszczenie. Wszedł do swojego pokoju i podszedł do okna. Podziwiał przez chwilę cis. Przez gałęzie prześwitywały

promienie słońca, co zachęciło Edwina do opuszczenia domu i rozejrzenia się po okolicy.

Finningham było niewielkim miasteczkiem. Skromne kamieniczki kontrastowały z niewielkimi, drewnianymi domkami. W centrum miasta znajdował się gotycki kościół, w którym prawdopodobnie przebywała teraz pani Palmer. Cała miejscowość była od południowo – wschodniej części otoczona lasem. Czyste powietrze i spokój, jaki wokoło panował sprawił, że Edwin nabrał apetytu. Ponadto zbliżała się pora obiadowa. W związku z tym skierował swoje kroki do karczmy, którą zauważył w dniu przybycia do Finningham. W karczmie nie było wielu gości. Jedna para siedziała przy oknie, zaś przy barze siedział samotny mężczyzna.

Edwin usiadł w głębi gospody. Po chwili podszedł do niego karczmarz i przyjął zamówienie.

Edwin rozmyślał o nocnej przygodzie i doszedł do wniosku, że porozmawia o tym z panią Palmer. Któż inny niż właścicielka domu wytłumaczy, co miało miejsce w nocy? Edwin brał pod uwagę możliwość, że to sama wdowa przyszła pod jego pokój. Będzie musiał z nią porozmawiać.

Szybko skończył posiłek, rozliczył się z karczmarzem i wyruszył w drogę powrotną.

Panią Palmer zastał w kuchni podczas przygotowywania podwieczorku. Edwin szybko przeszedł do pytań i ku jego zdziwieniu gospodyni potwierdziła hipotezę o tym, iż to ona przechadzała się nocą po domu. Edwin nie mógł wyzbyć się przekonania, że wdowa kłamie. Jednak nie drążył tematu. Poinformował ją jeszcze tylko o tym, że po południu będzie już wracał do siebie i zapłacił za kolejny dzień pobytu. Poprosił także o świecę i zapałki.

Nie mając nic lepszego do roboty udał się do swojego pokoju, gdzie planował przed zmrokiem przeczytać diariusz.

Kiedy zaczął zapadać zmrok postanowił przygotować się do kolejnej nocy. Po wieczornej toalecie położył się do łóżka i szybko zapadł w sen.

Śniło mu się, że kluczy po domu Pani Palmer i próbuje ją znaleźć. W końcu znajduje ją w salonie, jak krąży wokół pokoju i mówi sama do siebie. Edwin nie mógł usłyszeć słów wydobywających się z jej ust, ale odniósł wrażenie, że wdowa mówi w niezrozumiałym dla niego języku, którym posługiwać się mogła jakaś pierwotna cywilizacja. Wyczuwał w jej słowach coś groźnego.

Kiedy tak się jej przyglądał, do jego uszu dobiegł dźwięk koszmarnego szurania.

Edwin zbudził się. Przez chwilę wydawało mu się, że jeszcze śni, ale szuranie dobiegające z korytarza uświadomiło mu, że to rzeczywistość. Podniósł się i zapalił zostawioną przy łóżku świecę. Stał i czekał. Dźwięk powoli zbliżał się do jego drzwi. Edwin rozpoznał przyczynę szurania po podłodze. Osobnik, który był za drzwiami, przemierzał korytarz na kolonach. Myśl o tym wzbudziła u Edwina strach. „Kim jest człowiek przemierzający noc niczym upiorny pielgrzym?“, zastanawiał się.

Nagle klamka u drzwi do jego pokoju zaczęła się poruszać. Ewidentnie ktoś próbował wejść do środka, ale wejście było zamknięte na klucz. Po chwili rozległo się drapanie o drzwi, a towarzyszyły temu ciche jęki.

Edwin czuł rosnące w nim napięcie. Strach ogarniał jego ciało, ale już postanowił, że stawia przybyszowi czoła. Przełamał strach i zbliżył się powoli do drzwi. Przez ułamek sekundy wahał się jeszcze, jednak wziął się w garść i otworzył drzwi. Gdyby wiedział, co za nimi ujrzy, nie otworzyłby ich. Edwin uchylił niepewnie drzwi, czuł jak drżą mu ręce, słyszał bicie własnego serca, wreszcie pociągnął za klamkę. Cała odwaga opuściła go w jednej chwili. To Pani Palmer klęczała w drzwiach, ale to nie była ona!. Przypominała najmroczniejszą zjawę. Potargane włosy, podarte ubranie, trupiobladą twarz. Najstraszniejsze były nienaturalnie powiększone oczy z niewidocznymi źrenicami. Pani Palmer ruszyła w jego kierunku szurając kolanami po podłodze.

Edwin zauważył jeszcze wyciągniętą ku niemu rękę nim zasłabł i upadł na podłogę, tracąc przytomność.

Zbudziło go pukanie. Szybko się podniósł. W pokoju nie było nikogo oprócz niego. Szeroko otwarte drzwi stanowiły jedyny dowód na to, że wydarzenia, które miały miejsce ubiegłej nocy, nie były snem. Choć miał nadzieję, że nim były.

Od razu zlokalizował źródło pukania. Cis uderzał gałęziami w okno; na zewnątrz musiało być wietrznie. Sięgnął po zegarek; miał jeszcze trochę czasu, by zdążyć na pociąg.

Edwin nie zastanawiał się długo, błyskawicznie zabrał swoje rzeczy i zszedł na dół. Będąc na parterze spodziewał się spotkać panią Palmer, która może wyjaśniłaby mu, coż to się w nocy wydarzyło. Dom był jednak pusty. „Może to nawet lepiej”, pomyślał. Czym prędzej opuścił dom i udał się na stację kolejową w Bacton.

Podobno jestem pierwszą osobą, której Edwin zwierzył się ze swojej przygody w Fenningham. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale nie wydaje mi się, by próbował mnie okłamać. W końcu, jaki mógłby mieć ku temu powód?

Kiedy skończył relacjonować swoją historię, na jego twarzy można było zauważyć wyraz ulgi. Zupełnie jakby wyrzucił z siebie coś, co nosił w sobie przez wiele dni. Rozstaliśmy się, gdy Londyn spowił się nocą, a ulice stawały się opustoszałe. Mój przyjaciel najpewniej nigdy nie dowie się, co tak naprawdę ujrzał, ale nie sadzę, by mu na tym zależało. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć.





Natalia Golik

Natalia Golik - urodzona 26 maja 1989 roku w Szczecinie, wychowywała się w małej miejscowości Połajewo w województwie wielkopolskim. Skończyła liceum im. Janka z Czarnkowa w Czarkowie o profilu humanistycznym. We wrześniu 2013 roku uzyskała tytuł magistra antropologii kulturowej, obecnie jest studentką III roku filologii polskiej, specjalizująca się w zakresie dziennikarstwa oraz pracy wydawniczej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Rozpoczyna właśnie pisanie swojej pracy licencjackiej z zakresu filologii. W kulturze ludowej zafascynowana tym, co dziwne i odbiegające od normy, marzy o pisaniu folkowych horrorów. Kocha deszcz, namiętnie przygarnia bezpańskie zwierzęta, w dzieciństwie chciała zostać prawnikiem i założyć schronisko (drugie marzenie poniekąd zostało spełnione). Jedyne, czego obecnie pragnie, to kartka papieru, ołówek, mżawka i szum morza.





Natalia Golik
NA DRUGIE MI JOLA

Wsiadam do tramwaju. Zajmuję miejsce. Siedzi za mną, czuję jego rybi zapach. Spogląda. Mój warkocz. Patrzy na mój warkocz. Czarny, lśniący warkocz. Taki sam nosiła Jola.

Jola.

Na drugie mam Jola.

Dosiada się: *Jak ci na drugie?* – Nie odpowiadam pytaniem na pytanie. Nie sprzeciwiam się. Nie milczę. Zwyczajnie, odpowiadam: – *Jola. Doskonale...* – stwierdza.

Wysiadam z tramwaju, wychodzi za mną. Dopada mnie przy kamienicy. Zabija. Szybko, choć nie bezboleśnie. Skalpuje warkocz. Taki sam nosiła Jola.

Wrywa go ze strzępkami skóry. Ucieka.

Przytwierdza warkocz do głowy. Martwy kikut włosów zwisa z łysej czaszki, trzymając się kleju. Znam ten klej – supermocny klej, *superglue*. Mocny klej, przywiera do jego głowy.

– *Pasuje idealnie* – kałuża odpowiada odbiciem mężczyzny w lśniącym, czarnym warkoczu. – *Jola! Jola!* – tańczy, krzycząc głośno. – *Joola!* – Wiruje nad zimnym chodnikiem.

Jola, jak ja ciebie nienawidzę! – pluje, próbując wyrwać warkocz z głowy. Czerń nie daje się złapać. Wyrwać, wyrwać z korzeniami warkocz wspomnień czarnych jak Jola!

Leżę.

W podwórzu kamienicy.

Okna, jak widownia amfiteatru, patrzą na truchło. Zimno budynku otula

ciało. Leżę przy śmietniku.

– *Wyrzucałam tu dziś śmieci* – myślę resztami impulsów. Kamieniczna cisza doprowadza do szału pulsujący skalp. Zimno mi w mózg, śmieję się w duchu, nie żyjąc. Mróz przykleja policzek do betonu jak *superglue* przytwierdza warkocz do głowy kamienicznika. Jutro mnie posprząta. Na drugie mi Jola.

Jola Bez Warkocza.

Jola Kochanka Chodnika.

Chłodna Jola, Łysa Jola, Jola - Królowa Śmieci.

Jola, Córka Kamienicznika.





Krzysztof Pakuła

Rocznik 91. Cichy mieszkaniec spokojnego Rzeszowa. Pisanie traktuje jako aktywną formę lenistwa zrodzoną z wielu pasji i zmiennej natury ambitnego prokrastynatora.

Student bez przekonania, poszukiwacz z wyboru, marzyciel od urodzenia. W życiu, jak dotąd, wierny swojemu powiedzeniu: „Jak spadać, to z wysoka, być może raz a dobrze”.

Początkowo zarzekał się, że horror to nie jego bajka, ale... chyba zmienił zdanie.





Krzysztof Pakuła
NIE MOJA BAJKA

– Cukierek albo psikus! – zawołały przystrojone upiorną tandetą dzieciaki.

Tak to jest, jak się nie patrzy w wizjer, westchnąłem w duchu. Przetrzęsnałem w myślach lodówkę i szafki. Znalazłem zimne piwko na czarną godzinę, jakieś drobne na wieczne „pożycz”, pęto kiełbasy z kiedyś na kiedyś tam, zeschnięty chleb, kiszonkę na zagrychę, nawet słone paluszki, ale czekolady – żadnej. Kuźwa, moje dzieciństwo definitywnie przeszło do historii, pozostawiając tylko próchnicę. No, może coś więcej, bo gdy spojrzałem w te pełne nadziei, zasmarkane buźki, te cholerne kocie oczy, nie mogłem małych straszyleń odprawić z niczym. Stało się – nawet, jeśli cała trójka nie postarała się o porządne kostiumy, bo przecież za ten świecący na głowach plastik można by na jarmarku rzygać słodyczą – za późno. Widzę i jestem widziany, błagany wręcz wzrokiem o cokolwiek, co przypominałoby garść cukru w opakowaniu. Może przynajmniej dobrze się bawią; lepszy dentysta za rok niż kac nazajutrz.

Ech, te wesołe buźki...

– Nie mam słodyczy – rzekłem wreszcie, kiedy w pomrukach zastanowienia zacząłem przypominać zombie. Po ostatniej bójce z dresami moja maska prawie się wygoiła. I, w sumie, to ich wizyty w bloku spodziewałbym się bardziej na tym osiedlu. Wpadliby z halloweenowym okrzykiem „portfel albo wpierdol!”, albo coś w ten deseń. Miałem drobne, byłem przygotowany.

Ech, te skrzywione rozczarowaniem bużki...

– Czekajcie no chwilkę, może znajdzie się coś dobrego. Zamknąłem drzwi i poszedłem do kuchni, a tam na stole – nie do wiary – trzy zdrowe i rumiane jabłka. Uratowany! Nie ma to jak wizyta rodziców w dzień przed Wszystkich Świętych. Miło, że wpadli sprawdzić, czy żyję, doceniam niepamiętny gest.

Zgarnąłem owoce i ruszyłem do drzwi. Za nimi, niestety, nikogo już nie zastałem. W ramach niesłusznego psikusa ujrzałem namalowanego czarnym, najpewniej – żeby było śmieszniej – niezmywalnym markerem prostego jak drut kutasa.

– A żeby was cukrzyca... – wymemlałem pod nosem, nie mogąc się zdecydować na niecenzuralne uwieńczenie groźby.

Gniew pchnął mnie schodami w górę – sam kiedyś psociłem, więc wiem, że niemal każda zawzięta ofiara żartu biegnie ślepo ku wyjściu, jakby goniła tchórza, nie figlarza. Prędko, bo na półpiętrze, uświadomiłem sobie trzy fakty: ja tu tylko mieszkam, kutas dobrze odzwierciedla charakter właściciela, a dzieciakom nic nie zrobię. Pozostało wzruszyć ramionami, wgryźć się w jabłko i wyobrazić sobie reakcje chłopaków na następnej imprezce. Może tym razem nie będą się dobijać do pustego mieszkania piętro niżej. „Kutas wskaże wam drogę” – powiem w ramach zaproszenia.

Krzyk! Dziecięcy pisk, przesywający dreszczem do szpiku kości. Odbił się echem, jakby z dołu i wzniosł lotem upiornego ducha, aby zniknąć w murach pięter molochu.

Jabłka spadały, schodek za schodkiem, podskakując co drugi, trzeci, jakby doradzając pośpiech i wskazując drogę ucieczki; nadgryzione przemknęło pod barierką i zleciało w dół, wąskim szybem między schodami. Ruszyłem i sam niemal obtłukłem się na kwaśne jabłko, kiedy nagle zgasło światło.

Skamieniały, nasłuchiwałem w ciemnościach. Nikt, nikogo, nigdzie... Co jest grane? Czyżby każdy stał sobie przy wizjerze i nie miał zamiaru wyściubić nosa z nory? Ludzie, serio?!

Kiedy zacząłem dostrzegać zarys schodów w tę niespotykane bezkسیężycową noc, ostrożnie wróciłem na swoje piętro dzielone z osobą, której nigdy nie spotkałem. Kojarzyłem z widzenia wielu mieszkańców, zdarzało nam się wymieniać zdawkowymi grzecznościami podczas nieuniknionych spotkań na parterze, ale w zasadzie od paru dni nie widywałem już nikogo, trochę to dziwne. Zupełnie jakby każdy gdzieś wyjechał.

Chwyciwszy klamkę, nacisnąłem włącznik; korytarz załało żółte, nieprzyjemne światło. Zwykle, zwłaszcza po ciężkim dniu na polibudzie, mrok wcale mi nie przeszkadza, zaś podczas powrotu z zakrapianych imprezek nie czyni różnicy w zabawie z zamkiem. Tym razem wyjątkowo było mi jakoś nieswojo. Rozejrzałem się jeszcze, zawahałem, po czym wszedłem do środka i zamknąłem na dwa spusty.

Zwykle w mieszkaniu przebywali jeszcze Seba i Damian, moi współlokatorzy, ale na długi weekend postanowili wrócić do siebie. Ja nie chciałem, jako że od czasu śmierci starszej siostry każdy powrót przypominał przechadzkę cmentarną aleją, z cementem nagrobku na barkach. Wcale nie potrzebowałem specjalnych dni, aby doświadczać smutku, tęsknoty; wcale nie potrzebowałem krzepiących słów, aby nie dobijać tymi uczuciami wszystkich wokół. Potrzebowałem jedynie swojej siostry, ale to nie miało już znaczenia. Stałem w przedpokoju i oparłem się o drzwi, szukając oparcia dla duszy w natłoku nieprzyjemnych myśli. Usłyszany krzyk cichł we mnie, zdławiony demonami osamotnienia.

Zegar utykał, będąc na skraju wyczerpania baterii; nie nadażał za biegnącym czasem. Dawniej zegary się nakręcało, naprawiało, a teraz wyrzuca się ich podróbki bądź kupuje baterie. Może dlatego nam się zdaje, że można jakieś nieudane chwile życia wrzucić do kosza niepamięci. Ja ciągle tkwiłem w tym złudzeniu. Wydawało mi się, że dopiero po studiach będę miał szansę zrobić coś ze swoim życiem. To odwieczne i nieznanne „coś”, jak kamień w bucie towarzyszyło mi na każdym kroku, dopóki nie ustawałem w dążeniach.

– I dlatego nie mogę się zatrzymać – słowa utonęły w pustce i potakiwaniach kuśtykającego zegara.

Wszedłem do pokoju, w którym powitał mnie cichy szum czuwającego laptopa. Deszcz wybębniał na parapecie smętną, zmęczoną melodię, której sens stanowić mogłoby życzenie wiecznego snu. Ot, czarny humor jesiennych nocy.

Ponownie uruchomiłem maszynę wirtualną, aby otworzyć z kolei TwinKOTa i poćwiczyć programowanie sterowników PLD. Tak, to długa i nudna historia. Z żalem po raz kolejny stwierdziłem, że program odmawia współpracy i restartuje system. Płakać nie zamierzałem, ale ciągle obstawałem przy tym, że warto byłoby zaliczyć „sterowanie w automatyce” bez komplikacji. Dzięki maszynie wirtualnej prawdopodobnie ocaliłem główny system, co znacząco poprawiło mi humor.

Powiedzmy, że na tyle, aby dać sobie spokój z tym gównem. Dzięki wizycie bachorów zrozumiałem, że zdechnę z głodu, jeśli czegoś nie kupię. Wiadomo, Wszystkich Świętych, dzień wolny od handlu – martwi jeść nie muszą. Ja, niestety, wciąż żyję. Ubrałem się ciepło, wziąłem parasol i wyszedłem. Korytarz zastałem oświetlony, więc, nie marnując czasu, zacząłem ostrożnie zbiegać ze schodów. Ledwie po paru krokach utknąłem w mroku. Jako przyszły automatyk z chęcią skopałbym dupsko temu, kto zlecił zamontowanie włączników ustawionych na tak krótki czas działania. Przez oszczędności ktoś w końcu złamie nogę albo zajeździ windę, do której postanowiłem wsiąść.

Chwila, czy tu zawsze było tak ciemno? Szyba wyglądała na przyciemnioną, ale takich się nie używa, zdawała się być okryta całunem nocnego nieba w czasie nowiu.

Na półpiętrze zatrzymałem się, aby otworzyć okno i wyjrzeć, lecz moją uwagę przykuły rozbłyśki pełzające po błyszczących emulsiach lamperii. Ostrożnie, schodek za schodkiem, brnąłem naprzód, kroczonek za kroczonekiem ulegając podszeptom jeżących włos na łbie wyobrażeń. To jarmarczne światełko wydało mi się znajome. Leżało przed drzwiami pustego mieszkania. Czyżby ktoś się tam wprowadził?

Podniosłem migające rogi diabła. Wstrząsnął mną dreszcz na wspomnienie krzyku. Chciałem zgasić złe przecucia światłem, lecz włącznik nie zadziałał. Ani raz, ani drugi, ani trzeci... ani nawet wduszony do oporu kciukami. Stałem tak przez chwilę z pulsującym w skroniach sercem i szumem kotłującej się w uszach krwi. Świadomość, że naoglądałem się w życiu wielu horrorów dodawała marnej otuchy, zwłaszcza, że oglądałem je w różnych stanach umysłu, co bez wątpienia pomogło im wryć się głębiej w psychikę. Należało jedynie nad tym zapanować. Możliwości były dwie, z tych racjonalnych, rzecz jasna. Albo za nowych sąsiadów mamy ferajnę łobuzów, którym byłbym gotów wybaczyć figla, o ile właściciel okazałby wyrozumiałość, albo, najzwyczajniej w świecie, jedno ze straszdeł zgubiło błyskotkę. Tak, z pewnością tak się właśnie stało! Musiał jeden upaść, stąd cały ten krzyk, albo ktoś ich porządnie nastraszył. Należało im się.

Namacałem przełącznik i wyłączyłem świecidełko. Krótco zastanowiłem się, czy rozwiewać te domysły. Wreszcie zastukałem do drzwi, tak w ramach popukania się w czoło.

Wpatrywałem się w wizjer, aby wychwycić choćby cień czyjejs ciekawości, z której można by wywnioskować obecność. Dzwonek nie działał, wycieraczki nie było – zero znaków życia. Kabina przywiozła z sobą trochę światła. I dobrze, bo padłbym na zawał po usłyszeniu zgrzytu automatycznego rygla. Ze środka, wbrew moim przypuszczeniom, nikt nie wysiadł. Naprawdę nie sędzę, abym przywołał windę, a im dłużej nad tym rozmyślałem, tym bardziej nie miałem ochoty do niej wchodzić.

Przywykłem do ciemności, toteż raz dwa znalazłem się na parterze. Diable rogi zostawiłem tam, gdzie je znalazłem. Nie wiedziałem, co myśleć, więc przestałem rozpamiętywać. Wsłuchałem się w deszcz bębniący o rozłożony parasol i wdychałem świeże, jak na miejskie standardy, powietrze.

Szedłem wzdłuż ponurej bryły bloku, jak ćma podążając za blaskiem sąsiedniego osiedla. Tutejsze latarnie tkwiły pogrążone w mroku – tego się spodziewałem. Nie istnieje nic, czego nie można by sobie jakoś wytłumaczyć, jednakże ile bym nie myślał o awarii prądu, nie potrafiłem się do niej przekonać. W domu wszystko działało, podobnie jak winda. Oświetlenie uliczne nie powinno mieć związku z siecią elektryczną budynków, tak więc chyba doszło po prostu do dwóch niezależnych usterek. Ktoś to kiedyś gdzieś zgłosi, na pewno prędzej niż ja.

Kto mógł, siedział w domu, a jednak w sklepie zastałem kolejki. Tak jest przed każdym dniem ustawowo wolnym od pracy – koniec świata w skali kraju. Przyznam, że to nawet zabawne, iż ludzie tak chętnie pozbywają się pieniędzy, jakby począwszy od następnego dnia pensje miały stracić siłę nabywczą. Z okazji wszelakich świąt kupuje się mnóstwo bzdur, zaś w dni wolne, przeznaczone w założeniach do refleksji, te bzdury stają się nędznym półśrodkiem ucieczki do innego rodzaju wyścigów. Kto ma piękniejszy samochód nabłyszczony z danej okazji lakierem? Kto więcej upchał w koszyku? Ile potraw na stole? I, wreszcie, kto ma okazalsze grobowce? Nie piszę się na tę o b ł u d ę .

Tak, wiem, żaden ze mnie filozof, ale należę do ludzi, którzy muszą rzucić coś na żer myślom, aby pozostać przy zdrowych zmysłach. Nie odczuwam głodu wiedzy ani zbawczych nadziei. Zaledwie tłumię rozpacz, wypatruję strat mniejszych od poniesionych, aby odsunąć problemy na dystans między mną a ludźmi. Głupie, ale chwilami działa. Kiedy ma się pustą lodówkę, treść koszyka staje się listą zakupów.

Ściągnąłem z regałów, co niezbędne, dorzuciłem piwo i odstąpiłem swoje. Kasjerka nie spytała o dowód. Odkąd zostałem jedynakiem, zyskałem w oczach ludzi na powadze. Sekret tkwi w tym, że im bardziej zmęczoną masz twarz i ciemniejszą pustkę w żrenicach, tym bardziej dorośle wyglądasz. Uśmiech zawsze jest podejrzany o fałsz, zaś śmiech o cudzą krzywdę.

Do czego to doszło, że nie miałem ochoty wracać do swoich czterech ścian, by choć skulić się w kącie i zasnąć. Długo siedziałem na oparciu ławki, chłonąc z puszkii zapomnienie. Marne sześć procent to za mało, zaś do stu już niejedyn próbował się zbliżyć, z marnym skutkiem. Takie życie, trzeba zadowolić się tym, co się ma. Trochę w tym czasie zmokłem, ale deszcz w końcu ustał. Miasto nocą wygląda jak skupisko upadłych gwiazd, życzeń na wyciągnięcie ręki, których cała moc skupia się na utrzymaniu poczucia bezpieczeństwa. Nie ma ryzyka, nie ma cudów, a mrok i tak upomni się o swoje. Pomyślałem, że w takie noce, jak ta, chciałbym wierzyć w duchy.

Z zamyślenia wyrwała mnie lewitująca siatka z zakupami... Co?! Zanim skończyłem krztusić się piwem i niepewnie postawiłem nogi na twardej ziemi, reklamówka, która postanowiła wstać z ławki, opadła na chodnik dwa metry dalej. Tak po prostu, ni to dla żartu, ni na serio. Zostawiłem puszkę na ławce i podszedłem bliżej, wietrząc podstęp. Duchy? Nie, skądże. Pewnie, a może raczej na pewno, ktoś robił mi figła z linką, albo wędką. Spojrzałem w niebo, jakby sam Bóg miał mi wywinąć psikus, bo przecież nie miałem nad sobą budynków ani drzew. Podszedłem jeszcze bliżej, bacznie lustrując okolicę, wypatrując haczyka. Byłem pewien, że lada moment podejde, a reklamówka powtórzy swój manewr; widywałem podobne żarty w różnych odmianach: z banknotem, portfelem, torebką, kluczami, a nawet pilotem do telewizora stojącego na ulicy. Nigdy jednak nikt nie pokusił się o zabawę cudzymi rzeczami.

Przykucnąłem i trąciłem zakupy długim parasolem. Nic. Chwyciłem niesforną reklamówkę za uszy i zacząłem się jej przyglądać. Wtem usłyszałem za sobą metaliczny łoskot. Zerwałem się na chwiejne nogi. Kosz, zawieszony obok ławki, kołysał się na boki, pogwizdując z cicha. Bezwiednie cofnąłem się o dwa kroki, po czym spostrzegłem, że puszka zniknęła. Ręczę, że to wystarczająca dawka niewyjaśnionych zjawisk, aby rzucić się do ucieczki i długo nie oglądać za siebie. I nic a nic nie obchodziły mnie reakcje mijanych

ludzi. Mogliby się nawet śmiać, że pędziłem, jakbym zobaczył ducha. Wcale nie musiałem go widzieć.

Zatrzymałem się dopiero przed klatką. Chłód wstrząsał mną do spółki z przerażeniem. Staralem się uspokoić, oddychałem głęboko i miarowo. Zapewne miałem gorączkę, tak, nie inaczej. Jak w inny sposób można wytłumaczyć te majaki? Zziębniętymi rękami zacząłem szukać kluczy. Kiedy wyciągnąłem ich pęk, zauważyłem, że drzwi, jak to nieraz już bywało, nie zaskoczyły; wystarczyło pociągnąć, toteż tak właśnie zrobiłem.

– Co za zwariowany dzień – mruknąłem, wychwalając noc przed świtem.

Kiedy mijalem zejście prowadzące do piwnic odniosłem wrażenie, że słyszę stłumiony hałas. Zaraz potem, przysiągłbym, doszły mnie krzyki. Zbliżyłem ucho do wąskiej szpary między solidnymi drzwiami a framugą. Ociekałem zimnymi kroplami z włosów i każdej przemoczonej nitki ubrań. Otarłem czoło, przymknąłem powieki i wstrzymałem w skupieniu oddech.

– Po...cy! R...unku! – usłyszałem.

Niemożliwe! Z moich szeroko otwartych oczu spływająca po twarzy woda wygryzła łyż. Zbladłem, zachłysnąłem się powietrzem. Co się tu, kurwa, dzieje?!

Chciałem coś krzyknąć, ale nie zdołałem. Upewniłem się, czy mnie słuch nie zmylił. Słyszałem wyraźnie! Dalekie, dziecięce głosy, przerywane rytmicznymi uderzeniami w coś solidnego. Zbyt solidnego, aby sobie z tym poradzić. Przełknąłem ślinę i przełamałem opory racjonalnego umysłu, jakim powinien szczyć się student politechniki.

– Słyszę was! – ryknąłem. – Idę! Wytrzymajcie!

W panice zacząłem dopasowywać do zamka każdy z posiadanych kluczy, które wręczył nam właściciel, miałem oryginalny komplet. W końcu uprzytomniłem sobie, że nie dostaliśmy ani pozwolenia, ani możliwości schodzenia do piwnic. Zacząłem bezsensownie odbijać się pięściami i barkiem od wzmocnionych blachą wrót, pokrzykując w ramach odpoczynku i kopiąc zawzięcie.

Niespodziewanie, kiedy podjąłem ostatnią z beznadziejnych, a zarazem niezwykle bolesnych prób sforsowania barku drzwiami, z impetem odbiłem się i niemal wyleciałem przez drzwi frontowe bloku. Skurczony w sobie, leżąc, nasłuchiwałem mocarnych natarć, które o mało nie wyłamały blaszanych drzwi z zawiasów.



Farba wokół framugi spękała i odpadała kawałkami tynku i muru w rytm uderzeń, raz za razem, nim te w końcu ustały. Czekałem na tę chwilę całą wieczność, każdym ogłuszającym razem mnożąc wielkość tajemniczego monstrum po dwakroć i przyglądając się powstającym deformacjom. Człowiek nie byłby w stanie uderzać z taką siłą, więc naprawdę odetchnąłem z ulgą, nie musząc stawać temu n a p r z e c i w .

W ostatnich podrygach rozsądku sięgnąłem po komórkę. Wybrzuszone wrota wyglądały na wzmocnione, całe szczęście, również od wewnątrz. Czegoś takiego policja nie mogłaby zignorować, nawet jeśli tylko postradałem zmysły. Wyszedłem, aby nie zwabić monstrum i odzyskać spokój.

Zmęczony głos dyspozytora mówił, że nie ja jeden miewam dziwne problemy w tak niezwykły dzień, ponadto dodał mi otuchy obiecując, że nie ja sam będę się musiał z nimi uporać. Typ problemu określiłem jako włamanie przebierańców, czego bynajmniej nie przyjęto ze zdziwieniem. Ten miły facet stwierdził nawet, że u nas, w Polsce, tylko złodzieje przebierają się na Halloween. Pociuszające. Kiedy uległem i podałem swoje personalia zapewnił, że natychmiast kogoś p r z y ś l e .

Podczas rozmowy ciągle łąziłem w kółko, aby czujka wykrywała mój ruch. Co pewien czas pozwalałem światłu gasnąć, aby móc się upewnić, że za szybą drzwi niczego nie ma.

Rozłączywszy się, długo spoglądałem na wygaszone światła bloku, nie rozumiejąc zaistniałej anomalii. Krzyki, huki i nikt nic z tym nie robi. Nic dziwnego, że mogliśmy nieraz balować do białego rana, a muzyka nie cichła całą noc. Obok toczyło się zwykłe życie, ktoś przeszedł nawet chodnikiem i obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. Przyznaję, nie wyglądałem najlepiej. Myśląc o tym, dotknąłem tyłu głowy. Syknąłem z bólu, na dłoni został ślad krwi. Mogłem w jednej chwili odejść, dać w długą, ale jakoś nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Zacząłem nabierać przekonania, że śnię. Tylko w snach zagrożenie i spokój dzielą tak cienkie granice. Cholera, może znowu zażyłem jakieś świństwo. Ten Seba i jego zafajdane specyfiki! Co mógłbym zrobić, aby się obudzić? Może skoczyć z balkonu? Brałem pod uwagę taką opcję, bowiem, gdyby rzeczywistość okazała się prawdą, być może lepiej byłoby po prostu już więcej jej nie doświadczać, przyjąć pokreślony rodzaj fatum jako godny los szaleńca. Spojrzałem za siebie i ciężko westchnąłem. Choćbym chciał skoczyć z tego nieszczęsnego balkonu, musiałbym wrócić. Cokolwiek w tym

budynku zostało zaczęte, musiało być dokończone. Moje życie nigdy nie dorównywało marzeniom, cokolwiek budowałem, obracało się w perzynę. Być może sen dał mi niepowtarzalną szansę zostania bohaterem, okazję do posmakowania śmierci godnej życia. Tak, chyba naprawdę mi odbiło.

Wkroczyłem do swojego koszmaru z orężem wiary w zwycięstwo, jakim nie pogardziliby uczestnicy krucjat. Nawet, jeśli ich przekonania z naszej perspektywy bywają odbierane jako okrutnie naiwny absurd, nie można zapomnieć, że ich walka była nieunikniona; moja również – chociaż wciąż nie dostrzegałem związku między wytraconymi z rąk jabłkami, lewitującymi zakupami, puszką, która sama się wyrzuciła a całą resztą bajzlu – nie mogłem uciec przed tymi zjawiskami w zwykłą rutynę dnia.

Przemknąłem obok ciemnego, na wpół otwartego zejścia do piwnic, z którego nie dobiegały już żadne wołania. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że nie oznacza to spełnienia moich najgorszych przeczuć. Bez latarki i broni nie miałem tam czego szukać. Podniosłem parasol, zaś z siatki z zakupami wyciągnąłem jedynie batonik, który natychmiast rozpakowałem.

Minąłem puste mieszkanie i pognałem wyżej, do siebie. Odbierając spokój jako ciszę przed burzą, w roztrzęsieniu przekręciłem klucz. Będąc w środku, natychmiast zatrzasnąłem drzwi na każdy możliwy zamek i zasuwkę.

Zegar zdechł, czas zrobił mu krzywdę i biegł dalej bezpowrotnie, być może obierając mnie za cel. Cisza w odcięтым od prądu wnętrzu emanowała niewysłowioną obcością, pustką. Mieszkalem tam od roku, zdążyłem się zadomowić, więc gotów byłbym pomyśleć, że pomyliłem mieszkania, jednakże wciąż docierały do mnie podstawowe fakty typu: mój klucz, moje drzwi, czyli mieszkanie też moje, przynajmniej póki płacę. Zyskałem wprawę we wbijaniu sobie do łba takich dogmatycznych drobnostek, które po przepiciu stanowiły mój grunt, oparcie oraz zabezpieczenie. Zanim tak się stało, jednego razu wylądowaliśmy w rodzinnych stronach Damiana, który uparł się, że ma tylko jeden, odległy o piętnaście kilometrów dom. Skąpy właściciel nie pozostawił zbyt wielu rzeczy do naszej dyspozycji – dziwne, że zostawił chociaż gołe ściany, które moglibyśmy przecież zjeść albo zburzyć – dlatego nie obawiałem się poruszać na oślep, w oparciu o wyrzeźbione w głębokiej czerni kontury.



W powietrzu wyczułem intensywny swąd przypalanych chipsów zmieszany z wonią feleрных fajek, który wstrząsnął moim pustym żołądkiem. Nagle głód stał się abstrakcją. Zjedzony batonik podskoczył mi do gardła.

W pokoju powitał mnie szum laptopa i wzbudzający sprzeczne odczucia mdły blask monitora. Normalnie ucieszyłbym się na ten widok, ale w tamtej chwili czułem się, jakbym został zmuszony do obserwowania jak ktoś pogrywa sobie na moim sprzęcie. Dla zapalonego gracza, mającego przy klawiaturze swoją sferę sacrum, nie jest to miłe doznanie. Spojrzałem na ekran. Zobaczyłem napis otwarty w edytorze tekstu.

Nie mamy wiele czasu, bracie.

Siostra?! Miałem tylko jedną. Cóż to za ponury żart? Usiadłem przed monitorem, lecz kiedy klawiatura zaczęła terkotać, natychmiast się poderwałem, jakbym przypadkiem usiadł komuś na kolanach.

Próbowałam cię ostrzec, ale straszny z Ciebie dzieciuch. Nie dostrzegasz nic, poza czubkiem własnego nosa.

– Dobra, wierzę.

To ona, westchnąłem pusto, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, jakie włączyć uczucia. Trochę zbyt długo tkwiłem w apatii i marazmie, aby zdobyć się na spontaniczność, niemniej wierzyłem, ponieważ chciałem i nie miałem powodu wątpić.

Fakt, że umarłam, nie oznacza wcale, że możesz sobie o mnie zapomnieć. No, ale nie w tym rzecz. Ja się wcale nie zabiłam!!!

Oficjalnie stwierdzono, że popełniła samobójstwo. Oszczędzono mi szczegółów w tej sprawie. Dźwigałem brzemię jej niechęci do życia, które pokonało nasze rodzinne więzi. Zanim odeszła, została u mnie na weekend. Nie zauważyłem wtedy niczego podejrzanego.

Wiedz, że za sąsiadkę masz najprawdziwszą wiedźmę.

Z tym mógłbym się zgodzić. Jeśli ten smród jest efektem zabaw w młodego alchemika albo pitraszenia, wolałbym nie poznawać nazw składników. Parsknąłem, ukryłem twarz w dłoniach.

Nie wiedziałem czy zbiera mi się na płacz czy też śmiech.

Nie śmieję się głupio, nie czas na wygłupy! Musisz uciekać! Tylko Ty jeszcze żyjesz w tym bloku!!! Sebastian i Damian nie żyją. Mnie też załatwiła.

– Jak to? Kto? Co?!!!

Martwa cisza nabrała nowych, przerażających znaczeń.

Wiedźma, załatwiła mnie, wszystkich. Kończy nam się czas, nasza rozmowa była moją niedokończoną sprawą, tracę siły...

Binarny wybór: najpewniej albo dowiem się jak uciec, albo zażadam wyjaśnień. Ucieczka, jakie to żalosne. Bez obrazy, siostrzo. Cisza. Duchy, nawet... skoro już istnieją, nie czytają najwyraźniej w myślach. Istnieje tylko jedno pytanie, którego odpowiedź mógłbym opłacić życiem. Zbyt długo je sobie zadawałem.

– Dlaczego odeszłaś? Czy Ty wiesz jak się czułem?!

Przepraszam...

– Nie, ja przepraszam, to znaczy... Emocje nie są teraz pomocne. Nastąpiła chwila krępującej ciszy.

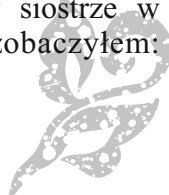
Pamiętasz bajkę o Jasiu i Małgosi?

Przeczytała mi ją kiedyś, dawno, dawno temu. Kiwnąłem głową. Nasza bajka straciła szansę na szczęśliwy koniec.

Wiesz, co więdźmy robią z dziećmi?

Moim żołądkiem wstrząsnęła seria spazmów, mimo że nozdrza przywykły do fetoru. Nigdy nie doceniałem wpływu świadomości istoty rzeczy na zachowanie człowieka. Porwałem laptopa i zadekowałem się w salonie, walcząc z paskudnym posmakiem w gardle. Moje śmiertelne ckliwostki nie przeszkodziły siostrze w pisaniu. Kiedy postawiłem urządzenie na stole, zobaczyłem:

Opanuj się. : P



Łatwo stwierdzić, będąc duchem.

Pomogę ci na ile zdołam, możemy porozumieć się za pomocą telefonu. Być może będziesz potrzebował noża, u sąsiada naprzeciwko znajdziesz kolekcję broni białej.

– Broń biała?

Pewnie jakiś historyk. przekręcam klucz nie przestrasz się

– Co się dzieje? Czego ode mnie oczekujesz?
Oddziaływanie z materią musiało być męczące. Wyobraziłem sobie, że przypomina utrzymywanie w dłoniach wody.

Sorry, nie jest łatwo dogonić Ziemię. Nie jestem związana z tym światem.

Nigdy nie byłem dobry w fizyce, ale podobno ziemia kręci się z prędkością liniową przekraczającą prędkość dźwięku, która to nijak ma się do prędkości na orbicie. Nic dziwnego, że trochę zajęło siostrze zorientowanie się w nowych warunkach. Przynajmniej zrozumiałem w końcu, że to nie kumple przestawiali moje rzeczy w pokoju. Czasami odnajdywałem je w naprawdę dziwnych miejscach. Usłyszałem stanowcze walenie w drzwi. Natychmiast ruszyłem do przedpokoju, nie dostrzegłszy na ekranie niekończącego się ciągu wykrzykników za słowami: „nie otwieraj”.

Zerknąłem przez wizjer, lecz zobaczyłem jedynie czarne dupsko mroku. Normalnie obstawiałbym komornika albo wkurzonego sąsiada, lecz znalazłem się w wyjątkowej sytuacji, w której śmiech wcale nie pomagał poczuć się pewniej.

– Kto tam?
– Policja, proszę otworzyć.



Ludzki głos ucieszył mnie do tego stopnia, że bez zastanowienia otworzyłem zamki. Pohamowałem się przy zasuwce. Nacisnąłem kłamkę, łańcuszek naprężył się. Panowie natychmiast wylegitymowali się i poprosili o krótką rozmowę. Zrezygnowałem z ostatniej bariery mojego fortu, a wtedy wzięli mnie szturmem.

Obezwładniono mnie i bez słowa wyprowadzono, nie zaprzatając sobie głowy takimi bzdurami, jak zamknięcie mieszkania, albo zabezpieczenie dowodów, jeśli chodziło o jakieś podejrzenia. Być może zrobiłem coś, z czego nie zdawałem sobie sprawy. Nie zdziwiłbym się.

– Panowie, co robicie? – pytałem rozedrganym głosem. – To jakaś pomyłka.

W nerwach nie stać mnie było na bardziej przekonujący tekst, którego nie słyszeliby codziennie.

– Byliście w piwnicy? Hej, mówię! Dokąd idziemy?! Nie odpowiedzieli, w ogóle już nic nie mówili. Zwlekli mnie schodami piętro niżej. Drzwi prowadzące do czeluści opuszczonego mieszkania stały otworem, zbliżaliśmy się do nich. Ze środka buchnął obrzydliwy smród spalenizny; taki, który zapamiętuje się do końca i wspomina w koszmarach.

Kiedy zrozumiałem, co zamierzają, zacząłem się wrywać i szamotać. Szybko doszła do mnie daremność moich wysiłków, nieomal złamali mi ramię. Przed progiem leżała opaska z rogami; nie widziałem, pamiętałem. Kopnąłem na wyczucie, a zaraz potem odczułem dotkliwie swój ciężar w starciu z posadzką. Drzwi zamknięto na głucho – była to pierwsza rzecz, którą sprawdziłem, kiedy dałem upust torsjom. Stałem w obliczu czerni tak głębokiej, że zdawała się rosnać przede mną ścianami. Upadłem na kolana, desperacko miotając rękoma po zapyłonym, dojmująco chłodnym betonie. Nie miałem komórki ani zapalniczki. Utknąłem w ciemności, której nie znałem; takiej, w której bezbronny człowiek łka i zgrzyta zębami w trosce o życie, które wkrótce zostanie mu odebrane, prędzej bądź później, czegokolwiek by nie zrobił, jednakże ja nie byłem w tym sam. Straciłem wprawdzie kontakt z siostrą, lecz odczuwałem jej obecność, dlatego nie ustawałem w poszukiwaniach. Miałem niemal pewność, że wszystko się jakoś ułoży.

Jest! Znalazłem! Rogi zamigotały piekielnym blaskiem, najpewniej ściągając na mnie uwagę wszystkiego, co mogłoby zadomowić się w tych niegościnnych progach, nie licząc samej wiedzy. Natychmiast ustawiłem tryb pracy ciągłej. Dwie diody przypominały zastygłe płomyki ognia – świeciły, lecz nie dość, by z powodzeniem posłużyć za latarkę. Z drugiej strony ich kolor nie męczył oczu. Nic dziwnego, że właśnie czerwień wykorzystuje się w wojsku do podświetlania urządzeń nawigacyjnych i podręcznego wyposażenia.

Zająłem się badaniem otoczenia porzuciwszy zbędny balast myśli o spiskach w policji i zabójczych czarach. Żeby cokolwiek zobaczyć, do wszystkiego musiałem podejść. Mieszkanie wyglądało na zrujnowane, istna rudera. Poza stanem, przedpokój niczym nie różnił się od mojego. Chciałem zajrzeć do pokoi, jednak wolałem nie ruszać żelaznych drzwi zaryglowanych masywną sztabą. Z pewnością nie znalazłbym tam nic, co chciałbym zobaczyć. W stronę salonu prowadziła ścieżka utworzona z kości i czaszek, których autentyczności nie miałem zamiaru sprawdzać. Cechą wspólną tych wszystkich kostek i kosteczek było to, że dało się z nich ułożyć tylko małe, ludzkie szkielety. Na taki widok, niezależnie od posiadanej wiedzy, nie da się być gotowym. Dreszcze przypominały elektryczne spięcie wzdłuż linii kręgosłupa, biegnące od czubka głowy do stóp i nie oszczędzające serca. We wwiercającej się w błędnik ciszy każdy szmer potęgował odczuwany niepokój. A jednak jakoś się trzymałem i szedłem przed siebie, nie widząc innego wyjścia. Marzenie o takowym pozwalało utrzymać panikę w ryzach i nie popaść w obłęd. Starłem się nie słyszeć charakterystycznych trzasków pod stopami. Wiedziałem, że to tylko gra koloru, lecz pierwotny instykt, do którego dokopał się nieznany mi wcześniej lęk, postrzegał każdą rzecz w zasięgu światła jako krew. Tętniczy szkarłat oblewał ściany, posadzki, kości, czaszki, moje ręce, mnie całego. Póki nie była to moja krew, mogłem z tym żyć, lecz spać – niekoniecznie. Podobny dom strachu w Stanach mógłby zrobić furorę. Żadnych dyń i całej reszty amerykańskiego śmiecia. Tylko czysty strach i mrok, śmierć w pełnej krasie. Odechciałoby się ludziom upatrywać w niej piękna i wzniosłości. Śmiech i chichot nie pamiętają starych błędów. Tak, dobrze; byle myśleć i nie dać się pochłonać. Jaś zostawiał za sobą okruszki. W tej baśni byłbym ptakiem, bardzo głodnym ptakiem. Rozdziobałbym całą tę zapierniczoną chatkę w drobny mak.

Wynajęliśmy duże mieszkanie, lecz salon nigdy nie przypominał bezkresu utwardzonej pustyni bez okien. Natknąłem się na schody, wąskie, bez barier, zaścieniane brudem. Biegły przynajmniej przez dwie kondygnacje. W dole dojrzałem puls ognia, kładący się na ścianach rozległą poświatą.

– Nie martw się – pocieszałem Małgosię, stąpając po chłopcach i dziewczynkach. – Wyjdziemy stąd. Ten babsztyl spłonie. I wszystko będzie jak dawniej.

Sunąłem nogami po stopniach, roztrącając kości, których upadek odbijał się echem w wydrążonej willi. Nie potrzebowałem już światła r o g ó w .

– Czekałam na ciebie, chłopcze. – Głos wiedźmy zupełnie mnie zaskoczył. Spodziewałem się czegoś groteskowego w rodzaju skrzeczenia starej baby; usłyszałem słodczy kobiecego tembru.

– Jesteś wyjątkowy.

Szedłem przed siebie w konkretnym celu, milczałem. Serce znało myśli, lecz pod wpływem śmiertelnej dawki adrenaliny odpuściło sobie dylematy. Ktoś musiał umrzeć. Podniosłem kość, długą, ostro zakończoną.

Bulgoczący kocioł drżał na palenisku. Być może odjęło mi węch, ale przykry zapach zniknął. W powietrzu unosił się za to przyjemny aromat, który byłby nie lada zagadką dla botaników. Na przegniłych od wilgoci regałach stały księgi, pąki i wiązanki ziół, a także fiołki i małe naczynia wypełnione, jak podpowiadała wyobraźnia, formaliną. Pływały w nich niemożliwe do identyfikacji strzępy tkanek.

– Jeśli zgodzisz się poddawać moim doświadczeniom, nie zaznasz już żadnego głodu, cierpienia ani samotności – szeptała uwodzicielsko.

– Jesteś dużym chłopcem, dostaniesz to, czego zapragniesz. Wszystkie jej obietnice, mimo dzielącej nas odległości, trafiały wprost do uszu jak najbliższy szepot, wypełniały mnie ciepłem, przyprawiły o dreszcz rozkoszy. Potrafiła przemawiać do ciała, mamić serce, ale zdawała się zapominać o duszy, którą sama czemuś zaprzedała. Swoją trzymałem na ramieniu; miałem świadomość bycia obserwowanym i pokładanej we mnie wiary. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym dał się nabrać na tanie sztuczki.

– Miałbym skończyć jak pozostali, tylko trochę później?

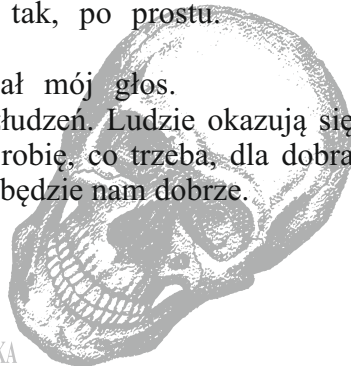
– spytałem, zatrzymany wątpliwościami cisnącymi się na usta.

– Ty jesteś inny, nie zabiłbyś się ot tak, po prostu.

– Ty ich zabiłaś! – zagrzmiałem.

– Nie – zaprzeczyła, kiedy przebrzmiał mój głos.

– Mylisz się. Moje eliksiry pozbawiają złudzeń. Ludzie okazują się zbyt słabi, aby bez nich żyć. Ja jedynie robię, co trzeba, dla dobra wszystkich, możesz mi wierzyć. Zaufaj, a będzie nam dobrze.



Słodczy jej głosu wszczepiała w zmysły czystą, nieopisaną wręcz rozkosz. Słowa brzmiały tak przekonująco, że ważne dotąd pytania znikwały we mgle, w której gubiłem przykrość świeżych doświadczeń i jasny powód przybycia. Mrocзки osłabienia miazdżyły we mnie siłę w o l i .

– Po co ci te złudzenia? – spytałem półprzytomnie. Nie zauważyłem, że znalazła się tuż obok, dopóki nie położyła dłoni na moim ramieniu.

– W każdym człowieku jest dziecko, źródło młodości. Najbardziej lubię dzieciaki. Kiedy z nimi kończę, nie zostaje w nich już nic, są pustymi skorupami, umierają. Te nieliczne, które przetrwają, stają się na wskroś zepsute. To o nich czytasz z przerażeniem w porannych gazetach. Ale to nie ma żadnego znaczenia, prawda? – Wiedźma roześmiała się perliście, uroczo, chociaż wcale nie chciałem tak o t y m m y ś l e ć .

Nawet nie starała się ukryć prawdy, gdyż w sobie tylko znany sposób uczyniła mnie więźniem własnego ciała. Cokolwiek zrobiła, nie mogłem się ruszyć, nie potrafiłem widzieć w niej wroga. Nawet po tym wszystkim, co usłyszałem, jej widok wzbudzał we mnie chorą radość. Umierałem od środka, nie będąc w stanie rozpoznać własnych uczuć. Miałem wrażenie, że emocjonalnie się wykrwawiam przez niespełnioną, urojoną miłość, którą przeszyto mnie na wskroś.

– Podoba ci się mój eliksir? Skończysz jak gliniarze, których tu wezwaleś. Pewnie nie żyją, wedle rozkazu. – Wiedźma nie okazywała zdrowych emocji, chwilami zachowywała się jak na deskach teatru, jakby odjęło jej rozum. – Zapach krwawnika nigdy mi się nie znudził! W przeblyskach świadomości dostrzegłem skalpel. Skupiłem resztki uwagi na ostrzu, z całych sił starając się pokonać słabości, urokiem wywleczone na wierzch.

– Ufasz mi?

Nic z tego, odpuściłem. Zacisnąłem powieki, spod których wytoczyły się ogromne łzy.

– Ufam – szepnąłem. – Siostró.

Usłyszałem jęk strachu i serię niekończących się miękkiich młaśnieć. Otworzyłem oczy dopiero, kiedy przeraźliwy krzyk umilkł w rżężeniu. Ujrzałem przed sobą krwawą miazgę najeżoną kośćmi, które mnie tu doprowadziły. Z tętnic tryskały jeszcze długie strużki krwi, litry posoki pochłaniały posadzkę. Stałem w tej kałuży, nie mogąc nawet kiwnąć palcem w bucie. Na moich oczach potężna siła cisnęła kotłem o ścianę. Zacząłem podejrzewać, że mam za sobą całą armię, która sens tej bajki odnalazła w zemście. Czy to ja zabiłem?

Ciało, jakby w reakcji na pytanie, uniosło rękę. Krew ściekała z pustej dłoni, nie dając jednoznacznej odpowiedzi, po czym zacisnęła się w powietrzu, wskazując palenisko. Kiedy w gwałtownym ruchu wyprostowały się palce, płonące głównie rozproszyły się. Jedną pochwyciło moje ciało, które pochyliło się nad truchłem. Z przerażeniem długo obserwowałem, jak podpalam włosy i ubranie martwej, nie wiedząc, czy jestem sobą w sobie, czy może raczej własnym cieniem. W próżni mego serca uśmiechałem się do płasających między kośćmi płomyków, wyczuwając ich słuszość. To nie były moje uczucia, ale tylko one chroniły mnie przed miłością bez wspomnień, za którą rzuciłbym się w ogień.

Bezsilność rozsadzała mnie wstydem, brak kontroli napawał obawą. Nie wiedziałem, dokąd chciałbym pójść i jak się odnaleźć. Czy jestem jeszcze człowiekiem? Czy skazałem się na potępienie? Czy zdradziła mnie siostra, którą potraktowałem jak własne sumienie? Stąpałem wśród skwierczących płomieni, które niewidzialny gniew nieustannie podsycił rzeczami umarłych. Mijałem lewitujące biurka, szafy, krzesła, ale nic nie robiło na mnie wrażenia, podobnie jak wieszaki z ubraniami, bawiące się w berka i pokaz mody. Kilka główni nie tyle oświetlało, co wskazywało mi drogę, za mną płomień zlewał się w trzeszczące fale. Minęło mnie nawet moje łóżko. To nic, ja tu tylko mieszkałem.

Kiedy stanąłem u zaryglowanych drzwi, rozpadły się w drzazgi jak za sprawą dynamitu. Przekroczyłem próg, wyszedłem z czeluści piekieł, które trawił własny ogień.

Szabla wisiała w powietrzu i zdawała się czekać na moją decyzję. Powoli odzyskiwałem czucie i władzę, wyciągnąłem rękę i zacisnąłem dłoń na rękojeści. W tej samej chwili zawahałem się, poczułem jakby uleciała ze mnie cudza radość z dokonanej zemsty. To w niczym nie przypominało ulgi i było tak nagłe, że ugięły się pode mną nogi, i tylko świadomość bycia pod wpływem eliksiru powstrzymała mnie od zrobienia czegoś naprawdę głupiego. Starąłem się usilnie wmówić sobie, że każdy człowiek chce żyć, choćby nie wiem jak narzekał i cierpiał. W przeciwieństwie do martwych stróżów prawa wciąż miałem wiele możliwości. Dłoń jednego z nich, zaciśnięta na kolbie pistoletu, palec za palcem rozluźniła chwyt; broń uniosła się. Bez ceregieli wciśnięto mi ją w rękę, lepką i ociekającą. Być może moim nowym zadaniem miało być interweniowanie w sprawach, w których zawodzi policja? Zupełnie jak w grze. Lubiłem gry.

Za krwią za to nie przepadałem, była wszędzie. Z odrazą upuściłem pistolet, odwróciłem oczy od trupów, których mózgi wylewały się przez otwory po kuli. Mimo obrzydzenia przyłapałem się na próbie odgadnięcia czy palnęli sobie w łby sami, czy z wzajemnością. Zacząłem rozpaczliwie biec, susami pokonywałem schody. Musiałem z kimś porozmawiać, aby odnaleźć sens w kalejdoskopie zmian, za którymi wciąż nie nadażałem. W tej chwili mogłem zostać zrozumiany jedynie przez siostrę, a do kontaktu z nią potrzebowałem przynajmniej komórki. Nigdy bym nie przypuszczał, że telefon kiedykolwiek posłuży mi do kontaktu z zaświatami. Kiedy stanąłem przed kutasem, za którym powiesiło się moje dotychczasowe życie, wciąż niewiele rozumiałem, ale coś do mnie dotarło. Właściciel wystawił pod najem całutkie, duże mieszkanie, całkiem tanio. Od miesiąca zalegał ze skargą na niezapłacony czynsz, którego nie raczył z nas zedrzeć. Ciekawe, czy jeszcze żył. Spojrzałem na szablę, a potem za siebie. Sąsiad, historyk, klęczał przed otwartymi drzwiami, przebity jednym z okazów swojej kolekcji broni. Miło poznać.

Przede wszystkim jednak to nie był jeszcze koniec. I być może nigdy nie miał nastąpić.

Na stole znalazłem komórkę, a w niej niedokończonego, niewiele wyjaśniającego sms-a.

Wybacz. Siła, nadzieja, ucieczka, szczęście. Rodzice! Pomoc, nie sam. Tak naprawdę rozumiałem tylko końcówkę. Kiedy rodzice mnie odwiedzali, z pewnością padli ofiarą wiedzmy. Pytanie tylko, w jakim stopniu. Popeliłem błąd otwierając drzwi, ale nie mogłem o tym wiedzieć. I kto miałby mi niby pomóc? W czym? Mogłem się jedynie domyślać, że siostra po raz kolejny odeszła przed czasem. Czy wiedzmy są ludźmi? Jeśli zabiłem, chyba się nie spotkamy. Jak dalej postępować, aby odnaleźć sens swoich działań?

Niecierpliwie duchy delikatnym, aczkolwiek natarczywym stukaniem dawały mi do zrozumienia, że na nas już czas. W oddali słyszałem wycie syren. Świtało. Gapiłem się w ekranik, oddając zawsze spóźnionym refleksjom. Wiadomość na moich oczach została uzupełniona:

Zło musi zostać zniszczone!

Co jest złem? Cholerne zjawy, upiory... Cały ten czas mogły wodzić mnie za nos, nie wziąłem tego pod uwagę. Miały dość czasu, aby obserwować, tylko po co? Co jest we mnie takiego wyjątkowego, że wciąż żyję?

Nie wiem. Skasowałem wiadomość. Wybrałem numer do Damiana, potem do Seby, lecz obydwaj abonenci okazali się „czasowo” niedostępni. Nici z telefonu do przyjaciela. Do rodziców nie odważyłem się dodzwonić, przerwałem połączenie po pierwszym sygnale i wyłączyłem komórkę. Potrzebowałem nadziei, że nie zostałem sam, że mam dokąd wrócić.

Na stole zauważyłem pistolet, na którym ciemniała krzepnąca krew. Więc to nie koniec walki?

Niebawem stanąłem uzbrojony przed zejściem do piwnic, wcale nie mając pewności, co mnie tam czeka. Czy prawdziwym potworem mogą być duchy skrzywdzonych dzieci? Może chcąc wyważyć drzwi od wewnątrz nieopatrznie mnie przedtem zraniły? Równie dobrze mogłem być zaledwie ich sługą, wysłannikiem martwych. Jeśli nie, to czy każda paranormalna siła stoi od teraz po mojej stronie? Jakie monstrum może czaić się w tych ciemnościach? Czy muszę w ogóle iść na to spotkanie z przeznaczeniem? Kim jestem i czego mam dokonać, aby zostawiono mnie w spokoju?!

Światło dnia rozrzedzało mrok, dodawało odwagi. Odwróciłem się na pięcie i pchnąłem drzwi klatki. Ani drgnęły, choć to fizycznie niemożliwe. Trudno, musiałem przecież spróbować. Nie istniało dla mnie alternatywne wyjście.

- Jest tam kto? – Musiałem się upewnić.
- Ratusj! Pomocy!

Od chwili zejścia w ten swoisty labirynt Minotaura moje życie stało się koszmarem niespokojnej duszy, niekończącym się pasmem udręk w wiecznej wędrówce.

Zrobiłem to, co musiałem.

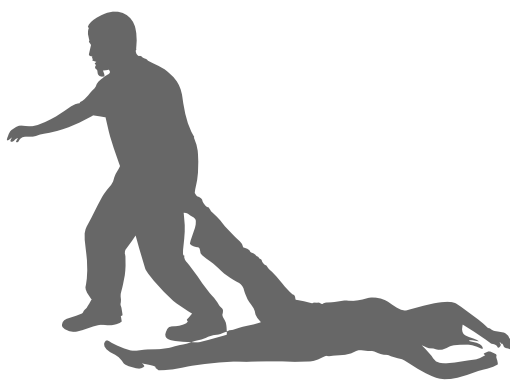
Jestem tylko człowiekiem.

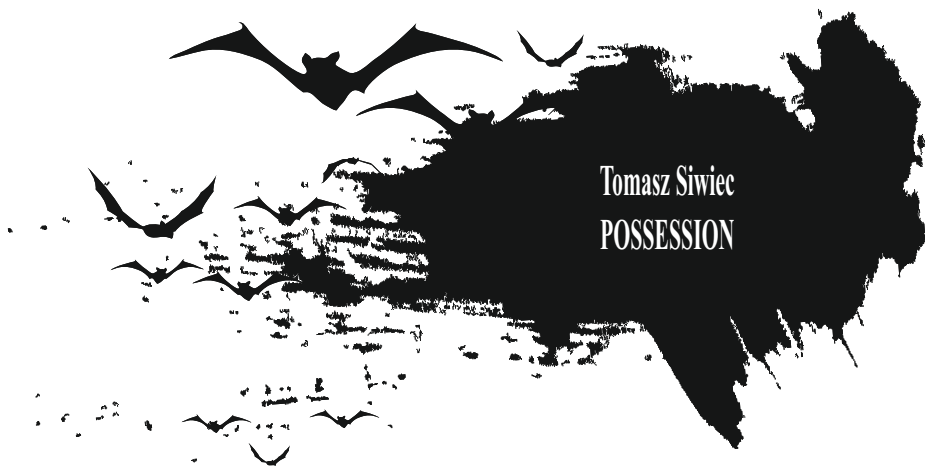




Tomasz Siwiec

Tomasz Siwiec (MordumX) Dwukrotny laureat pierwszego miejsca za teksty: "Facebookowa znajomość" oraz "Amulety Szczęścia" w literackim konkursie na najstraszniejsze opowiadanie organizowanym przez portal Kostnica.pl. Prywatnie pasjonat horroru literackiego i filmowego. Publikował na Horror online, Kostnica, Niedobre literki. Jego opowiadanie "Jajko niespodzianka" znalazło się w antologii horroru ekstremalnego "Gorefikacje". Od niedawna redaktor naczelny dwóch magazynów: "Horror Masakra" oraz "Krypta" oba poświęcone literackiej grozie. W 2014 pojawi się zbiór opowiadań "Ciernie naszych grobów", które napisał wraz z żoną.





*Pamiętaj, człowiecze, że śmierć cię powlecze.
Po lasach, po górach, powlecze cię jak szczura*

Powiedzonko mojego nieżyjącego już dziadka.
Autor

Po śmierci żony, Krzysztof Szymański wraz z bliźniaczymi córeczkami przeprowadził się do niedawno odnowionej kamienicy. Jeszcze za życia Basi zwlekał z podjęciem decyzji o przeprowadzce, jednak teraz uznał, że będzie to dobry krok w walce z traumą, jaką szczególnie mocno przeżywały jego czteroletnie dziewczynki. W starym domu wszystko przypominało o Basi. Z każdą rzeczą i każdym kątem wiązały się bolesne wspomnienia. W takim miejscu nie sposób pogodzić się ze stratą żony i mamy. Choć od jej śmierci minęły już prawie cztery miesiące, spokojne noce zdarzały się bardzo rzadko. Bliźniaczki budziły się z płaczem i krzykiem, pytając, gdzie jest mama. Dziewczynki były z nią bardzo zżyte, a ona z kolei poświęcała im cały wolny czas.

Krzysztof zdawał sobie sprawę, że stoi przed nim bardzo ciężkie zadanie. Jednak postanowił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby pomóc dziewczynkom pogodzić się ze śmiercią mamy. Czasami, kiedy spały lub bawiły się na dworze, rozkładał przed sobą wielki album ze zdjęciami i ryczał jak dziecko. Tak bardzo ją kochał. Brakowało mu jej w każdej sekundzie. Począwszy od porannej herbaty, przy której zawsze łykała tabletki na nadciśnienie, a

skończywszy na wieczornej lampce wina, pomagającej uspokoić jego skołatane nerwy. Niestety, leki zawiodły. Pewnego słonecznego dnia w drodze do sklepu, w którym zamierzała kupić świeżutkie bułki i masło śmietankowe, poczuła nieprzyjemne mrowienie w dłoniach. Podejrzała, że może to być związane z chorobą serca, ale zbagatelizowała objaw. Zrobiła zakupy i ruszyła do domu. Spieszyła się, więc zamiast iść, jak zwykle, przez park, wybrała krótszą drogę - przez zatłoczone centrum. Przed przejściem dla pieszych wcisnęła przycisk uruchamiający zielone światło i cierpliwie czekała. Nigdy nie dotarła na drugą stronę jezdni. Lodowate uczucie bezdechu zaatakowało jej płuca. Potem pojawił się ból, który sprawił, że bezwładnie runęła na ziemię. Bułeczki rozsypały się na całej szerokości jezdni. Szybko pojawił się tłum gapiów. Ktoś wezwał karetkę, ktoś inny nieudolnie reanimował kobietę. Krzysztof odebrał telefon w momencie, kiedy zaczął się zastanawiać, co tak długo zatrzymuje jego żonę. *Panie Szymański, zmuszeni jesteśmy poinformować pana o tragicznym wydarzeniu. Pańska żona miała zawał serca. Niestety, pomimo szybkiej akcji reanimacyjnej nie udało nam się jej uratować...* Drżącą dłonią odłożył słuchawkę na widełki. W tym momencie do pokoju wbiegła Maja. Machała mu przed nosem kolorową kartką pytając, kiedy przyjdzie mama. Chciała jej podarować laurkę.

Nowe mieszkanie było o wiele większe niż poprzednie. Teraz dziewczynki mogły się cieszyć osobnym dzieciennym pokojem, wielką kuchnią, salonem, w którym oglądały bajki oraz balkonem z widokiem na miasto. Sama przeprowadzka oraz urządzenie lokalu było dość ciężkim, acz na swój sposób przyjemnym zajęciem. Marysia i Maja biegały roześmiane od ściany do ściany, dekorując swój pokój kolorowymi wycinankami z gazet o Barbie. Wieczorem były wykończone, więc po wejściu do łóżka padały jak muchy. Krzysztof zaś krzątał się samotnie po mieszkaniu wspominając Basię. Oddałby wszystko, żeby mogła tu być razem z nimi. Niestety, los chciał inaczej.

Pewnej deszczowej nocy obudził go hałas. Zerwał się z łóżka i odruchowo popędził w stronę pokoju dziewczynek. Zastał tam dziwny widok. Jego córki nie spały. Leżały na łóżku całkiem nagie i wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczami. Ich różowe, bawełniane piżamy poniewierały się po podłodze, na której leżała także zrzuciona pościel.

- Czy możemy już założyć nasze koszulki? –zapytała Marysia.
- Dlaczego się rozebrałyście? – odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Przecież możecie zmarznąć, przeziębic się.

Pomógł dziewczynkom się ubrać i naciągnął im kołdrę po same szyje.

- Tato, ale to ty się nam kazałeś rozebrać – oświadczyła Majka. Spojrzał na złężnione twarze córek. Wyglądały, jakby się czegoś bały. Pomyślał, że prawdopodobnie coś się im przyśniło. Dzieci czasami robią w nocy mnóstwo dziwnych rzeczy.

- Śpijcie już - rzucił na odchodne. Zadowolony skierował się w stronę sypialni. Po raz pierwszy od wielu nocy nie wspominały o mamie. Z biegiem czasu okazało się, że nowe lokum nie służyło Krzyškowi. Rano budził się niewyspany i zazwyczaj z potwornym bólem głowy. Czasami czuł się tak wyczerpany, jakby w ogóle nie spał, tylko całą noc przepracował w kamieniołomie. Dziewczynki również nie wyglądały najlepiej. Od pewnego czasu wydawało się, że wyparowywała z nich cała radość i energia. Zupełnie straciły apetyt i zrobiły się nerwowe. Były apatyczne, przestała je interesować zabawa, nie śmiały się już tak, jak kiedyś i niewiele mówiły. Wkrótce zaczęły przypominać szmaciane lalki, beczynnie wpatrzone w ścianę lub krajobraz za oknem. Próbował z nimi rozmawiać i dowiedzieć się, co jest przyczyną takiego stanu rzeczy, lecz dziewczynki uparcie milczały. W końcu postanowił zasięgnąć porady dziecięcego psychologa. Kilkugodzinne sesje *sam na sam* ze specjalistą miały wskazać źródło problemu. Krzysztof sugerował, że być może śmierć matki wpłynęła na zachowanie córek, ale psycholog postawił na inną teorię. Właściwie zaczął go zadręczać dziesiątkami dziwnych pytań sugerujących, że to właśnie on jest główną przyczyną problemu dziewczynek. Kiedy lekarz próbował dociec, w jaki sposób Krzysztof radzi sobie ze swoją seksualnością, miarka się przebrała. Nie kryjąc oburzenia mężczyzna zrezygnował z usług psychologa, który na odchodne krzyczał, że będzie miał oko na jego rodzinę. Postanowił sam rozwiązać tę zagadkę. W międzyczasie zauważył, że w nowym mieszkaniu dzieją się niewytłumaczalne rzeczy. Zazwyczaj na zakończenie dnia dokładnie sprzątał. Dbał, by rodzina przywitała poranek w czystym, uporządkowanym miejscu. To dobrze wpływało na jego samopoczucie. Natomiast rano, ku swemu zdziwieniu, zastawał bałagan. Szczególnie w pokoju dzieciennym. Już kilka razy dostrzegł, że ubranka zostały wyciągnięte z komody albo były tak powywracane, jakby przeszło tamtędy tornado.

Najczęściej była to bielizna dziewczynek. Stwierdził wówczas, iż najwidoczniej Marysia i Majka rozrabiają nocami, ale córki nie przyznawały się do winy. Kupił więc mały zamek do ich komody, a klucz schował pod swoją poduszką. Jednak kiedy rano znowu zastał na podłodze ich porozrzucane majteczki, solidnie się przestraszył. Zaczął podejrzewać, że on i dzieci nie są jedynymi lokatorami tego mieszkania. Istniało prawdopodobieństwo, iż to jest powodem dziwnego zachowania jego córek. Jednak czarę goryczy przelała rozmowa, jaką udało mu się przeprowadzić z dziećmi podczas próby wciśnięcia im choć jednej kromki chleba na kolację.

- Tato – odezwała się znad talerza Majeczka. – Boję się tego, co wczoraj zrobiłeś.

- A co takiego zrobiłem? – Odpowiedział, zaciekawiony.

- To, co robisz za każdym razem, kiedy przychodzisz do naszej sypialni.

- Nie rozumiem. Co robię? – zapytał zdziwiony. Dziewczynki spojrzały na siebie, jakby nie rozumiały, co tata do nich mówi.

- Każesz się nam rozbierać, przebierać, a potem dotykać cię w... Tam. – odpowiedziała Marysia. - Nie chcę tego dłużej. Wczoraj mnie bolało.

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Postanowił jednak dążyć dalej.

- Posłuchajcie, moje kochane. Wydaje mi się, że coś dziwnego dzieje się w tym mieszkaniu. Pamiętajcie o tym, że nigdy nie zrobiłbym wam żadnej krzywdy.

- Kłamiesz! – Krzyknęła Majka. – Mam siniaki na nóżkach i boli mnie tam, jak siusiam.

Tego było już za wiele. Faktycznie podczas kąpieli dzieci zauważył, że w okolicach nóg są posiniaczone, a ich intymne miejsca wyraźnie zaczerwienione. Był absolutnie pewien, że sam nigdy by do czegoś takiego się nie posunął. Postanowił rozwiązać mroczną zagadkę i bez zastanowienia wezwał ekipę zajmującą się wyszukiwaniem i badaniem zjawisk paranormalnych. Wyjaśnił, w czym problem, a dowodzący grupą Arkadiusz Nowakowski okazał się wyjątkowo wyrozumiałym człowiekiem.

- Panie Szymański, w całym domu założymy kamery. Dodatkowo zainstalujemy detektory ciepła i inne urządzenia demaskujące duchy. Jeżeli jakiegokolwiek zjawisko nadprzyrodzone występuje tutaj, znajdziemy to. Rano odczytamy zapis z kamer. Powinien pan wiedzieć, że przekaz znajdzie się w naszej bazie z godzinnym opóźnieniem.

Wie pan, jaka płaca, taki sprzęt – wyjaśnił. Uśmiechnął się i uściśnął Szymańskiemu dłoń. - Wszystko będzie dobrze – dodał. Krzysztof starał się, aby zainstalowane kamery nie przeszkodziły w codziennej rutynie. Wydawało się, że dziewczynki poczuły się o wiele lepiej. Choć ich wzrok równie dobrze mógł mówić: *Teraz ci udowodnimy, że robisz nam krzywdę.*

On jednak wierzył, że w końcu pozna prawdę. A jego najukochańsze, roześmiane słoneczka wrócą z dalekiej podróży, na którą wybrały się kilka tygodni temu. Czuł, że ostatnie wydarzenia zaczynają go przerastać. Gdyby nie Maja i Marysia już dawno skończyłyby na dnie butelki z wódką. Jednak to dla nich musiał być silny. Były dla niego wszystkim.

Wieczorem jak zwykle zjedli kolację. Dziewczynki wzięły wspólną kąpiel i położyły się do łóżka. Nadzieja jest matką tych, którzy nie boją się spoglądać we własną przeszłość. Z takim nastawieniem zasypiał ostatniej nocy, którą miał spędzić w tym mieszkaniu. Następnego dnia rano mieszkańców Suchej Beskidzkiej obudziło wycie „syren”. Pod starodawną kamienicę mieszczącą się na obrzeżach miasta zajechało kilka radiowozów oraz wóz transmisyjny ekipy zajmującej się wyłapywaniem duchów. Kilku mundurowych biegiem wpadło do środka, uprzednio wyłamując kopniakiem drzwi. Coraz liczniejszy tłum gapiów obserwował, jak policjanci wyprowadzają skutego kajdankami Szymańskiego. Już z daleka można było zauważyć, że od stóp do głów umazany był krwią. Po chwili na miejscu pojawiła się karetka pogotowia. Dwóch policjantów wybiegło z kamienicy trzymając się za brzuchy, a następnie zapaskudziło chodnik wymiocinami. Widok, jaki zastali w środku, nawet dla twardzieli z wydziału zabójstw okazał się zbyt okrutny. Chwilę później sanitariusze wynieśli na noszach dwa nieduże czarne worki, które następnie zapakowali do karawanu.

Kilka dni później w jednym z pokoi miejskiej komendy policji Arkadiusz Nowakowski, porucznik Marchwicki i kilku funkcjonariuszy dochodzeniówki po raz kolejny zasiadali do projekcji nagrań, które zarejestrowały kamery rozmieszczone w mieszkaniu, gdzie doszło do najstraszliwszej zbrodni w dziejach Suchej Beskidzkiej.

- Gdybyśmy mieli bezpośredni przekaz, to prawdopodobnie udałoby się uniknąć tragedii – powiedział Nowakowski.
- Nie wiem, czy jestem w stanie to obejrzeć po raz drugi – mruknął porucznik. - Ale spróbuję. Wziął do ręki pilot i nacisnął *play*.

Na ekranie pojawiło się mieszkanie aresztowanego. Około godziny 01:32 mężczyzna sięgnął pod swoją poduszkę, coś spod niej wyciągnął i udał się do pokoju córek. Tam wrzasnął, ale nikt nie wiedział, co, gdyż zapis pozbawiony był dźwięku. Dziewczynki rozbudziły się i zaczęły płakać. Mężczyzna mocował się z zamkiem w ich półce, po czym wyciągnął stamtąd dwie pary majtek. Chwilę później zaczął pocierać nimi nos z miną, jakby napawał się ich zapachem. Zamaszystym ruchem odrzucił bieliznę i gestem ręki nakazał dziewczynkom wyjść z łóżka. Obraz pokazywał, że płaczą i trzęsą się ze strachu. Kolejno zdjęły z siebie koszule nocne, a następnie zaczęły się wzajemnie głaskać po głowach, ramionach i brzuchach. Potem mężczyzna zdjął bokserki i nakazał córkom zbliżyć się do siebie.

- Co za bydlę... - Porucznik skrzywił się z niesmakiem. Było widać wyraźnie, że dziewczynki nie chciały tego robić. Kiwały przecząco głowami, wskazując palcem kamery, przytulały się do siebie. To sprawiło, że zwyrodnialec wpadł w furię. Jego ciężka pięść wylądowała na twarzy jednej z córek. Maja uderzyła o ścianę i runęła na podłogę. Tam zastygła bez ruchu w powiększającej się pod nią kałuży krwi. Marysia próbowała uciec, ale mężczyzna chwycił ją i rzucił na łóżko. Masując swój członek uśmiechnął się szyderczo i pomachał do kamery. Chwilę później zbliżył się do przerażonego dziecka.

- Kurwa, nie dam rady – powiedział Nowakowski i odwrócił głowę. Pozostali policjanci również mieli problem z oglądaniem Szymańskiego krzywdzącego własne dziecko.

- Dałem wam nagranie, ale nie jestem w stanie tego oglądać – dodał i opuścił pokój.

Zgromadzeni przed ekranem komputera mężczyźni obserwowali z trwogą, jak Krzysztof kładzie się wielkim cielskiem na małej córce i kolanem rozwiera jej uda. Dziecko próbuje się uwolnić spod szaleńca, ale po kilku ciosach pięścią zastyga bez ruchu. W końcu mężczyzna oddaje się najbardziej makabrycznej zbrodni, jaką można dokonać na dziecku. Po chwili spocone ciało szaleńca wreszcie znieruchomiało. Wstał z łóżka i chwycił zgwałconą dziewczynkę za stopy. Następnie podniósł ją do góry i zaczął uderzać nią o ścianę. Zrobił to ponad trzydzieści razy, zostawiając na tapecie ogromną plamę krwi i wewnątrz. Potem rzucił zmasakrowane ciało na łóżko. Wziął drugą dziewczynkę na ręce i, wciąż uśmiechając się do kamery, udał się do kuchni. Podszedł do mikrofalówki i stworzył jej białe

drzwiczki.

W tym momencie nawet porucznik Marchwicki opuścił głowę. W duchu poprzysiągł sobie dopilnować, aby ten skurwiol doświadczał potwornej męki w więzieniu, każdego dnia. Obraz pokazywał, jak nieprzytomna dziewczynka zaczyna odzyskiwać świadomość. Porusza rękami, a nawet próbuje się przytulić do swojego ojca. Mężczyzna wydaje się na to zupełnie obojętny. Bez opamiętania tłucze pięściami w bezbronne dziecko, starając się upchać jej ciało do wnętrza mikrofalówki. Marysia jest za duża. Szymański zaczął łamać jej ręce i nogi, aż wreszcie zmasakrowane ciało zmieściło się we wnętrzu urządzenia. Na zewnątrz wystawała jeszcze połamana rączka, ale Szymański dotąd uderzał drzwiczkami, aż wreszcie zmiażdżona kończyzna nie przeszkadzała w ich domknięciu. Szymański sięgnął do przełącznika temperatury i ustawił go na 800 stopniach. Pomachał w stronę kamery i wrócił do sypialni. Tam, jak gdyby nigdy nic, położył się na łóżku i nakrył się kołdrą. Kiedy mężczyzna zapadał w sen, dziecko zaczynało gotować się od środka. Twarz dziewczynki pokrywa się coraz większą masą bąbli oparzeniowych. Drży w potwornych spazmach drgawek i bolesnych wstrząsów. Mikrofalówka zaczyna dymić i iskrzyć. W końcu dochodzi do eksplozji. Obraz zastyga, pozostawiając pomieszczenie w oparach siwego dymu. Godzinę później na ekranie ukazali się funkcjonariusze aresztujący brutalnie zbudzonego psychopatę, na którego twarzy malowało się ogromne zaskoczenie.

Policjanci zgromadzeni przed ekranem w komendzie zbledli, a ich twarze wyrażały rozpacz i nienawiść jednocześnie. - Nie potrafię znaleźć słów, by to jakoś skomentować – odezwał się Marchwicki. – Nie ma usprawiedliwienia dla takich rzeczy. Myślę, że musimy wszyscy ochłonąć, aby racjonalnie wyjaśnić całą sytuację. Muszę sięgnąć do akt, bo wydaje mi się, że to nie pierwsza zbrodnia, jaką popełniono w tej kamienicy.

Pozostali funkcjonariusze skinęli zgodnie głowami. W każdym z nich coś pękło. Wciąż nie mogli uwierzyć w to, jak dalece człowiek może posunąć się w swoim szaleństwie.

Arkadiusz Nowakowski, opuściwszy komisariat, udał się do swojego samochodu. Tam otworzył skórzaną torbę i sprawdził jej zawartość. Biała koperta z napisem „Kamienica Sucha Beskidzka 01/2013” spoczywała na swoim miejscu. Zapalił wóz i ruszył przed siebie.

Zaparkował przed dwupiętrowym domem przy drodze wyjazdowej z miasta.

Siedemdziesięcioletni Karol Nowakowski czekał na syna, popijając herbatę z porcelanowej filiżanki. Arkadiusz wpadł do pokoju i rzucił kopertę na stół.

- Nie mogę już dłużej tego ciągnąć – powiedział zdenerwowany. - To jest nienormalne. Zresztą, gliny zaczynają coraz bardziej węszyć. Mam dość!

Staruszek uśmiechnął się jakby sam do siebie.

- Dobrze wiesz, że nie możemy tego przerwać. Jego duch jest nieśmiertelny i, aby istnieć, wciąż potrzebuje kolejnych ofiar.

- Na Boga, czy ty wiesz, co on zrobił tej rodzinie?! Musimy to przerwać. Zburzmy tę kamienicę. Wynieśmy się stąd. Cokolwiek!

- To nic nie da. Jeżeli nie dostarczymy mu pokarmu, to przyjdzie po nas.

Arkadiusz usiadł na kanapie i ukrył twarz w dłoniach.

- Posłuchaj. Zdaję sobie sprawę, jakie to trudne, ale nie mamy innego wyjścia – powiedział Karol. - Przeszłość do czegoś zobowiązuje.

Nasi przodkowie żyli w czasach, w których magia, demony i inne potwory pomagały ludziom przetrwać ciężkie czasy nędzy i głodu. Zawsze wiązało się to z pewnym ryzykiem. Jednak zdecydowali się, a właściwie zostali zmuszeni do tego... I stało się. Jesteśmy już szóstym pokoleniem, które musi płacić za ich decyzje - staruszek

założył nogę za nogę, by po chwili milczenia podjąć opowieść na nowo. - W pewnym sensie ich rozumiem. Czytałem zapiski w starych pamiętnikach. Nasi przodkowie zakładali nawet kilkunastoosobowe rodziny, a gdy w czasach biedy widmo śmierci głodowej zaglądało im w oczy robili wszystko, by ratować swoje dzieci. Wzywali demony, które dysponowały mocą pozwalającą im na przetrwanie. Dziś, po tylu latach, role się zamieniły. Teraz to on jest głodny, a to my musimy go karmić. W przeciwnym razie, sami staniemy się jego pokarmem.

- Nie chce więcej tego nagrywać.

- Musisz! Dzięki twoim taśmom możemy się czuć bezpiecznie.

Mamy gwarancję, że ofiara została skonsumowana. Powinieneś to robić. W twoich żyłach płynie krew naszych przodków. Teraz idź i zajmij się odkupieniem kamienicy. Wiesz, gdzie są pieniądze. Potem ponownie wystaw ją na sprzedaż za atrakcyjną

Wtedy będziemy mieli pewność, że ktoś ją kupi, a demon... nie będzie głodny.

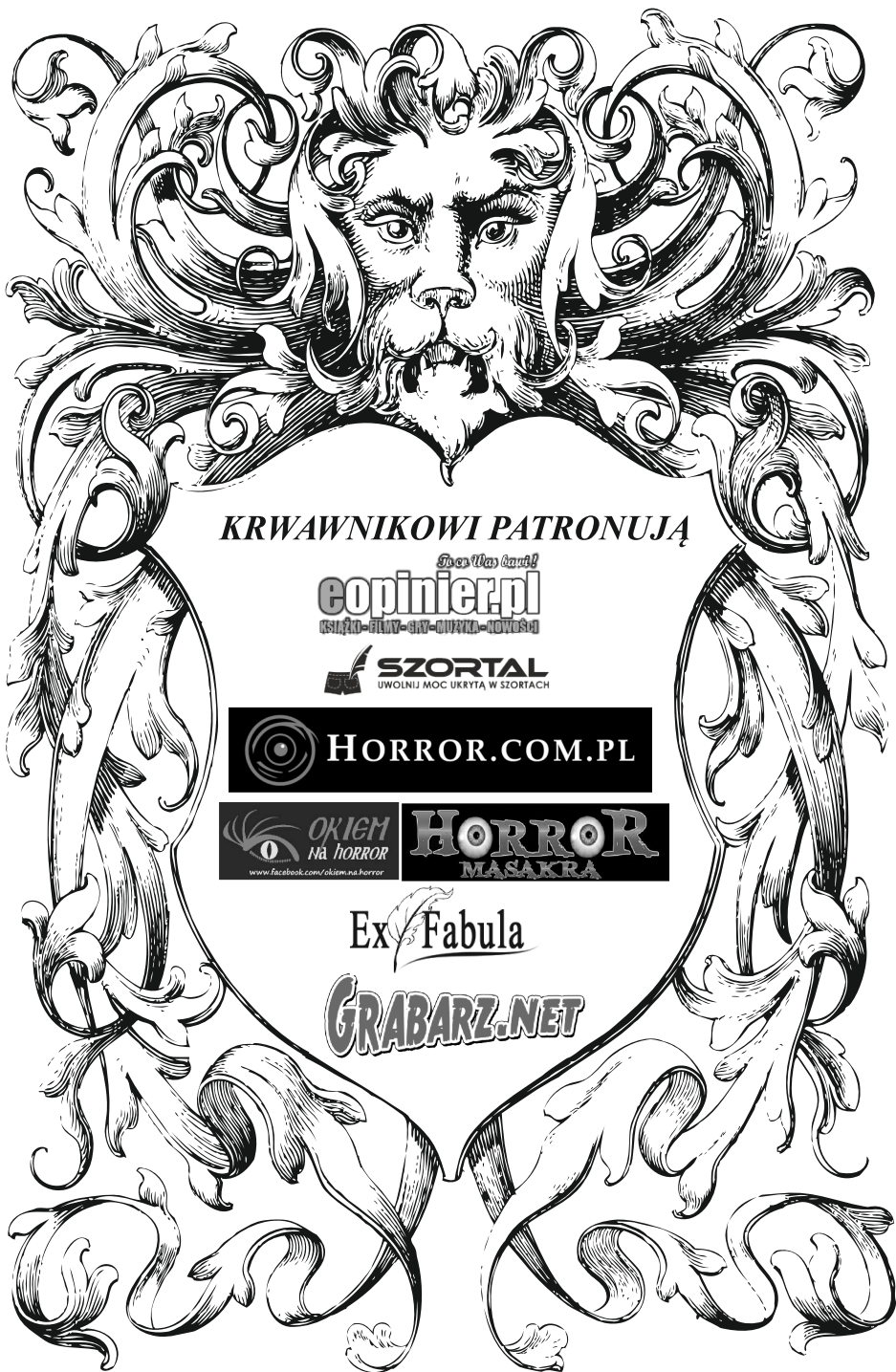


Nowakowski opuścił dom starca. Ten otworzył kopertę, wyciągnął kasetę i wrzucił ją do magnetowidu. Do końca nie wiedział, co przyjdzie mu oglądać, jednak początek za każdym razem był taki sam. Duch pradawnego demona wstępował we śnie w ciało mieszkańca kamienicy. Starzec wpatrywał się w ekran. Jego pomarszczona twarz nie wyrażała żadnych emocji. W głębi serca czuł ulgę, że demon został solidnie nakarmiony i przez jakiś czas da im spokój. Spokojnie patrzył na ofiarę. Ta, lunatykując, wymordowała swoich bliskich, dostarczając istocie przyjemności i pokarmu.



ZAGADKA NIEŚMIERTELNOŚCI - Beata Smółkowska	11
CHŁOPSKI LAS - Paulina J. Król	16
ULTIMATUM - Paulina J. Król	24
BRZYTWA - Tomasz Czarny	38
MORA - Patryk Hirsekorn	43
KAT - Łukasz Radecki	61
SATELLITE 15 - Łukasz Radecki	72
JESIENNA MUZYKA - Maciej Lewandowski	91
HISTORIA EDWINA - Bartosz Słowiński	114
NA DRUGIE MI JOLA - Natalia Golik	122
NIE MOJA BAJKA - Krzysztof Pakuła	125
POSSESION - Tomasz MordumX Siwiec	145





KRWAWNIKOWI PATRONUJĄ

She's the best!
eopinion.pl
CIEKAWOŚCI - KRYTYKI - RECENZJE

SZORTAL
UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH



HORROR.COM.PL



www.facebook.com/okiem.na.horror

HORROR
MASAKRA

Ex Fabula

GRABARZ.NET